

WŁADYSŁAW UMIŃSKI

BALONEM DO BIEGUNA



NASZA KSIĘGARNIA • WARSZAWA 1954

NATALII UMIŃSKIEJ
mojej ukochanej żonie, nieodżałowanej
Towarzyszce życia, pracę tę poświęcam.
A U T O R

ROZBITKI Z „NARWALA”

Na bulwarze dolnego portu nowojorskiego w cieniu rzucanym przez stos worków bawełny siedziało dwóch ludzi. Młodszy, trzydziestokiloletni mężczyzna, w mundurze kapitana marynarki handlowej, śledził przez morską lunetę czarny punkcik, który właśnie ukazał się u wnijscia do zatoki.

— Zdaje się, że to angielski jacht — rzekł oddawszy lunetę towarzyszowi.

— Raczej amerykański, kapitanie, rozwinął właśnie flagę, na której dostrzegam srebrne gwiazdy.

Kapitan był to dobrze zbudowany mężczyzna o twarzy pociągłej, pooranej przedwczesnymi zmarszczkami, które zdradzały życie pełne trosk i przygód. Cała jego postać tchnęła energią i żądzą czynu. Bystro spoglądające, stalowego koloru oczy, osłonięte zrastającymi się nad nosem brwiami, świadczyły o przenikliwości; orli nos, pięknie wycięte, zaciśnięte usta i pewne siebie ruchy pozwalały domyślić się hartu woli; sympatyczna twarz, okolona czarnym zarostem, nosiła wyraz zadumy właściwej ludziom myślącym.

Człowiek siedzący obok niego przedstawiał wybitny typ amerykańskiego żeglarza. Barczysty, lecz chudy, ruchliwy, miał śniadą, wyrazistą twarz o charakterystycznych rysach, z których można było wyczytać nieprzełamany upór i odwagę. Na spalone słońcem i wichrami czoło wysuwały się spod czapeczki kosmyki rudawoblond włosów.

— Kapitanie, ten jacht przypomina mi zupełnie naszego „Narwala” — mówił dalej sternik nie opuszczając lunety. — Do kroćset! Gdybym nie widział na własne oczy, jak nasz bryg rozsypywał się na wióry pomiędzy tymi przekłętymi górami lodowymi, przysięgłbym, że to on. Taki sam wypukły a mocny kadłub, taki sam wysoki, wąski komin i grube maszty; tylko nasz „Narwal” był cokolwiek większy. Mój Boże, dokąd to prądy morskie zniosły jego szczątki?! W każdym razie po swojej śmierci nasz okręt jako wrak tułał się jeszcze długo po morzu, zanim go do reszty lody zgmiotły. Zazdroszczę mu, kapitanie. Gdybym się był nie bał, że ryby mnie zjedzą, nie przyjąłbym twej pomocy i pozostał na moim ukochanym statku i razem z nim zginął. A teraz żyję i po co? Chyba po to, ażeby narzekać na swoje odmrożone nogi i gapić się jak dzieciak na odpływające okręty. Eh, kapitanie Ford, nie tak powinniśmy czas spędzać!

Powiedziawszy to obtarł prędko kułakiem zwilżone oczy, włożył w usta prymkę * i począł ją żuć kiwając smutnie głową.

Kapitan przyglądając się statkowi, którego widok przywiódł sternikowi na pamięć tragicznie zakończoną podróż do bieguna, miał również łyzy w oczach. Znać było po nim, że podzielał uczucia swego towarzysza.

— Więc wybrałbyś się jeszcze na jakąś wyprawę, Jamesie? ** — zagadnął po chwili. — A twoje nogi? Niebawem odmroziłbyś je na nowo.

— Jestem już zdrow, kapitanie, nie namyślałbym się ani chwili.

* Prymka — szczypta tytoniu do żucia.

** Czyt.: Dżems.

— Żeby znów popłynąć do bieguna?

— Tak, do bieguna! Albo tam koniec końców dotrę, albo zginę. Tak sobie postanowiłem, kiedy jechałem w poprzek Grenlandii na saniach po spaleniu się „Eleonory”. Ale jak się tam najlepiej dostać?

— Chyba łodzią podmorską, Jamesie! — zawołał Ford. — Tego rodzaju statek może zanurzyć się na kilkadziesiąt jardów * pod powierzchnię morza, gdzie już nie ma lodów.

— Podusilibyśmy się bez powietrza, kapitanie, albo wpadlibyśmy na góry lodowe, które, jak panu wiadomo, są potężnymi odłamkami lodowców lądowych i sięgają na paręset jardów w głąb.

— Prawda! Byłoby to szaleństwem, Jamesie.

— Więc nie pojedziemy już nigdy?

W tych kilku słowach wypowiedzianych przez dzielnego sternika dźwięczała taka rozpacz i żal, że kapitan Ford nie mógł zachować zimnej krwi; nie zważając na majtków i tragarzy, snujących się dokoła, pochwycił w swe krzepkie ramiona towarzysza i złożył na jego poranym zmarszczkami policzku pocałunek współczucia.

— Spróbujemy jeszcze raz, mój stary. Klnę się na wszystko! Niech się, co chce, stanie! Albo mróz na wieki zamarynuje nasze trupy, albo dotrzemy do bieguna. Podaj rękę, przyjacielu.

I, potrząsnąwszy stwardniałą od rudła prawicą sternika, kapitan Ford usiadł znów obok niego na worku bawełny, po czym obaj przyglądali się dalej wchodzącym do zatoki i wypływającym na morze okrętom.

— Mój Boże — powiedział w zamyśleniu kapitan — gdyby tak komuś udało się zbudować prawdziwie praktyczny aerostat, to może za jego pomocą udałoby się dotrzeć do bieguna. Chętnie zrobiłbym taką wyprawę nie licząc się z żadnym niebezpieczeństwem. Niestety, należy to obecnie do nieziszczalnych marzeń.

Sternik słuchał uważnie tych wywodów kapitana, lecz widać było z jego miny, że niezbyt ufał napowietrznym okrętom. Jako marynarz z krwi i kości, czuł się dobrze tylko na pokładzie zwyczajnego okrętu. Przed kilkoma laty wypłynęli oni ze Szpicbergu na swoim „Narwale”. Dotarli na nim wprawdzie aż do 87° szerokości północnej, lecz podczas tajemniczego zjawiska, zwanego ciśnieniem lodów, utracili swój ukochany okręt i po długiej tułaczce po krach lodowych zostali wyratowani przez statek wielorybiczny, który znalazł ich umierających z głodu i zimna na starym polu lodowym. Było ich ośmiu: kapitan, młodszy oficer, sternik i pięciu marynarzy. Z tej licznej i pełnej ufności we własne siły załogi „Narwala” ocaleni jedynie kapitan i sternik, reszta umarła podczas tułaczki w pustyni lodowej lub też w drodze powrotnej do ojczyzny. Jednakże okropne przygody w pustyni podbiegunowej nie złamały twardego ducha tych dwóch ludzi. Obecnie, powróciwszy do zdrowia, marzą o nowej wyprawie. Kapitan Ford nosi się z zamiarem zorganizowania nowej ekspedycji, tymczasem zaś oddaje się z zapałem studiowaniu opisów najnowszych podróży w te okolice globu, czerpiąc z tego źródła zapas wiadomości praktycznych, mogących mu się w przyszłości przydać. Kapitan nałożył do tych podziwu godnych ludzi, którzy zaopatrzeni w niewyczerpany zapas energii i olbrzymią dozę zapału, dążą niezłomnie do celu, jaki sobie wytknęli w życiu. Takim celem dla kapitana Forda jest wydarcie biegunom ziemi ostatnich ich tajemnic. Zagozalec ten należał już do trzech wypraw, z początku jako drugi oficer, potem jako kapitan, aż wreszcie jako kierownik nowej wyprawy. Ów „Narwal”, o którym wspominał sternik, do niego właśnie należał. Smutny koniec tej wyprawy, jak widzimy, nie zniechęcił dzielnego marynarza. Marzył on obecnie o jakimś nowym środku komunikacji, który by mu pomógł do osiągnięcia celu życia.

* Jard — angielska miara długości (ok. 90 cm).

WIADOMOŚĆ O CUDZIE ŻEGLUGI POWIETRZNEJ

Kapitan Ford wraz ze swym towarzyszem Jamesem zajmował w hotelu skromne mieszkanie, składające się z trzech pokojów.

Obaj marynarze punktualnie o godzinie piątej rano opuszczali łóżka i zjadłszy śniadanie wychodzili według zwyczaju do portu, gdzie przyglądali się nowoprzybyłym okrętom.

Tak przepędzali połowę dnia. Po obiedzie kapitan Ford, zawsze w towarzystwie poczciwego sternika, czytał w sali hotelowej gazety, dzieląc się najświeższymi wiadomościami z Jamesem.

Dnia 1 września Ford wziął do ręki świeży numer poczytnego „Heralda”. Na pierwszej zaraz kolumnie uderzył go tytuł artykułu wydrukowany dużymi literami: *Nowy aerostat*.

Ford śledził pilnie postępy mechaniki; począł więc z zajęciem czytać artykuł, który brzmiał, jak następuje:

Dowiadujemy się, że młody polski inżynier, nazwiskiem Gromski, zbudował aerostat nowego typu, który, jak tego dowiodły próby dokonane onegdaj w okolicy Chicago, wywoła zupełny przewrót w aeronautyce współczesnej.

Nowy aerostat ma formę cygara zwróconego grubszym końcem naprzód. Jego łódka nie wisi w pewnej odległości od kadłuba jak w balonach dotąd używanych, lecz jest umieszczona u samego spodu, przez co opór powietrza kolosalnie się zmniejsza; motory najnowszej konstrukcji pozwalają osiągnąć statkowi powietrznemu szybkość 100-150 km na godzinę i zwalczać dość silne wiatry.

Jak dotąd, próby z wielkimi balonami kończyły się przeważnie katastrofą: lada iskra zapalić bowiem może wodór napętniający balon. Inż. Gromski nie lęka się pożaru, napętnił bowiem swój statek lekkim, niepalnym gazem, zwanym hel.

Jest to tak zwany gaz szlachetny, otrzymywany w niewielkich ilościach ze źródeł naftowych i dlatego bardzo kosztowny. P. Gromski wynalazł jednak ekonomiczny sposób wytwarzania helu w wielkich ilościach. Balon jego ma objętość 5000 m³. Lądowanie i wznoszenie odbywa się bez utraty gazu, jedynie za pomocą motoru.

Nowy aerostat może przez parę miesięcy utrzymać się w powietrzu. Inż. Gromski ma zamiar pożeglować niebawem do Europy i z powrotem. Polski inżynier jest wybitnym wynalazcą i jego balonowi rokują świetną przyszłość. Niebawem dodamy dalsze szczegóły tych interesujących prób, na które już zwróciło uwagę nasze ministerium wojny.

Kapitan czytał głośno, stojąc przed Jamesem, który słuchał z otwartymi ustami. Skończywszy, rzucił dziennik na stół.

— Słyszałeś, Jamesie?! — krzyknął chwytając za ramię sternika.

— Słyszałem, kapitanie.

— I nic nie mówisz? Więc chyba nie pojmujesz całej doniosłości tego genialnego wynalazku? Ależ zrozumże, to jest właśnie ów idealny środek komunikacji, o jakim ludzkość marzy od dawna; za jego pomocą można dotrzeć wszędzie! Słyszysz? Wszędzie! Nawet... nawet przez lody albo raczej ponad lodami — do bieguna.

— Jak to? Przelecieć na takim statku przez ocean... przez pola lodowe? — bełkotał oszołomiony sternik.

— Chyba to będzie możliwe, mój Jamesie. Jedziemy natychmiast do Chicago! James, ty ze mną! Nieprawdaż? Liczę na ciebie, mój stary, pamiętaj! A teraz idź uregulować w kasie nasze rachunki. Dobrze?

James chciał jeszcze zrobić jakąś uwagę, ale Ford wypchnął go na korytarz. Potem naprędce spakował walizkę. Kiedy sternik wrócił, zastał już kapitana gotowego do drogi.

Ford nie chciał tracić ani jednej chwili: w dwie godziny potem pędzili już obaj pociągami na zachód. Przez drogę kapitan odbywał ważną naradę ze swym towarzyszem. Chodziło o przygotowanie planu zdobycia aerostatu jakimś podstępem, w razie gdyby wynalazca nie chciał go wynająć lub pożyczyć. A jeżeli wynalazca będzie chciał go sprzedać, to kapitan postanowił poświęcić wszystkie swoje oszczędności zdobyte w ciągu lat ciężkiej pracy, postanowił nawet zaciągnąć na ten cel długi.

Pocziwy James zgadzał się na wszystko bez krytyki; powoli oswajał się on z myślą, że może pojedzie napowietrznym statkiem do bieguna. Zresztą wszystko mu było jedno jak, aby tylko dostać się w końcu do tego pełnego tajemniczości i uroku punktu ziemi, który pociągał go do siebie z niczym nie porównywalną siłą.

Zaledwie pociąg zatrzymał się na dworcu w Chicago, wyskoczyli z wagonu i wsiadłszy do auta kazali zawieźć się do redakcji „Gazety Chicagowskiej”. Redaktor tego dziennika chętnie udzielił naszym marynarzom wiadomości dotyczących inżyniera Gromskiego.

Znakomity wynalazca mieszkał dość daleko od miasta, w willi, w której mieściła się również jego pracownia.

W pół godziny po opuszczeniu redakcji dwaj nasi znajomi znajdowali się we wskazanym miejscu. James z daleka już, poza ciemną zielenią drzew otaczających willę, dostrzegł regularne kontury jakiegoś wielkiego przedmiotu i wskazał go kapitanowi.

— Czy to ma być ów balon, czy, jak go nazywasz, kapitanie, aerostat?

Ford, nic nie odpowiedział, przekroczył furtkę i niebawem zatrzymał się o kilkanaście kroków od balonu.

Przy łódce aerostatu stał jakiś człowiek; na szelest kroków Forda odwrócił się.

— Inżynier Gromski? — zagadnął bez wstępu Ford.

Zapytany utkwiał bystre, fiołkowe oczy w kapitanie, prostując swą muskularną postać, w której najwięcej imponowała pyszna głowa o wysokim, otwartym czole, pokryta czarnymi kędziorami spadającymi malowniczo na szerokie barki. Z twarzy inżyniera, o delikatnych regularnych rysach, jasno przebijał jego charakter; kapitan od razu wyczytał w nich, oprócz wysokiej inteligencji, stanowczość, dobroć i szlachetność: drgające lekko kąciki ust zdradzały wrażliwość, a uśmiech błakający się po policzkach — zadowolenie z życia. Prócz tego w całej fizjonomii wynalazcy tkwiło coś nieokreślonego, ale ujmującego.

Usłyszawszy pytanie inżynier skłonił się z pełnym godności i uprzejmości ruchem ręki.

— Czy to ten balon jest pańskim wynalazkiem? — mówił dalej żywo kapitan.

Powtórny ukłon.

— I to wszystko prawda, co donosi „New York Herald” * w ostatnim numerze, który czytałem?

— Nie wiem jeszcze, co piszą dzienniki o moim aerostacie — odparł z uśmiechem inżynier.

— Donoszą, że przelatuje on 150 km na godzinę; może utrzymać się w powietrzu przez kilka miesięcy i odbywać odległe podróże.

— W istocie, panie. Szczegółów tych sam udzieliłem reporterom.

— Więc to wszystko prawda?

— Najzupełniejsza. Ale pozwól pan, że zapytam, komu mam przyjemność odpowiadać.

Nazywam się Ford — kapitan Ford. Powiem od razu, co mnie tu sprowadza. Pański balon jest mi potrzebny! Wynajmij mi go pan lub sprzedaj wreszcie. Zrobisz przysługę mnie, a może i nauce.

— Przykro mi bardzo, kapitanie — rzekł poważnie inżynier — ale muszę odmówić. Nie wziąłem jeszcze patentu na swój aerostat, nie mogę go więc sprzedać. Pojmujesz pan, że wynalazek tego rodzaju posiada pewną doniosłość. W rękach energicznych pracowników na

* Czyt.: Niu Jork Herald

polu nauki stanie się on potężnym środkiem, za którego pomocą poznamy dokładnie ten olbrzymi ocean atmosferyczny rozciągający się ponad naszymi głowami, a o którym tak niewiele jeszcze wiemy. Ludzie wydrą ziemi ostatnie jej tajemnice, dotrą do obu biegunów!

Gromski zapalił się, fiołkowe jego oczy rzucały iskry; takie same paliły się w źrenicach słuchającego Forda. Na dźwięk słowa: „biegunów”, kapitan przestał być panem siebie, rzucił się ku inżynierowi i pochwycił w obie ręce jego dłonie.

— Więc i pan marzysz o tym, i pan? — rzekł drżącym głosem.

— Pracowałem, taki a nie inny cel mając na widoku. Naukę i dobro ludzkości, kapitanie!

— A czy pan wie, że próbami pana zainteresowało się ministerium wojny?!

— O! Oni każdy wynalazek chcieliby zużytkować dla swoich celów. Ale z moim wynalazkiem im się nie uda. Mój aerostat będzie służył tylko nauce, ludziom!

W tej chwili James, który dotąd stał o parę kroków opodal, podszedł do inżyniera.

— Pan z nami... do kroćset! Ja to czuję, niech mnie... Pan z nami do bieguna...

Gromski bystro spojrział w oczy kapitana.

— Więc pan chce odbyć podróż do bieguna balonem? — zagadnął.

Ford kiwnął energicznie głową.

Gromski założył ręce w tył i począł się przechadzać wielkimi krokami.

— Tak, to nic jest niemożliwe — mówił jakby do siebie. — Wiatry, zresztą machina... Ale — dodał zatrzymując się przed kapitanem — trzeba, żeby ten, kto przedsięwzięcie taką szaloną podróż, był gotów na wszystko.

Ford uśmiechnął się w milczeniu.

— Nawet na śmierć, kapitanie.

— Zaglądałem jej nieraz w oczy podczas moich czterech wypraw, inżynierze. James również.

— Prawdopodobieństwo tego, że się dotrze aż do bieguna, jest jednak bardzo małe.

— Tak zawsze było do dzisiaj, a jednak znajdują się ludzie, którzy nie cofają się przed niczym.

— Pamiętaj pan, że balon mój może walczyć tylko z umiarkowanymi prądami powietrznymi i że machina jego funkcjonuje zaledwie 48 godzin, po czym wymaga świeżego zapasu benzyny.

— To nic. Wiatry nas zaniosą.

— Możemy zginać w morzu.

— Wszystko jedno, inżynierze, jedziemy! Chyba że nie dasz nam swojego statku.

Gromski pocierał dłonią czoło, na policzki wystąpił mu rumieniec.

— A jeżelibym sam z wami pojechał? — zagadnął nagle.

— To zbadalibyśmy biegun lub umarli — razem.

Inżynier, nic nie mówiąc, wyciągnął ręce i uściśnął serdecznie kapitana, a potem Jamesa.

— Jesteście dzielni ludzie — rzekł wzruszony.

JAK WYGLĄDA CUDO TECHNIKI?

James nie posiadał się z radości na myśl, że niebawem ujrzy znów lody podbiegunowe, do których ciągnęła go jakaś nieprzeparta siła.

— Jaka szkoda, że to już wrzesień — mówił. — Moglibyśmy wyruszyć za parę tygodni, lecz niebawem zima się tam zacznie na dobre i rękę pewnie zamarznie.

— Tam? — zagadnął inżynier. — Chyba zatem mówisz pan o biegunie północnym?

— Ależ tak! Zanim byśmy się wybrali, byłby już październik albo listopad, a wówczas zaczynają się już w okolicach polarnych siarczyste mrozy i nawet na pańskim balonie nie można by tam wtedy podróżować.

— Masz słuszość, sterniku.

— Więc musimy czekać co najmniej osiem miesięcy! Tam do licha, nie wytrzymam chyba tak długo!

— Jeżeli ci tak pilno, kochany sterniku — rzekł z uśmiechem inżynier — to możemy urządzić wyprawę do bieguna za miesiąc albo za dwa najwyżej.

— A przecież przyznał pan przed chwilą, że mrozy uniemożliwiłyby nam jazdę nawet na pańskim balonie.

— Zapominasz pan, że ziemia ma dwa bieguny. Zgadzam się na to, że podróż do bieguna północnego jest niemożliwa, chyba żebyśmy wystartowali za parę dni. Ale przecież rozumiesz pan dobrze, że przygotowania do takiej wyprawy zajęłyby nam co najmniej kilka tygodni czasu. Inaczej jednak mają się sprawy, jeżelibyśmy się zdecydowali na biegun południowy, gdyż na tamtej półkuli pory roku przypadają odwrotnie aniżeli tutaj. Obecnie panuje tam wiosna.

Sternik słuchał tego wszystkiego z rozwartymi szeroko ustami; zacny marynarz rzeczywiście zupełnie zapomniał, że ziemia ma dwa bieguny. Myślał ciągle i wyłącznie o biegunie północnym i do niego tylko, jak dotychczas, pragnął dotrzeć.

— Trzeba ci wiedzieć, mój stary — ciągnął dalej inżynier — że wielki ląd południowy, zwany Antarktydą albo inaczej Ziemią Południową, jest to może najciekawszy zakątek kuli ziemskiej, a jak dotąd — bardzo mało zbadany. Olbrzymi ten kontynent, którego obszar równa się niemal dwukrotnej powierzchni Australii, kryje w sobie mnóstwo tajemnic, które dopiero za lat kilkanaście albo kilkadziesiąt doczekają się wyjaśnienia. Dość, gdy powiem, iż wybrzeża tego lądu, ukryte pod grubą warstwą lodu, są prawie zupełnie nie znane. Jak pan sądzi, kapitanie, czy nie miałoby to ogromnego znaczenia dla nauki, gdybyśmy okrążyli szczęśliwie tajemniczą Antarktydę, porobili mnóstwo zdjęć fotograficznych z lotu ptaka, które potem razem złączone dałyby nam dość wierny obraz konturów wybrzeży Antarktydy. Gdyby nam się to udało, moglibyśmy w razie sprzyjających warunków dotrzeć także do samego bieguna, tam pozostać przez parę tygodni, a o ile by nam na to pozwolił nasz balon, wrócilibyśmy przecinając Ziemię Południową w poprzek. Jak pan się na to zapatruje, szanowny kapitanie? — dodał zwracając się do Forda.

— Muszę przyznać panu zupełną słuszość, że daleko ważniejszą rzeczą dla nauki w ogóle, a geografii w szczególności, jest dokładne zbadanie okolic polarnych aniżeli sam goły fakt dotarcia do bieguna. Antarktyda kryje, jak dotychczas, w swym łonie wiele tajemnic, które dla dobra wiedzy należałoby wyjaśnić. Znajdą się tam okolice całkiem jeszcze nie znane, gotów byłbym zatem wziąć udział w tego rodzaju podróży, gdyż jestem głęboko przekonany, że zdobylibyśmy pokaźne żniwo naukowe. Rzetelny uczony, a ja pragnąłbym się do tego grona zaliczyć, nie powinien mieć na względzie osobistych ambicji, lecz jedynie wiedzę.

— Jeżeli zatem mamy jednakowe poglądy na te sprawy, kochany kapitanie, to udajmy się na Antarktydę, co nam się sownie opłaci. Jednakże nie dość jest posiadać dobry statek powietrzny, należy jeszcze rozporządzać znacznymi sumami pieniężnymi, związanymi z podobnego rodzaju podróżą. Spodziewam się w przyszłości sprzedać korzystnie patenty na mój wynalazek, na razie jednak wszystkie moje środki poszły na koszty zbudowania „Polonii”. Czy pan, kapitanie, znalazłbyś środki na pokrycie kosztów antarktycznej ekspedycji naukowej? Żeby można było gdzieś pożyczyć konieczne na wyprawę fundusze, to później, kiedy sprzedam patent na aerostat, moglibyśmy te pieniądze zwrócić.

— Przeznaczę na nasz wspaniały cel wszystkie swoje oszczędności. To jednak, niestety, nie wystarczy. Resztę potrzebnej nam kwoty trzeba będzie pożyczyć. Nie sprawi to nam chyba dużych trudności; pański wynalazek będzie najlepszą gwarancją, że pieniądze zostaną

zwrócone. Zajmie to nam tylko trochę czasu.

Inżynier wyciągnął serdecznie rękę i uściśnął mocno dłoń kapitana.

— Dziękuję, zacny marynarzu. Wobec tego, że będzie nas tylko trzech, koszty nie będą chyba zbyt wysokie. A zatem idzie tylko o powzięcie nieodwołalnego postanowienia.

— Już je powziąłem — odparł po prostu kapitan.

— I ja także, do kroćset! — zawołał sternik. — Wprawdzie nigdy w życiu nie latałem, ale cóż, u licha, nie mogę być takim zatwardziałym konserwatystą. Zostanę więc na starość żeglarzem powietrznym, chociaż nie bez żalu rozstają się z myślą o zwyczajnym okręcie, jakim był nasz poczciwy „Narwał”.

— Nie potrzebujesz za to, sterniku, rozstawać się z morzem. Zamiast pływać po jego powierzchni, będziesz nad nim leciał. Ot i cała różnica. Co zaś do kołysania i tym podobnych przyjemności marynarskich, to zażyjesz ich do woli i na statku powietrznym. Zresztą, jak wiesz z doświadczenia, pływać po lodzie najlepszy okręt nie potrafi. Musisz więc raz na zawsze pożegnać się z żaglowcem czy z parowcem, jeśli pragniesz podróżować po Oceanie Lodowatym.

— Święta racja, inżynierze — odparł markotnie sternik. — Dlatego też godzę się towarzyszyć panom w podróży na tym pięknym balonie, chociaż wstyd mi przyznać, że jak żyję, nie siedziałem w tego rodzaju łódce.

— Zanim wyruszymy w naszą podróż, postaram się zrobić z ciebie, kochany Jamesie, aeronautę — żeglarza powietrznego. A i kapitan musi zaznajomić się bliżej z moją „Polonią”. Zrobimy małą wycieczkę napowietrzną, która będzie dla was swojego rodzaju ćwiczeniem praktycznym. Musicie się dokładnie obznajomić z wadami i zaletami mojego statku, ażeby w razie potrzeby jeden mógł zastąpić drugiego. Co do sternika, znajdzie on dla siebie odpowiednie zajęcie, gdyż ściśle rzeczy biorąc, pomiędzy statkiem zwyczajnym a balonem poruszonym śrubą, tak jak parowiec, istnieje tylko różnica co do wagi, odpowiadająca różnicy ciężaru gatunkowego między wodą a powietrzem. Aerostat musi posiadać silnik, tak jak każdy statek, aby nie być igraszką prądów atmosferycznych, może on walczyć z wiatrem tylko w takim razie, jeżeli szybkość jego własna, czyli szybkość w spokojnym powietrzu, jest większa od szybkości wiatru; w tym ostatnim wypadku balon może posuwać się nawet pod wiatr, czyli, inaczej mówiąc, można takim statkiem powietrznym dowolnie kierować. Właściwie zadania te rozwiązali w 1884 roku Francuzi Renard i Krebs. Udało im się bowiem powrócić na swoim poruszonym elektrycznością balonie do punktu, z którego wyruszyli, pomimo to, iż mieli do czynienia z wiatrem wiejącym z szybkością kilku metrów na sekundę. Cały sekret kierowania balonami polega na tym, że muszą one posiadać odpowiednie kształty, takie jak moja „Polonia”, i dostatecznie silny motor, który by im pozwalał zwalczać wiatry wiejące z szybkością 20-30 m na sekundę. Z orkanami nigdy mierzyć się one nie będą mogły, boć i najlepsze okręty giną podczas wielkich burz na oceanie. Lecz podczas najczęściej trafiającego się stanu pogody mogłyby one poruszać się w obranym kierunku.

Obecnie, dzięki niesłychanemu rozwojowi żeglugi napowietrznej, potrafimy budować niezmiernie silne a lekkie motory benzynowe, które ważą nie więcej jak kilogram na konia parowego. Użyty przeze mnie silnik rozwija sprawność 1500 koni parowych i daje mojemu balonowi szybkość dostateczną do opierania się nawet dość silnym wiatrom. Oszczędzając niepotrzebnego przeładowania gondoli i biorąc na pokład tylko trzy osoby, mogę, według moich obliczeń, przelecieć przestrzeń do 5000 km, naturalnie w spokojnym powietrzu. Sprawa ma się daleko gorzej, jeżeli wypadłoby nam żeglować pod silny wiatr. W takim wypadku ilość kilometrów, jaką mógłby przelecieć balon, zmniejszyłaby się bardzo znacznie. Wiesz z doświadczenia, kochany sterniku, że nawet parowcom trudno jest poruszać się pod silny wicher. W okolicach podbiegunowych i na znacznie wyższych wysokościach nad morzem prądy powietrzne bywają bardzo silne. W tym leży główne niebezpieczeństwo, jakie nam będzie groziło w naszej podróży do Antarktydy. Niestety, wiadomo już, że panują tam częste burze i

niesłuchanie gwałtowne wichry, z którymi daremnie byśmy usiłowali walczyć. Musimy więc liczyć na szczęśliwą gwiazdę i wykorzystać krótkie przerwy pomiędzy burzami, ażeby dotrzeć do wytkniętego celu.

Widzicie zatem, moi zacni towarzysze, że nie ukrywam bynajmniej przed wami ryzyka, na jakie się wszyscy mamy narazić. Ponadto muszę zaznaczyć, że pomimo bardzo gęstej powłoki gaz zawarty w balonie zanieczyszcza się powietrzem i jego siła nośna maleje. Mamy więc do rozporządzenia co najwyżej sześć do ośmiu tygodni czasu, po czym „Polonia” nie zdoła nas już udźwignąć. Cała nasza wyprawa nie może zatem trwać dłużej niż dwa miesiące. Jeżeli nie osiągniemy celu przed tym terminem, czekałby nas przymusowy pobyt wśród pustyń lodowych, czego ani sobie, ani wam nie życzę. Miejmy jednak nadzieję, że szczęście nam będzie sprzyjało, tak jak wszystkim odważnym. *Audaces fortuna iuvat* * , nieprawdaż?

— Co do mnie, zaryzykuję nawet dwie zimy podbiegunowe! — zawołał sternik. — Chociaż co prawda miałem w czasie ostatniej wyprawy odmrożone obie nogi i niewiele brakowało, żebym został kaleką. Obecnie jednak czuję się na siłach odbywać podróż nawet piechotą po lodzie, jeżeli będzie potrzeba.

— Mój balon — mówił dalej Gromski — jest, jak panowie widzicie, dość wielki, skutkiem tego opór powietrza jest dlań stosunkowo słabszy niż ten, jaki muszą pokonywać małe balony tego kształtu. Zbliźcie się, panowie, jeżeli nie macie nic przeciwko temu, to urządzimy małą wycieczkę korzystając z całkiem spokojnego powietrza.

Kapitan Ford i sternik wysłuchawszy z wyteżoną uwagą objaśnień Gromskiego przypatrywali się aerostatowi z wzrastającą ciekawością.

W istocie, przedstawiał się on imponująco. Olbrzymie jego wrzecionowate ciało unosiło długą, lekką gondolę, która stanowiła niemal jedno ciało z balonem. Na pierwszy rzut oka materiał, z którego zrobiono balon, był podobny do metalu; wklęsnięcia jednak, powodowane przez wiatr, dowodziły, że to tkanina.

— Z czego sporządziłeś pan swój balon? — zapytał Ford. — To nie jest ani jedwab, ani kitajka.

— Jedwab, panie, pokryty lakierem ściśle przylegającym. Na powierzchni lakieru osadziłem cieniuchną warstewką aluminium, która, śmiało twierdzę, prawie wcale nie przepuszcza gazu. Hel może pozostawać wewnątrz mego balonu, jak rzekłem, przez kilka tygodni. Inaczej nie zgodziłbym się na odbycie podróży do Antarktydy.

No, ale siadajmy; sami zobaczycie, jak się leci tym powietrznym statkiem.

To rzekłszy Gromski zajął miejsce przy maszynie.

— Panie kapitanie, musisz się zaznajomić z kierowaniem aerostatu, siadź więc obok mego sternika i przyglądaj się bacznie. Jest to, jak widzisz, koło podobne do tego, jakie masz u kierownicy samochodu lub na okręcie. W gruncie rzeczy istnieje niewielka różnica między balonem a łodzią z motorem. Nieco kłopotu będziesz miał, jak sądzę, z utrzymywaniem się na pożądaną wysokość i z zachowaniem poziomego położenia. Istnieją bowiem w powietrzu pewne prądy wstępujące i zstępujące, które mogą wyprowadzić balon z równowagi. Jeżeli na przykład dziób naszego balonu będzie się pochylał ku dołowi, trzeba natychmiast za pomocą steru wysokościowego wyrównać go. Zdarza się też odwrotnie, że rufa balonu idzie w dół. Mam jednak nadzieję, że niebawem, dzięki wskazówkom mego towarzysza, zdobędziesz pan, jako wytrawny marynarz, sztukę kierowania aerostatem. Inaczej we trzech nie moglibyśmy odważyć się na tak daleką i niebezpieczną podróż. Nawet James musi się wykształcić w tym kierunku. Jako sternik, będzie robił szybkie postępy. Prócz tego każdy z nas musi być mechanikiem. Kilkanaście próbnych wzlotów wystarczy, jak sądzę.

Pomocnik inżyniera, także Polak, był to młody, muskularny mężczyzna. Pracował on od paru lat z Gromskim i był równie jak on zapalony do spraw żeglugi powietrznej. Gromski

* *Audaces fortuna iuvat* (łac.) — odważnym los sprzyja.

wiele zawdzięczał jego wiedzy i pomysłowości. W czasie nieobecności głównego kierownika warsztatów on miał go zastępować.

— Jeżeli bym przypadkiem nie wrócił — rzekł Gromski z uśmiechem — inżynier Jelski odtworzy mój aerostat.

— Włos nam z głowy nie spadnie, inżynierze! — zawołał pełen niezachwianej wiary James.

Ford usadowił się wygodnie na fotelu u kierownicy. Obok niego czuwał inżynier Jelski, gotów naprawić każdy błąd popełniony przez kapitana.

— Niech pan wyobrazi sobie, że kieruje statkiem parowym. Ja będę się zajmował sterem wysokości, żeby pan miał do czynienia z jednym tylko kierunkiem poziomym — powiedział uprzejmie.

Ford nieśmiało położył dłonie na kierownicy. Gromski zajął miejsce przy motorze. James miał poruczone baczyć na wszystko, a w szczególności manewrować kurkami, przez które gorące gazy spalinowe z silnika wchodziły do rur rozgałęzionych wewnątrz aerostatu. Gromski dał mu potrzebne objaśnienia.

— Otwórz kran, Jamesie — rzekł — trzeba nam pewnej siły wzlotu, żeby się wznieść na jakieś 200 m. Bacność! — zawołał na swoich ludzi, którzy w liczbie trzydziestu przytrzymywali linami aerostat.

„Polonia”, tak się bowiem zwał balon, kołysała się w podmuchach lekkiego wiatru na wielkim placu, opodal hangaru, który stanowił jej zwykłą siedzibę. Przez kilka minut warczało śmigło. Kiedy już ciepłe gazy spalinowe dostatecznie ogrzały gaz i balon zaczął rwać się w górę, Gromski krzyknął:

— Puszcząć!

Ludzie uwolnili balon, który od razu zaczął przeć w górę i łatwo wzniósł się ponad okoliczne domy, kominy i drzewa. Kiedy znalazł się na wysokości 150 m nad placem, Gromski zawołał:

— Kapitanie, prosto na północ!

Gdyby nie to, że mechanik miał połączenie telefoniczne ze sternikiem, łoskot maszyny nie pozwoliłby usłyszeć tego rozkazu. Lecz mając słuchawki na uszach Ford doskonale rozumiał każde słowo.

Balon mijał szybko park należący do willi inżyniera, niebawem przeleciał ponad inną willą, potem nad łąką; drzewa zdawały się chyżo uciekać ku wielkiemu zbiorowisku domów przykrytych szarym całunem dymu, rozpraszającego się w przezroczystym powietrzu ponad wysokimi kominami fabryk. Było to Chicago. Z dala, poza nim błyszczała jaskrawo w promieniach słońca wspaniała płaszczyzna jeziora, upstrzona parowcami i barkami; dalej jeszcze rysowała się we mgle linia przeciwnego brzegu. Aerostat, płynąc ciągle pod wiatr wiejący z szybkością kilku metrów z północo-wschodu równoległe do linii kolei żelaznej, niebawem dopędził poranny pociąg osobowy idący do San Francisco.

James, wychylony z łódki, przesyłał ironiczne ukłony wyglądającym przez okna pasażerom. Odpowiedziano mu okrzykami. Niebawem aerostat prześcignął pociąg; jego długi, czarny cień ślizgał się po polach. James śmiał się widząc, jak pracujący farmerzy podnosili głowy i ścigali wzrokiem balon, a pasące się na polach bydło, przestraszone, uciekało lub zbierało się w stada jakby dla obrony przed wrogiem. Ford od czasu do czasu obracał koło sterowe i aerostat, powolny jego życzeniu jak koń dobrze wytresowany, zbaczał natychmiast w prawo lub lewo, przelatując ponad drzewami, skałami i rozpadlinami. Przeszkody nie istniały dla niego. W tej chwili słońce zaszło poza chmurę, gaz w balonie, nie podlegając działaniu jego ciepłych promieni, począł zmniejszać swą objętość; łódka prawie dotykała wierzchołków drzew.

— Należy wyrzucić jakiś ciężar! — zawołał zaniepokojony kapitan.

— Pozwól pan! — przerwał mu inżynier. — Nie możemy zawsze liczyć na balast, tym

bardziej że zabieram go bardzo niewiele. Poradzimy sobie inaczej. Gaz skurczył się, więc trzeba go rozszerzyć dodając mu ciepła.

To mówiąc inżynier otworzył kran od drugiej rurki połączonej z motorem i przechodzącej do wnętrza balonu.

— Wznosimy się! — wykrzyknął James.

— A tak, wznosimy się! Tym sposobem mógłbym wlatywać nie wyrzucając wcale balastu. Środka tego jednak używać zamierzam w takim tylko wypadku, kiedy chcę na krótko zwiększyć siłę wzlotu. Teraz zamykam kurek, bo słońce znów zaczyna świecić i gaz rozszerza się. Ale czas skończyć tę wycieczkę, kapitanie. Nasz aerostat może wrócić do miejsca, skąd wyruszył, pomimo że teraz ma wiatr trochę z boku. Czy poznajesz pan moją willę, z której wyjechaliśmy przed kwadransem?

— Poznają ją tylko po topolach.

— Otóż skieruj pan przód łódki na ten punkt.

Ford usłuchał; aerostat opisał łuk i popłynął z wiatrem.

Teraz szybkość jego zwiększyła się o 6 m na sekundę; nasi żeglarze zauważyli to natychmiast z nagłego zmieniania się krajobrazów. Farmy i pola migotały i zaraz nikły, aby ustąpić miejsca nowym.

— To mi jazda! — krzyknął James zachwycony. — Inżynierze, wszystkie brygi żaglowe, wszystkie parowce, nawet transoceaniczne olbrzymy są niczym w porównaniu z twym statkiem powietrznym. Tam do krocset, prześcignęlibyśmy mewę i albatrosa!

— To jeszcze nic — rzekł inżynier — gdybyśmy mieli silny wiatr, mogliśmy pędzić dwa razy prędej.

— Tak — rzekł Ford — jednakże zdaje mi się, że taki balon, jak pański, powinien unikać silnych prądów.

— Zapewne, ale tylko nieprzyjaznych, a korzystać z innych. W każdym razie nie zwykłem wznosić się wyżej nad 1000 m; w górnych warstwach atmosfery panują wiatry daleko silniejsze niż przy powierzchni ziemi.

Uważaj pan, mamy płynąć do mojej willi, a słaby wiatr wieje nam z boku i od tyłu nieco. Powinniśmy więc brać się trochę w przeciwną stronę.

Ford, w istocie, znalazł niebawem kąt, pod jakim należało postawić statek, ażeby nie zboczyć z obranej drogi. Balon, mknąc z szybkością przewyższającą 50 km na godzinę, w kilka minut potem znalazł się ponad placem, z którego wyruszył. Inżynier powstrzymał śrubę i wyrzucił linę, którą uchwycili jego ludzie. Aerostat drgał chwilę, po czym umieszczono go w obszernym hangarze.

— Dziękuję panu — rzekł James ściskając z zapałem prawicę inżyniera w swej twardej dłoni. — Póki życia nie zapomnę tej podróży. Dalibóg, nie warto jeździć po lądzie ani po morzu nawet. Od dziś rzucam ocean i, zamiast pływać po nim, przenoszę się w powietrze, czyli, jak to pan nazywa, zostaję żeglarzem powietrznym.

Inżynier, śmiejąc się, zapewnił sternika, że aeronautyka będzie się chlubić nowym swym adeptem*.

Kapitan Ford wyraził w pochwałach swych podobne życzenie, co i James.

Obejrawszy raz jeszcze wszystkie szczegóły balonu nasi marynarze udali się wraz z Gromskim do willi, gdzie oczekiwało na nich doskonałe śniadanie; Ford zakończył je toastem wzniesionym za zdrowie genialnego wynalazcy.

— Tak, tak — zawołał z zapałem — pański wynalazek pozwoli nauce uczynić olbrzymi krok naprzód!...

* Adept — tu: człowiek znający tajniki jakiejś nauki lub sztuki.

NA ZIEMI OGNISTEJ

Przez cały następny tydzień po tej pierwszej próbie kapitan i sternik codziennie odbywali praktykę na balonie Gromskiego. Z początku zadowalały ich wycieczki w okolice wielkich jezior, lecz w miarę nabywania większej wprawy w kierowaniu „Polonią”, przedłużano te podróże, albowiem chodziło o to, ażeby nasi podróżni zaznajomili się gruntownie z zaletami i wadami aerostatu, na którym mieli odbyć swoją niebezpieczną wyprawę do Antarktydy.

Sternik był coraz bardziej zachwycony aerostatem i pod niebiosa wychwalał jego twórcę.

— Ależ to nadzwyczajny człowiek, kapitanie — mówił do swojego towarzysza. — Nie każdy na jego miejscu zdecydowałby się tak szybko na podróż, która, jak sobie teraz zdaję sprawę, grozi daleko większymi niebezpieczeństwami aniżeli przedzieranie się na okręcie poprzez pola lodowe i krę do bieguna północnego. Musimy się doskonale przygotować, żeby znowu nie doznać zawodu. Ale niech mi pan powie, kapitanie, jak to my odbędziemy naszą daleką wyprawę. Czy „Polonia” popłynie stąd wprost do bieguna, czy też dostaniemy się na jakim okręcie do południowego krańca Ameryki, który, o ile wiem, nazywa się Ziemią Ognistą, i dopiero stamtąd rozpoczniemy nasz lot?

Kapitan w kilku słowach zaspokoił ciekawość sternika.

— Prowadziliśmy na ten temat wyczerpującą dyskusję z inżynierem. Miał on początkowo zamiar polecieć wzdłuż całego łańdusa amerykańskiego aż do Ziemi Ognistej, tam uzupełnić możliwą stratę gazu i dopiero razem z nami puścić się na Antarktydę. Lecz odradziłem mu, gdyż jego aerostat musiałby przelatywać nad okolicami często nawiedzanymi przez burze, które mogłyby go uszkodzić lub zniszczyć zupełnie. Stało się koniec końców na tym, że po odbyciu naszej praktyki drogocenny gaz, ściśnięty aż do 150 atmosfer, będzie zabrany w stalowych butlach wraz z opróżnioną powłoką i gondolą oraz zapasem benzyny na wynajęty przeze mnie statek, który nas zawiezie do punktu wyznaczonego na start. Parowiec odpowiedni już znalazłem i zakontraktowałem. Wyflniemy najdalej za dwa tygodnie. Odnajdziemy sobie osłonięte od wiatrów miejsce i stamtąd dopiero rozpoczniemy naszą podróż.

— Tak będzie najlepiej — zgodził się sternik.

W kilka dni później po tej rozmowie odbyto ostatnią próbną podróż na „Polonii”. Kapitan i sternik mogli z dumą utrzymywać o sobie, że stali się nienajgorszymi żeglarzami powietrznymi i że nie będą zawadą dla Gromskiego, lecz, przeciwnie, bardzo użytecznymi współpracownikami, którzy w każdej chwili będą mogli zastąpić go w kierowaniu aerostatem. Poznali oni dokładnie nie tylko jego budowę, ale i zachowanie się podczas lotu, nawet przy silniejszych wiatrach. Obaj doszli do przekonania, że to arcydzieło mechaniki sprosta wszystkim trudnościom, jakie oczekują je w niedalekiej przyszłości.

Inżynier Gromski ze swej strony był niezmiernie zadowolony, że znalazł takich dzielnych, gotowych na wszystko i znających świat polarny towarzyszy niebezpiecznej podróży, która według niego miała być decydującą próbą dla „Polonii”. Inżynier wiedział, że dopiero po próbie, jaką miał być lot do Antarktydy, będzie mógł sprzedać swoje patenty, które jak dotąd posiadały jedynie teoretyczną wartość. W ten sposób uzyska pieniądze na prowadzenie dalszych badań, na ulepszenie swego wynalazku, a poza tym na spłacenie długów, które musieli zaciągnąć w związku z wyprawą.

Parowiec, którym mieli płynąć, znajdował się już w porcie chicagowskim (wielkie jeziora, jak wiadomo, są połączone drogą wodną z Oceanem Atlantyckim).

Nasi podróżni krzatali się energicznie nad ostatnimi przygotowaniem do podróży. Przede wszystkim opróżniono z helu balon, gaz wciśnięto w stalowe butle, które ułożono na spodzie okrętu. Powłokę, starannie owiniętą w brenty, umieszczono bezpiecznie w lukach wraz z rozebraną na części gondolą i silnikami. Zaopatrzono się w żywność, benzynę, przy-

rzędy naukowe, odpowiednią odzież. Po upływie niecałego miesiąca od chwili zapoznania się z Gromskim, opuszczono Chicago, kierując się na Atlantyk, na którego falach spodziewano się w ciągu piętnastu, dwudziestu dni dotrzeć do Ziemi Ognistej.

Podróż ta odbyła się bez żadnego ważniejszego wypadku. W początkach września parowiec wpłynął do wielkiej Cieśniny Magellańskiej.

Tutaj zarzucono kotwicę w zacisznej zatoce i zajęto się wyszukaniem dogodnego punktu, osłoniętego od wiatru, skąd „Polonia” mogłaby wznieść się w górę.

Jak się niebawem okazało, zadanie to nie było wcale łatwe. Odbywano wycieczki w niezmiernie malownicze góry Ziemi Ognistej, która w oczach Gromskiego i jego towarzyszy przedstawiała się jak jakaś zaczarowana kraina z baśni. Doliny zarośnięte gęstymi borami szpilkowymi, przerywane wartkimi potokami, tworzącymi liczne kaskady, wyżej nieco szmaragdowe lodowce, spływające po stokach górskich do oceanu i podobne do oprawnych w srebro turkusów, jeziora górskie, w których zwierciadle przeglądały się ośnieżone szczyty górskie, było to coś tak pięknego, że budziło zachwyt w duszy każdego człowieka nieobojętnego na cuda przyrody. Lecz daremnie przez kilka dni za pomocą mapy dość niedokładnej, jak się niebawem okazało, poszukiwano zacisznej doliny, dość obszernej na to, ażeby zbudować w niej bezpieczny hangar, czyli szopę, gdzieby się dało zmontować i napełnić gazem aerostat.

W końcu udało się znaleźć odpowiedni do celu wyprawy teren. Była to hala górská pozbawiona wysokich drzew i otoczona ze wszystkich stron skalistymi ścianami, nie dopuszczającymi silnych w tamtych okolicach wichrów. Niestety, hala ta znajdowała się o kilkanaście kilometrów od wybrzeży cieśniny i kosztowało niemało trudu, zanim zdołali na nią przetransportować balon z jego częściami składowymi. Następnie musiano zbudować z zabranego przezornie na okręt materiału, głównie z blachy falistej, hangar, gdyż nie można było ryzykować napełnienia balonu pod gołym niebem. Południowy bowiem kraniec lądu amerykańskiego jest słynny z częstych burz, które tam niespodziewanie wybuchają. Towarzyszą im nieraz prawdziwe huragany, dmące przeważnie od zachodu. Gdyby tego rodzaju orkan podniósł się niespodziewanie, zanimby balon został przygotowany do podróży, groziłaby mu niechybnie katastrofa. Budowa szopy, przetransportowanie na halę butli z gazem, powłoki, gondoli, silnika, zapasu benzyny i innych niezbędnych przedmiotów zajęło kilkanaście dni niezmiernie uciążliwej pracy, chociaż brała w niej udział cała załoga parowca, składająca się z dwudziestu tęgich marynarzy. Nareszcie życie zaczęło wstępować w aerostat, skoro szlachetny gaz wypełnił powłokę. Kapitan i inżynier odbywali co wieczór ważne meteorologiczne konferencje, w których Ford, jako znawca krain polarnych, miał głos rozstrzygający. Ponieważ od prądów atmosferycznych, ich kierunku i siły zależało niemal w całości powodzenie wyprawy, przeto rozpatrzenie warunków meteorologicznych panujących w okolicach Antarktydy było sprawą niezmiernie ważną i należało ją przestudiować do gruntu.

Zebrano się więc na naradę.

— W pobliżu równika — rozpoczął wykład Gromski — znajduje się pas największego nagrzania powierzchni ziemi i powietrza przez promienie słoneczne. W pasie tym powietrze staje się dzięki rozgrzaniu lżejsze, wskutek czego wznosi się do góry oraz odpływa na północ i południe jako stałe wiatry górnych warstw atmosfery, zwane antypasatami. W dolnych warstwach natomiast, w pobliżu ziemi, nieomal zupełnie brak długotrwałych wiatrów. Ciszę przerywają tylko od czasu do czasu krótkotrwałe, popołudniowe burze niosące z sobą tropikalne ulewy.

— Są to tak zwane „końskie szerokości” — mruknął sternik.

— Istotnie, Jamesie — ciągnął dalej inżynier — niegdyś, gdy po morzu pływały tylko żaglowce, pas ten zwany był „końskimi szerokościami”, gdyż w czasie przewozu transportów koni z Europy do Ameryki Południowej, statki w tym pasie ciszy stały tak długo, że zaledwie część końskich transportów docierała do portu przeznaczenia. Znaczna ilość koni po prostu

ginęła z głodu. Czasami bowiem statki nie ruszały się z miejsca całymi tygodniami, zdane jedynie na łaskę prądów morskich.

— Zastanówmy się jednak dalej nad cyrkulacją atmosferyczną — wtrącił kapitan, któremu powyższe informacje inżyniera znane były od dawna.

— Doskonale — zgodził się Gromski. — Otóż na skutek obrotu kuli ziemskiej wokół swej osi oraz dzięki bezwładności cząstek powietrza wszystkie wiatry wiejące na naszej planecie skracają w prawo na półkuli północnej, a w lewo na półkuli południowej. Prawu temu podlegają również antypasaty i to tak dalece, że w szerokościach zawartych między 20 a 30° przybierają już kierunek równoleżnikowy. Ponieważ antypasat przynosi bezustannie znad równika nowe masy powietrza, gromadzi się ono w pobliżu zwrotników, co powoduje zwiększenie się jego ciśnienia atmosferycznego. W tej strefie więc, na skutek ciągłego zwiększania się ciśnienia powietrza wywołanego napływem i stopniowym oziębianiem się, w atmosferze panują prądy zstępujące.

— Czyli inaczej mówiąc — przerwał inżynierowi sternik — powietrze zachowuje się tak, jak człowiek w beczce, gdy na głowę nakładają mu coraz to nowy i nowy ciężar. Też by go przygniatało do dna!

— Naturalnie! — zawołał kapitan. — Poza tym szaleją tu cyklony, zwane również tajfunami. Pamiętam, że jak raz dostałem się w zasięg takiego cyklonu w czasie rejsu szkunerem w pobliżu Wysp Antylskich, to dwa dni walczyliśmy ze śmiercią i falami. Złamało nam wtedy maszt... Ledwo uszliśmy z życiem.

— Wracamy do sprawy — rzekł niezadowolony Gromski, który nie lubił, gdy mu przerywano tok myśli.

— Przyroda — ciągnął dalej — dąży do zapelnienia luki po „uciekającym” znad równika powietrzu. Wskutek tego część powietrza wraca do równika jako stały wiatr dolny, czyli pasat, część zaś odpływa do umiarkowanych szerokości geograficznych, zasilając panujące tam tak zwane wiatry zachodnie. Z szerokości umiarkowanych zaś część powietrza odpływa dalej — ku biegunom. W rejonach podbiegunowych powietrze silnie oziębia się, przez co zmniejsza swoją objętość i jako cięższe opada w dół. Powoduje to istnienie prądów zstępujących, wyrównywanych odpływem powietrza dołem znad biegunów. Rzecz jasna, że wiatry te nie wieją wzdłuż jakiejś linii prostej, tylko zgodnie z tym, co mówiłem na początku o skręcaniu wszystkich wiatrów, przybierają na półkuli południowej kierunku: północno-zachodni przy wietrze wiejącym górną do bieguna i południowo-wschodni przy dolnym wietrze wiejącym od biegunów.

Widząc niezdecydowaną minę sternika dorzucił, że w meteorologii nazywamy kierunkiem wiatru ten kierunek, skąd wiatr wieje, a nie dokąd, po czym mówił dalej:

— Pas między 60 a 70° szerokości geograficznej, w którym ścierają się wpływy powietrza dążącego z okolic biegunów ze strefą wiatrów zachodnich wiejących w szerokościach umiarkowanych, jest źródłem ciągłych zakłóceń w pogodzie, obszarem nieomal stałych mgieł, deszczów, burz — podobnie jak podzwrotnikowe zwanych cyklonami — i silnych wiatrów.

— Przepraszam bardzo, inżynierze, że przerwę — wtrącił kapitan. — Wiemy, że niejedyn statek wielorybiczny zginął bez śladu na tych wodach, przegrawszy walkę z rozszalałym żywiołem. A jak my przez tę strefę przebrniemy? Przecież nie możemy narażać naszego aerostatu na spotkanie z jakąś zawieją śnieżną czy szalejącym orkanem!

— Istotnie ma pan rację, kapitanie. Zastanawiałem się już nad tym. Chcąc uniknąć tych burz, należałoby wybrać do startu krótkotrwały okres ciszy lub też wznieść się do stref wysokich ponad jakieś 3000 m, gdzie już panuje mniej więcej jednostajny wiatr i na jego skrzydłach dotrzeć jak najgłębiej w kierunku biegunów. Wiadomo z badań meteorologicznych, że im bardziej będziemy się posuwali na południe, tym huragany będą stawały się rzadsze.

Gromski skończywszy badania meteorologiczne doszedł do następującego wniosku:

należy wyczekać cokolwiek dłuższego okresu pogody, potem wznieść się jak najwyżej w powietrze, ażeby się dostać w objęcia ciepłych zwojów prądu powietrznego i dając się im unosić coraz bardziej ku południowi, doczekać znowu jakiejś przyjaznej chwili, a kiedy ta nadejdzie, to znaczy kiedy siła wichrów północno-zachodnich zmniejszy się lub w ogóle ustanie, puścić się prosto ku południowi i korzystając już z siły motoru dotrzeć do bieguna; w razie przyjaznych warunków atmosferycznych wylądować tam, dokonać obserwacji naukowych, a potem polecieć z powrotem.

Umówili się z kapitanem parowca, że w odpowiednim czasie dotrze do lądu, jak można najdalej na południe i, gdy dadzą znać o sobie za pomocą aparatu do porozumiewania się na odległość, skonstruowanego przez inżyniera, odszukawszy ich zabierze z powrotem do ojczyzny. Musieli w tym celu wynająć okręt na ten czas, ale innego wyjścia nie było.

Taki plan nakreślił sobie inżynier po naradzie z kapitanem Fordem. Lecz, niestety, wykonanie jego nastęczało, jak się niebawem okazało, wielkie trudności.

W końcu jednak balon był gotów do odlotu i leżał, niby jakiś olbrzymi potwór, w swej budzie czekając na chwilę, kiedy ładna pogoda pozwoli mu znaleźć się w swoim żywiole. Jednakże upływał dzień za dniem, a wichry i burze następowały w krótkich odstępach jedna po drugiej. Gdyby nie to, że aerostat znajdował się w solidnym hangarze i na hali otoczonej ze wszystkich stron stromymi wyniosłościami, to niejedyn orkan mógłby go pochwycić w rozszalałe objęcia i rzucić bezwładnego na pobliskie góry, gdzieby się rozszarpał na strzępy o ostre skały. W pobliżu hangaru wzniesiono barak, w którym nasi podróżni nocowali. Jeden z nich znajdował się zawsze w hangarze, pilnując balonu.

Gromski niecierpliwie oczekiwał ustalenia się choćby na parę dni pogody, która by umożliwiła start. Jak na złość jednak burze nie przechodziły, a orkany nadal szalały dookoła i tylko dzięki temu, że hala była zabezpieczona od wtargnięcia silnych wichrów do dolinki, hangar nie ucierpiał. Krótkie przerwy Gromski zużytkował na badanie prądów atmosferycznych w górnych warstwach. W tym celu codziennie puszczano niewielkie baloniki gumowe i śledzono przez dobrą lunetę ich bieg na pułapie paru tysięcy metrów. Spostrzeżenia te wykazały, że wichry zachodnie panują aż do wysokości 4000, a nawet 5000 m, z lekkim odchyleniem ku południowi. Inżynier postanowił powierzyć swoją „Polonię” temu olbrzymiemu wiatrowi, dać się mu unosić jak najdalej na południe, po czym skierować się, puściwszy w ruch silnik, prosto na biegun.

Szkwaly i huragany wybuchające co kilka dni ze wzmożoną potęgą zmuszały naszych podróżników do oczekiwania w beczynności na jakiś przebłysk słońca i względny spokój w atmosferze. W tym nerwowym nastroju wyczekiwania upłynęły całe dwa tygodnie. Kapitan parowca, który odwiedzał od czasu do czasu żeglarzy powietrznych w ich górskim zakątku, jako doświadczony marynarz, daremnie usiłował nakłonić inżyniera do zaniechania wlotu z Ziemi Ognistej.

— Leży przed wami duży szmat oceanu — mówił — na którym, jak wiadomo, burze są na porządku dziennym. Jeżeli która pochwyci was w powietrzu, znajdziecie się w poważnym niebezpieczeństwie. Według mojego skromnego zdania powinniście dotrzeć do wybrzeży Antarktydy, jak to czyniły wszystkie wyprawy udające się do bieguna południowego, tam stworzyć sobie w bezpiecznej zatoce bazę, skąd dopiero wzniosłby się wasz balon. Unikniecie w ten sposób ryzykownego przelotu nad oceanem. Podejmuję się zawieźć was tam w przeciągu paru tygodni.

— Nieraz się zastanawiałem nad tym — odparł Gromski — lecz, jak panu wiadomo, na Morzu Południowym ciągnie się na przestrzeni wielu setek kilometrów olbrzymia bariera lodowa. Cook * i inni żeglarze płynęli wzdłuż niej nieraz bardzo długo, daremnie starając się znaleźć przejście. Kto nam zaręczy, że nie natrafimy na tę przeszkodę. W takim razie musieli-

* Czyt.: Kuk.

byśmy poświęcić kilka tygodni drogiego czasu, ażeby dostać się do Antarktydy. My zaś powinniśmy mieć lato podbiegunowe do swojej dyspozycji. Nie liczę na to, że jednym susem, że się tak wyrażę, dotrzemy do celu podróży. Byłby to optymizm nie do darowania. Lecz proszę pana, staraj się pan dotrzeć do lądu jak można najdalej na południe, tak jak się umówiliśmy.

W końcu pewnego poranka Gromski zauważył, że niebo wypogodziło się, obłoki wędrowały w pożądanym kierunku.

Inżynier i Ford byli wzruszeni, James ani przez chwilę nie tracił fantazji. Na jego twarzy igrał żywy uśmiech zadowolenia; idąc za radą inżyniera, ubrał się tak, jak i on w futrzaną kurtkę i lotnicze spodnie, po czym żartował z marynarzami najswobodniej w świecie. O siódmej rano wypuszczono próbny balonik, który, jak i pierwszy, zniknął w południowo-zachodniej stronie widnokręgu.

Nareszcie o ósmej inżynier dał znak do odjazdu. Wyprowadzono ostrożnie balon z hangaru, zbadawszy wszystko raz jeszcze dokładnie, zamieniono ostatecznie uściśnienia dłoni z otaczającymi aerostat marynarzami i zajęto miejsca w gondoli. James usadowił się na przodzie, tuż koło motoru, Gromski ulokował się na wygodnym krześle przy sterze.

— No, w drogę — rzekł inżynier — puszczajcie, chłopcy!

Milczenie zaległo dokoła aerostatu. Na twarzach obecnych malowało się żywe wzruszenie. Inżynier musiał powtórzyć swój rozkaz, gdyż majtkowie trzymający końce lin stali nieruchomo.

— Jedziemy! — zawołał radośnie James. — Czy można wyrzucić trochę balastu, kapitanie?

— Można, będziemy się prędzej wznosili.

Sternik wy różnił jeden worek piasku. W parę minut potem aerostat, wyleciawszy spomiędzy wzgórz otaczających dolinę, znalazł się w otwartym oceanie powietrznym.

Kapitan wychylony poza poręcz swego fotela, patrzył w milczeniu na zapadającą się zwolna ziemię. Czas jakiś widział jeszcze grupę marynarzy, którzy podrzucali w górę czapki z głośnym „hura”, po czym nagle dolinka z hangarem znikła mu z oczu; balon popychany rzeźkim, północno-zachodnim wiatrem bujał ponad skałami rozsianymi na wybrzeżach cieśniny.

Widok stawał się coraz rozleglejszy w miarę tego, jak aerostat wzlatywał wyżej. Spojrzawszy w dół kapitan spostrzegł, że łódka zawieszona jest ponad oceanem, który wyglądał jak wielka misa z niebieskiej porcelany. Na południu widniały w jaskrawym oświetleniu słonecznym sąsiednie wyspy; ich kontury rysowały się z zadziwiającą wyrazistością na czystym tle powierzchni morza. Cała południowa część archipelagu przedstawiała się oczom naszych żeglarzy jak olbrzymia mapa. Perspektywę psuły tylko, majaczące na południu poza lekką zasłoną mgły porannej, wyniosłości przylądka Horn. Kapitan chciał zawołać na Jamesa, aby się z nim podzielić swymi wrażeniami, ale głos zamarł mu w piersi; jakieś dziwne wzruszenie, coś niby przestrach wobec tej olbrzymiej przestrzeni wody i powietrza ogarnęło całą jego istotę.

Sternik doznawał podobnych uczuć; na wpół przechylony przez poręcz gondoli, trzymając się liny, patrzył w rozciągającą się pod nim przepaść; wspaniały, imponujący widok pochłaniał jego uwagę. Gromski tylko z zupełnym spokojem obserwował wskazówki wysokościomierza.

Nagle kapitan Ford pojał swe zuchwalstwo; zdawało mu się, że ta nieskończona przestrzeń wodna wznosi się coraz wyżej i wyżej i że lada chwila pochłonie zawieszony ponad nią aerostat.

— Spadamy! — zawołał.

I zerwawszy się z miejsca, jednym skokiem dopadł Gromskiego.

Inżynier pokręcił głową.

— Wznosimy się — rzekł wskazując na strzałkę przyrządu. — W tej chwili jesteśmy

już 830 m nad poziomem oceanu; podlegasz złudzeniu optycznemu, kochany kapitanie.

Ford spozrzał na wysokościomierz, a przekonawszy się, że ten wskazuje rzeczywiście wysokość 800 m z okładem, uspokoił się nieco.

— Więc płyniemy na południe? — zagadnął.

— Na południowy wschód, kapitanie. Nic nam nie grozi. Balon jest w doskonałym stanie; nie powinniśmy w żadnym razie wznosić się wyżej, jak na jakieś 1500 m. Gdy słońce przestanie świecić i gaz w balonie skurczy się, opadniemy o jakie kilkaset metrów niżej. Zresztą od wszelkiego przypadku mamy sporo balastu w postaci blaszanek z benzyną.

— Ale mnie się zdaje, że stoimy w miejscu! — zawołał nagle sternik.

— Skąd ci to przyszło do głowy, kochany Jamesie?

— Bo nie czuję niemal wiatru. Powietrze jest spokojne jak podczas zupełnej ciszy. Patrz pan, inżynierze, bibułka, którą położyłem na kolanach, prawie nie drgnie.

Dowód ten serdecznie rozśmieszył inżyniera.

— Przecież nie po raz pierwszy znajdujesz się w moim balonie — rzekł — ale powiedz mi, czy nie zdarzyło ci się kiedy płynąć z prądem bez wiosła i żagla albo kapać się w bystrej wodzie?

— Nieraz, inżynierze.

— No i cóż? Czy leżąc nieruchomo na bieżącej wodzie czujesz prąd?

— Nie, doprawdy, wtedy zdaje się, że woda jest prawie nieruchoma.

— Powinieneś więc zrozumieć, dlaczego nie czujemy, że wiatr nas unosi. Nasz aerostat ma niemal tę samą szybkość, co otaczające nas powietrze. Gdybyśmy lecieli nawet 200 km na godzinę, również nie uczuwalibyśmy żadnego wiatru.

— Jaki gapa ze mnie! — zawołał sternik nieco zawstydzony. — Jakże prędko płyniemy w tej chwili?

— Tego ci na razie nie potrafię powiedzieć. Gdyby pod nami był ląd, orientowalibyśmy się co do szybkości ze zmiany krajobrazów, ale tu, ponad jednostajną i pustą powierzchnią oceanu, musimy zdejmować położenie geograficzne jak na zwyczajnym okręcie. Doskonała prawie nieruchomość aerostatu w zupełności sprzyja obserwacjom astronomicznym. Stąd wiadać jeszcze Ziemię Ognistą, ale jest ona zbyt już odległa, ażeby nam dać pewne wskazówki.

— To głupio — mruknął James niezadowolony. — Na okręcie rzucam loch * i wiem od razu, ile robię węzłów.

— Tak, bo każdy statek ma swoją własną szybkość. Jeżeli byśmy puścili w ruch nasz motor, to nasz loch powietrzny da nam równie dokładne wskazówki, jak i ten, który jest w użyciu w marynarce.

Kapitan słuchając tej rozmowy badał uważnie horyzont.

Na północnym zachodzie można było jeszcze dostrzec najwyższe szczyty Ziemi Ognistej, lecz znikaly one coraz bardziej we mgle.

Sternik i kapitan zaobserwowali z pewnym zdziwieniem, że widnokrąg, pomimo wzniesienia się balonu, leżał ciągle na wysokości oka; ocean widziany z wysokości 1000 m, jak już nadmieniliśmy, przedstawiał się jak olbrzymia wklęsła czasza o wzniesionych brzegach.

— Widnokrąg wznosi się wraz z nami, inżynierze — rzekł James. — Czy tak zawsze bywa?

— To jest bardzo naturalne — odparł Gromski. — Oko ogarnia tym szerszą przestrzeń, im wyżej znajduje się obserwator. Znając wzniesienie naszego statku powietrznego, łatwo możemy obliczyć zasięg wzroku. Bierzymy liczbę 3862 i mnożymy ją przez pierwiastek kwadratowy wzniesienia nad powierzchnią ziemi. Otrzymana liczba daje nam promień widnokręgu. Jeżeli na przykład znajdziemy się na wysokości 10 000 m, to pierwiastek kwadratowy wyniesie tutaj 100 m, a zatem odległość, na jaką sięga nasze oko, wyniesie 386 km.

* Loch a. log — przyrząd do mierzenia szybkości okrętu.

— Aż tyle?! — wykrzyknął zdziwiony James.

— No, na takiej zawrotnej wysokości nigdy, jak sędzę, nie będziemy lecieli, ale może się zdarzyć, że „Polonia” będzie się unosiła jakieś 100 m nad morzem. W tym wypadku oko nasze ogarnie obszar o promieniu 38 km. W każdym razie z wysokości paruset metrów będziemy mogli dostrzec ląd odległy o kilkadziesiąt kilometrów.

Krótki ten wykład zainteresował sternika, który potem w wolnych chwilach zabawił się obliczeniami, jak daleko mógł widzieć z łódki balonu, którego wzniesienie potrafił sobie łatwo odczytywać z wysokościomierza.

Powietrze od samego rana było zupełnie czyste, pogoda na razie nie pozostawiała nic do życzenia; aerostat płynął spokojnie, od czasu do czasu tylko doznając lekkich podłużnych kołysań.

Gondola balonu była nadzwyczaj wygodna. Z tyłu, tuż przed siedzeniem sternika, znajdowały się drzwiczki z lekkich deseczek, wybite grubo korkiem i wełną. Prowadziły one do wygodnej kajuty. Wewnątrz niej umieszczono miękkie posłania dla dwóch osób. Pośrodku gondoli znajdowały się zapasy benzyny w zbiornikach z duraluminium i blaszanki, które stanowiły rezerwę, a w razie potrzeby służyły za balast, gdyż każda zawierała 10 l paliwa. W przedniej części gondoli na mocnym postumencie spoczywał silnik obracający śrubę trójramienną. W sąsiedztwie kajuty mieściła się spiżarnia i kuchnia. Sternik, dbały o wygody towarzyszy, wziął na siebie obowiązki kuchmistrza. Między tapczanami w kajucie znalazło się dość miejsca na stół i wygodne trzcinowe fotele. Obok sternika, który siedział z tyłu łódki, znajdowały się rozliczne przyrządy.

— Statek nasz — rzekł sternik skończywszy swój przegląd — pomimo całej swej doskonałości ma poważną wadę, proszę pana inżyniera. Jest stanowczo za lekki. Gdyby nie to, zgodziłbym się przez całe życie na nim żeglować.

Gromski nie mógł się powstrzymać od śmiechu wysłuchawszy tego zarzutu.

— Masz słuszość, mój stary, ale nie moja w tym wina, że powietrze jest około 770 razy lżejsze aniżeli taka sama objętość wody. Statek przeto przeznaczony do pływania w oceanie powietrznym musi też być tyleż razy lżejszy od zwyczajnego okrętu. Należy się z tym pogodzić i obywać się bez mebli i innych wygodnych, ale za to ciężkich przedmiotów.

Te wyjaśnienia nie pocieszały sternika. Narzekał ciągle przy łada sposobności, śmiesząc towarzyszy swoimi wymaganiami.

— Hm — mruczał — łóżko 10-funtowe, stół 5-funtowy, cały serwis waży 4 funty; doprawdy, jeżeli o tyle lżejsze okażą się nasze porcje, to nie ręczę, czy za kilkanaście dni nie będziemy mogli latać bez pomocy balonu.

W OBŁOKACH

O godzinie dziesiątej znikły na horyzoncie najwyższe szczyty przylądka Horn. Teraz nasi żeglarze nie widzieli dokoła siebie jak okiem sięgnąć nic, prócz gładkiej powierzchni oceanu rozciągającego się het, w nieskończoność.

Około pierwszej po południu Ford, pilnie przepatrujący przez lunetę horyzont, dostrzegł na północno-wschodniej jego stronie czarną plamkę.

— Zdaje mi się, że to będzie jakiś parowiec udający się do Chile lub Peru ze wschodnich wybrzeży — rzekł. — Widzę dość wyraźnie obłoczek dymu.

Z wysokości 1000 m, na odległym przynajmniej o 100 km horyzoncie, statek przedstawiał się w polu lunety jak maleńki robaczek pełzający po malachitowej czaszy; długi pióropusz dymu, wzbijający się z jego komina, wił się niby czarny wąż, na jasnym tle oceanu.

— Dym wzbija się ku niebu, więc chyba nie ma na dole wiatru — zauważył Ford —

pomimo to jednak bardzo szybko zbliżamy się do tego statku.

— Nie ma w tym nic dziwnego, kochany kapitanie — wtrącił Gromski. — Szybkość wiatru bowiem, jak tego dowiodły świeże badania, jest większa w górnych warstwach atmosfery aniżeli w niższych i rośnie w pewnym stałym stosunku. Tu, gdzie wysokościomierz wskazuje wysokość 970 m, powietrze, mimo ciszy panującej nad powierzchnią oceanu, posiada zapewne znaczną prędkość. Z wysokości 1000 m, podług moich obliczeń, oko widzi w promieniu 120 km; znajdujemy się więc od parowca w znacznej odległości. Czy pan nie dostrzegasz, w jakim kierunku on płynie?

— Zdaje mi się, że zwrócony jest ku północnemu zachodowi.

— Musimy uchwycić chwilę, w której statek znajdzie się z nami na jednej pionowej linii, w ten sposób oznaczymy szybkość unoszącego nas wiatru.

Ford i James z przyjemnością wpatrywali się w parowiec, który stanowił jedyny punkt, na jakim mogło spocząć ich oko błakające się po jednostajnej powierzchni oceanu.

O pierwszej statek znajdował się jeszcze o 30 km od balonu; z tej odległości był już dostrzegalny gołym okiem.

— Ciekawym, czy oni nas widzą — rzekł sternik: — Musieliby tego głowy zadziierać.

— Prawdopodobnie dostrzegają oni aerostat jako czarny punkcik wzniesiony o 5 lub 6° nad horyzontem — objaśnił Gromski.

Parowiec płynąc pod kątem do drogi balonu, zbliżał się ciągle; około drugiej po południu nie więcej niż 5 km dzieliło go od aerostatu.

Wkrótce minęli go i balon, pchany coraz silniejszym powiewem wiatru, zaczął oddalać się szybko od niego.

— To pewnie pierwszy i ostatni okręt — rzekł James ścigając wzrokiem parowiec, który już zniknął na granicy rozległego widnokregu. — Jutro będziemy napotykali już same góry lodowe. Jeżeli spadniemy, to i po wszystkim!

Inżynier nic nie odpowiedział. W duszy jego bowiem panowały te same uczucia, jakich doznawał sternik. Pomimo całej ufności do swego balonu, nie był on zdolen otrząsnąć się z pewnej tajemnej trwogi. Mogło przecież wydarzyć się coś nieprzewidzianego: jakaś niedokładność w budowie lub nieznaczna szpara w tkaninie wystarczała, ażeby aerostat spadł w podwójną przepaść — powietrzną i wodną, która rozpościerała się pod nim.

A wtedy czy znajdzie się statek, który by pośpieszył z pomocą rozbitkom powietrznym?

Inżynier wiedział doskonale, że nie; w okolicy oceanu, ponad którymi za kilkanaście godzin miał się znaleźć balon, nikt się nie zapuszczał prócz wielorybników.

Pod wpływem tych myśli Gromski uważnie obejrzał aerostat, który jednak znajdował się w jak najlepszym stanie.

— Dotąd statek nasz sprawia się doskonale — rzekł ukończywszy przegląd — płynie tylko bardzo wolno; przy takim tempie będziemy potrzebowali całego tygodnia, ażeby dotrzeć do bieguna.

— Więc puśćmy w ruch maszynę!

— O tym nie myślę; do motoru uciekniemy się w ostateczności dopiero. Zamierzam jednak poszukać wyżej wiatru posiadającego większą szybkość, przecie dotychczas nie odnaleźliśmy ciepłego prądu, na który liczę.

— Ha, szukajmy więc — odparł Ford — bylebyśmy tylko nie doznali zawodu.

— James, wpuść ciepłych gazów do balonu.

Rzekłszy to Gromski stanął na platformie u maszyny obok wysokościomierza, po dziesięciu minutach strzałka tego ostatniego zatrzymała się na punkcie odpowiadającym wzniesieniu 1200 m.

— Spójrz na termometr, kapitanie!

— Wskazuje 2° ponad zerem.

— Wybornie: temperatura się nie obniżyła wcale. Znalazłem! James, jeszcze!

W kwadrans potem aerostat podskoczył o 800 m i znajdował się teraz o całe 2000 m nad poziomem oceanu. Ku wielkiemu zdziwieniu Forda termometr zamiast opadać podniósł się do 3°. Inżynier jednak nie zatrzymał się jeszcze. Na jego żądanie James dalej wpuszczał do węzownicy ciepłe gazy z płonącego paleniska benzynowego, specjalnie do tego celu zbudowanego.

— Jak się czujecie? — zapytał Gromski. — Jesteśmy obecnie 2200 m nad oceanem.

— Mam szum w uszach — odparł Ford — i oddycham szybciej.

— I ja — dodał James — ale nie czuję nic więcej.

— To bardzo naturalne: znajdujemy się w bardzo rozrzedzonej atmosferze, płuca więc pracują silniej. Poczekajmy jednak trochę; taka nagła zmiana ciśnienia nie jest dobra. Za godzinę znów się wzniesiemy.

— Tymczasem może pan pozwoli usiąść do obiadu? — zagadnął nieśmiało James.

Odmienne warunki fizyczne nie odebrały dzielnemu sternikowi apetytu; kapitan i Gromski czuli się także doskonale, z ochotą więc przyjęli propozycję Jamesa.

Termometr wskazywał 4° ciepła, temperatura była zatem znośna.

Sternik energicznie zabrał się do dzieła i niebawem zastawił stół rozgrzanymi konserwami i świeżym befsztykiem z lamy, upolowanej w górach.

Wszystkim dopisywał doskonały humor; rozrzedzenie powietrza zaostrzało apetyt, toteż pieczeń, konserwy i marynaty znikwały z piorunującą szybkością. Ta napowietrzna uczta, 2000 m ponad powierzchnią oceanu, zaprawiona urokiem oryginalności, przeciągnęła się do czwartej. Nasi żeglarze śmiali się i żartowali tak swobodnie, jak gdyby siedzieli w jakiej nowojorskiej restauracji.

Z obserwacji wspomnianego parowca, płynącego z Afryki, inżynier przekonał się, że wiatr unosi „Polonię” ze znaczną szybkością, dosięgającą 70 km na godzinę. Widział w tym wskazówkę, że znalazł się w wirze południowej półkuli i zastanawiał się długo nad tym, jak dalece zbacza on w kierunku bieguna.

Zrobił więc krótką naradę z kapitanem Fordem.

— Nie ulega wątpliwości, że znajdujemy się w wirze południowej półkuli. Zastanawiam się tylko nad tym, czy nie moglibyśmy podróżować szybciej, gdybyśmy się wznieśli dajmy na to 4000 m. Nie mam jednak zamiaru dla wzniesienia się w górę marnować naszego cennego balastu, który, zamiast worków z piaskiem, składa się z blaszanek napełnionych benzyną. Ogrzewając gazy w balonie, możemy osiągnąć pułap 2000 m. Jeżeli będziemy chcieli dostać się ponad niego, będziemy musieli albo wyrzucić część nieocenionej dla nas benzyny do morza, albo, co jest daleko praktyczniejsze, puścić w ruch nasz silnik, który pochłania dość znaczną ilość paliwa, posiadając moc 1500 koni parowych.

— Spróbujmy na razie ograniczyć się do podgrzania helu naszym aparatem, chociaż i ten zabieg zmusza nas do spalenia kilkunastu litrów benzyny.

Ford ten ostatni sposób uznał za najwłaściwszy, zapalono więc piecyk, który dostarczał gorącego gazu rozchodzącego się lekkimi rurkami we wnętrzu balonu. Na skutek tego „Polonia” zaczęła powoli wznosić się, przebijając się przez warstwy obłoków. Teraz leżące pod nią srebrzysto błyszczące masy pary wodnej tworzyły niezmierny, ciągnący się w nieskończoność łańcuch gór fantastycznych; szczyty jego piętrzyły się jeden nad drugim, stercząc groźnie ponad aerostatem zawieszonym pod nimi. Widok ten zmieniał się co chwila. Szczyty chmurne rozszczepiały się w niebosiężne iglice, prostopadłe zbocza przeobrażały się w łagodne stoki, na przełęczach iskrzyły się promienie słoneczne. Gwiazda dzienna, przeciskając się mozolnie pomiędzy mglistymi turniami, zamieniała je jakby w wulkany zionące ogniem i złotą lawą. Promienie jej, odbite od najwyższych szczytów ku niższym warstwom, zapełniały subtelnym pyłem wnętrza dolin, wdzierały się w głębokie zapadliska, zalewały ciemną purpurą olbrzymie jaskinie wyżłabiane w przeciągu kilku minut w zboczach. Powoli jednak te olbrzymie wierzchołki zrastały się ponad aerostatem, tworząc srebrne sklepienie, na którym

słońce malowało cudowne freski. Spodnia warstwa natomiast krzepła, zbijając się w jednolitą, jakby marmurową masę; szpary, przez które miejscami przeglądał ocean, zamykały się i wreszcie wszystko to stopiło się w jakąś imponującą, wielką jak świat budowlę, której wnętrze kapało złotem, srebrem i purpurą.

Balon wisiał pośrodku niej nieruchomy, rzucając na przeciwległą słońcu ścianę olbrzymi cień okolony świetlaną aureolą.

James, uniesiony tym widokiem, klaskał w ręce; Ford, oparty o poręcz łódki, przypatrywał się w milczeniu, przejęty zachwytem. Nawet Gromski, który nieraz miał sposobność widzieć te cuda, był nimi zachwycony.

— To wspaniałe, nieporównane! — powtarzał z przejęciem. — Nieprawdaż, kapitanie?

— Jesteśmy w jakimś czarodziejskim świecie, o którego pięknie nikt na ziemi nie ma pojęcia. Ach, jakże żałuję, że nie umiem malować!

— Ocean powietrzny dostarczy nieskończonej ilości tematów naszym artystom.

— Co za rozmaitość! Patrz pan!

I Gromski wskazał palcem na obłok, który, oddzieliwszy się od jednej ze ścian, bujał w przestrzeni, przypominając kształtami olbrzymiego latającego smoka; w chwilę potem zamienił się on w pająka i, zasnuwszy niezmierną pajęczyną sklepienie, znikł gdzieś pomiędzy mglistymi kolumnami.

Jeszcze nasi żeglarze nie zdążyli rozejrzeć się po tym gmachu z obłoków, a już miejsce jego zajęła ponura jaskinia, zaludniona bajecznymi jakimiś istotami i potworami, które jak mary snuły się w półmroku.

Opuszczające się ku horyzontowi słońce zalewało wnętrze tej jaskini potokami rubinowego światła, podczas gdy dno jej tonęło powoli w ciemności.

W kwadrans potem ocean znikł poza nieprzeniknioną fioletową oponą, a sklepienie fantastycznej grotty długo jeszcze gorzało. O godzinie dziesiątej zgasło jednak i ono. Noc ogarnęła tę nieskończoną przestrzeń; tarcza słoneczna, niewidzialna już z powierzchni oceanu, rzucała ostatnie blaski spod horyzontu. Nasi żeglarze, onieśmieleni zbliżającymi się ciemnościami, niespokojnie spoglądali po sobie.

— Zdaje mi się, że opadamy — rzekł Ford rzucając okiem na wysokościomierz — Jesteśmy na wysokości tylko 2000 m.

— Spodziewałem się tego — odparł Gromski — promienie słońca nie ogrzewają już aerostatu, gaz więc kurczy się. Powinniśmy jednak zatrzymać się na wysokości 1000 m. Dziwi mnie tylko, że termometr wskazuje jeszcze 3° ciepła.

— Czy będziemy czuwać przez całą noc, inżynierze?

— A to po co, kochany kapitanie? Połóż się i śpij najspokojniej; ja zajmę miejsce przy sterze około wysokościomierza i także zdrzemnę się trochę. Balonowi nie zagraża najmniejsze niebezpieczeństwo, zaręczam panu.

— A gdyby się zerwała burza?

— To i cóż? Nie poczujemy nawet, że huragan nas unosi. Co prawda, piorun mógłby uszkodzić balon, ale w tej szerokości geograficznej rzadko przytrafiają się nawałnice z piorunami. Nie spadniemy również, gdyż aerostat stale utrzymuje się na jednej wysokości. Zresztą ustalimy dyżury na każdą noc.

— To dzisiaj może ja. Wcale mi się spać nie chce — powiedział James.

— Dobrze — zgodził się inżynier. — Niech pan zwróci uwagę na wysokościomierz i w razie potrzeby ogrzeje gaz. No, dobranoc panu, kapitanie! Powinieneś spać tutaj daleko lepiej aniżeli w kajucie okrętowej lub pociągu. Jest teraz wpół do jedenastej, masz pan zatem do wschodu słońca pięć godzin czasu.

I Gromski, powiedziawszy sternikowi, aby go zbudził o czwartej, to jest mniej więcej o świcie, rozciągnął się wygodnie w fotelu, a w dziesięć minut potem usnął tak spokojnie, jak gdyby znajdował się w swym domu pod Chicago. Ford poszedł za jego przykładem.

WSCHÓD SŁOŃCA O PÓLNOCY

James postanowił nie zawieść zaufania, jakie pokładali w nim towarzysze. Ponieważ inżynier kazał czuwać nad tym, żeby aerostat nie opadał, przeto sternik, usadowiwszy się przy wysokościomierzu, nie spuszczał z niego oka.

Dzielny marynarz czuł pewien niepokój na myśl, że bezpieczeństwo balonu zależy głównie od jego czujności. Z początku zdawało mu się, że daleko łatwiej jest obsłużyć statek powietrzny aniżeli zwykły parowiec — prędko jednak przekonanie to znikło; James w końcu począł wątpić, czy potrafi dać sobie radę w razie potrzeby. Zastanawiał się więc w myśli, jakie niebezpieczeństwa mogą grozić balonowi.

Naprzód upadek, ale tego nie miał co się obawiać, gdyż wysokościomierz wskazywał ciągle 2000 m i wcale się nie podnosił, zupełnie czyste niebo zwiastowało pogodę. Aerostat, płynąc w otwartej przestrzeni, nie był narażony na potrącenie o żadną górę.

Pomimo to jednak stary marynarz wychylał się co chwila za poręcz i podejrzliwie zagłębiał wzrok w pustą przestrzeń. Dziwnie się czuł wobec martwej, niczym nie zmaconej ciszy, która zalegała dokoła. Na okręcie, siedząc u steru, słyszał zwykle łoskot maszyny, trzeszczenie wiązań, skrzyp masztów, poświst wiatru w linach i szum fal; tutaj nic, zupełnie nic.

Zdawało się, że balon zawieszony jest gdzieś o 1000 mil nad ziemią pośród otaczających go gwiazd. Ten pozorny spokój drażnił Jamesa; zacny marynarz począł niebawem serdecznie przeklinać podobny rodzaj żeglugi, w której cała jego wiedza i doświadczenie na nic zdać się nie mogły.

— Tfu — mrucał — ster niepotrzebny, a nie wiadomo, dokąd i jak się jedzie. Hm, pytanie jeszcze, czy nie stoimy w miejscu, lichy to raczy wiedzieć. No, mniejsza o kierunek, byle nie spaść!

Zauważył, iż poczynano się rozjaśniać; wschodnia strona nieba przybrała czerwonawą barwę; przy tym blasku wyraźnie widać było warstwę obłoków leżącą nisko pod balonem.

„Księżyc zapewne wschodzi” — pomyślał James.

W pół godziny jednak potem satelita ziemi nie ukazał się jeszcze na horyzoncie, a pomimo to zorza stawała się coraz żywsza.

Wkrótce, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, sternik spostrzegł w pobliżu zenitu parę różowych chmur; noc widocznie ustępowała przed jakimś potężnym światłem. James gubił się w domysłach nad przyczyną tego niepospolitego zjawiska; przypuszczał, że we wschodniej stronie, gdzieś daleko, znajduje się wybuchający wulkan, lecz odbłask na horyzoncie nie przypominał ani łuny, ani zorzy polarnej; w przestrzeni panował szary mrok, zupełnie podobny do przedświt. Zegarek wskazywał prawie kwadrans przed dwunastą; do wschodu słońca brakowało z górą trzech godzin.

Cóż więc miało znaczyć to światło?

Na to pytanie James w żaden sposób nie mógł znaleźć odpowiedzi, toteż cierpliwie oczekiwał, aż zagadka sama się rozwiąże.

Tymczasem stawało się coraz widniej; drobne chmurki rozszarzały się w zetknięciu z tajemniczą zorzą, ocean zrzucił oponę grubej mgły, pod którą skrył się niedawno; wielkie jej szmaty tułały się jak duchy ponad jego bladą powierzchnią, kapryśnie odbijając zapłonione niebo.

Nagle z najsilniej gorejącego punktu strzeliły w górę ku zenitowi, niby race olbrzymie, liczne promienie olśniewającego światła i równocześnie z oceanu wynurzyła się powoli tarcza słoneczna, ścieląc na falach szeroki gościniec ognisty.

Pocziwy sternik podczas swych długich podróży podbiegunowych był świadkiem wielu niezwykłych zjawisk, żadne jednak nie uczyniło na nim tak wielkiego wrażenia, jak ten niespodziewany wschód słońca o północy.

Stał chwilę jakby zahipnotyzowany tą kulą ognistą, która przykuwała jego wzrok, potem machinalnie sięgnął po zegarek.

— Za pięć minut — północ...

I, powtarzając „północ”, pochwycił za ramię śpiącego głęboko Gromskiego i wstrząsnął nim potężnie.

Przebudzony w ten sposób inżynier zerwał się na równe nogi.

— Co to, już rano? — zagadnął przecierając oczy. — Która godzina?

— Północ, proszę pana.

— Co ty bajesz?

— Sama północ, ale niech pan patrzy: tylko co weszło słońce; tu inny świat jakiś... do góry nogami wszystko przewrócone!

Prostoduszny sternik mówiąc to, miał tak zabawną minę, iż Gromski wybuchnął głośnym śmiechem.

— Pewnieś zasnął, mój stary.

Marynarz zachnął się oburzony.

— Co, ja zasnąłem? Ja? Et, lepiej niech pan sam zobaczy, która godzina.

— No, która? — zagadnął Ford, którego obudziła ta gwałtowna wymiana zdań.

— Rzeczywiście północ — bełkotał Gromski pomieszany. — A u ciebie, kapitanie?

— Także północ, co to ma znaczyć?

I wszyscy trzej spoglądali po sobie, zdumieni tą zgodnością.

— Wschód słońca o północy? To ciekawe! — zawołał Gromski uśmiechając się. — Cóż to, ziemia prędzej niż zwykle obróciła się koło swej osi czy co u kaduka?

Kapitan wzruszył ramionami.

— Zdumiewające zjawisko astronomiczne, inżynierze — odparł. — Słońce zaszło o dziewiątej, nieprawdaż?

— Właściwie o dziewiątej minut piętnaście, gdyż ze wzniesionego o 3 km balonu dłużej było widzialne niż z powierzchni oceanu.

— Jakże więc objaśnisz pan tę krótkotrwałość nocy?

— Zaczynam się orientować! — odrzekł inżynier. — Balon przeszedł widocznie przez koło biegunowe i znajduje się w okolicach, gdzie panuje obecnie ciągły dzień. Robiliśmy, jak sądzę, 100 km na godzinę w kierunku południowo-wschodnim. Otóż gdybyśmy wyruszyli akurat 21 grudnia, wtedy z zupełną ścisłością moglibyśmy powiedzieć, że w tej chwili jesteśmy oddaleni od bieguna o 23,5°; obecnie wszakże granica ciągłego dnia na tej półkuli posunęła się cokolwiek ku południowi: ujrzyliśmy słońce nieco poza kołem biegunowym. Stąd można by obliczyć, iż znajdujemy się mniej więcej pod 69° szerokości.

Kapitan potrząsnął głową.

— Cała ta sprawa nie przedstawia mi się tak jasno, jak tobie, inżynierze. Wiem tylko jedno, że znajdujemy się poza kołem biegunowym, w sferze nieustającego dnia, pod tym względem zgadzam się z panem zupełnie. Nie wierzę jednak, że posuwamy się prosto na południe. Nie ma innej rady, tylko trzeba czekać południa, wtedy będzie można obliczyć położenie geograficzne balonu.

— Po co?

— Ażeby zaobserwować za pomocą sekstansu wysokość słońca. Znając ją, będziemy w stanie oznaczyć zupełnie dokładnie geograficzne położenie balonu.

Gromski nie mógł zarzucić nic kapitanowi, który znał kosmografię * i posiadał wieloletnie doświadczenie, zdobyte w podróżach podbiegunowych. Po krótkim namyśle zgodził się więc czekać aż do południa. Ford radził jeszcze, ażeby opuścić się w niższe warstwy atmosfery i zmniejszyć w ten sposób szybkość balonu; inżynier jednak nie przystał na to.

* Kosmografia — nauka opisująca ciała niebieskie.

— Jeżeli będziemy się posuwali nadal z tą samą, co i dotychczas szybkością, to do południa zbliżymy się o kilkaset kilometrów do bieguna.

— To nie jest zupełnie pewne! — mruknął Ford. I dzielny marynarz, nie nalegając już, zajął się przygotowaniem instrumentów niezbędnych do czynienia pomiarów.

W łódce znajdował się doskonały sekstans, mogący posłużyć do oznaczania wysokości słońca, prócz tego Gromski zabrał pyszny chronometr, uregulowany podług południka Greenwich. Tymczasem James opowiadał inżynierowi szczegółowo o swych nocnych obawach.

Wysłuchawszy go, Gromski poszedł spojrzeć na wysokościomierz; ten wskazywał 1300 m i nieznacznie opadał. Widocznie gaz rozszerzał się pod działaniem promieni słonecznych. Inżynier, nie chcąc się znaleźć za wysoko, rozkazał sternikowi, aby zgasił palenisko. Dzięki tej ostrożności aerostat aż do południa utrzymywał się na jednej wysokości, nie dotykając warstwy obłoków leżących o jakie 200 m pod nim. Od pewnego czasu temperatura poczęła się znacznie obniżać; termometr wskazywał już tylko 3°; prąd ciepły ochładzał się zatem widocznie.

Na dobre pół godziny przed południem Ford zasiadł przy sekstansie i nie odrywał już ani na chwilę oka od lunety, obserwując wysokość słońca; inżynier, klęcząc przy nim, oczekiwał z pewnym niepokojem rezultatu spostrzeżeń.

Kapitan przekonał się, że łódka aerostatu daleko lepiej nadaje się do obserwacji astronomicznych aniżeli pokład okrętu; instrument bowiem stał zupełnie nieruchomo, jak gdyby spoczywał na granitowym podmurowaniu.

— Czy słońce jeszcze się wznosi? — zagadnął niecierpliwie Gromski.

Lecz Ford nie odpowiedział, nie słyszał zapewne; cała jego uwaga skierowana była na nitki pajęczne, przez które przesuwiał się obraz gwiazdy dziennej.

— Południe — rzekł wreszcie, podnosząc głowę.

Obserwacja dokonana została z pedantyczną ścisłością.

— 72° 22' 40" szerokości i 16° 46' długości na zachód od Greenwich — rzekł Ford skończywszy rachunek.

Zapisawszy te dwie liczby w dzienniczku Ford wziął wielką mapę południowych części Atlantyku i rozłożył ją na platformie obok maszyny. Inżynier i sternik z niepokojem patrzyli, jak ołówek jego błąkał się po pustej białej przestrzeni, szukając oznaczonego punktu.

— Tu — rzekł wreszcie kapitan, robiąc maleńki krzyżyk.

Położenie tego znaczka było prawdziwą niespodzianką dla naszych żeglarzy.

— Ależ my nie płyniemy do bieguna! — zawołał James.

Gromski nic nie odpowiedział. Pochwyciwszy tylko drżącymi ze wzruszenia palcami ołówek, nakreślił nim linię biegnącą od przylądka Horn aż do nieszczęsnego krzyżyka.

Kierunek jej potwierdzał niestety najzupełniej słowa, wyrzeczone przez sternika. Widoczne było, że aerostat posuwał się zgodnie z przypuszczeniami tegoż na południowy wschód i to ze znaczną szybkością, której nasi żeglarze nie domyślali się nawet. Przebyta w ostatnich 24 godzinach przestrzeń wynosiła co najmniej 2000 km.

— Tak — wyszeptał Gromski opuszczając ręce — ten wiatr nie zanieś nas do bieguna.

— Winienes pan był liczyć się z obrotem ziemi, który zmienia kierunek prądów. Na półkuli północnej, jak wiadomo, ciało poruszające się ku równikowi zbacza w prawo, to jest na zachód. Pasaty dowodzą tego wymownie. Na półkuli południowej zachodzi odwrotne zjawisko; prawu temu podlega także unoszący nas górny wiatr.

— Mamy więc wskazówkę, co czynić na przyszłość — rzekł Gromski — nie jest jeszcze tak źle z nami. Gdybyśmy powierzyli się mu na dłuższy okres czasu, to koniec końców wir powietrzny zaniósłby nas po spiralnej linii może aż na sam biegun.

Uradzono uczynić pewną próbę odszukania przyjaźniejszych wiatrów w niższych warstwach atmosfery. Zaczęto się więc opuszczać. Pod stopami naszych żeglarzy leżała war-

stwa białych obłoków o bardzo regularnej konfiguracji. O wpół do czwartej „Polonia” zanurzyła się cała w tym morzu śmietankowym, falującym w podmuchach niedostrzegalnego dla żeglarzy wiatru. Okazało się, że obłoki te w przeciwieństwie do górnego prądu unoszą się w lodowatej atmosferze.

— Brr — wstrząsnął się sternik — zdaje mi się, że wpadliśmy w chmury śniegowe.

Termometr istotnie spadał gwałtownie z 3° ponad zerem do —2°. Wilgoć osadzała się delikatnym szronem na wszystkim: na maszynie, na gondoli, na linach, a nawet na włosach, tak iż niebawem nasi aeronauci wyglądali jak starcy. Sternik chcąc przejść na środkową platformę gondoli, zbliżył się do motoru, a kiedy chciał się o niego oprzeć, wypadła z metalu z traskiem iskra elektryczna i boleśnie ukłuła go w rękę.

— Goddam! — zaklął marynarz.

Wyładowanie to dowodziło, że chmury nasycone były elektrycznością.

— Jamesie, zapal ognisko i ogrzewaj gaz! — krzyknął nagle Gromski. — Prędeż, prędeż, spadamy!

Widać para wodna, marznąc na powłoce balonu, zwiększyła jego ciężar, gdyż wysokościomierz szybko się podnosił.

W przestrzeni panował półmrok. Chmura, przez którą przelatywał balon, była tak gęsta, że Ford nie widział sternika stojącego odeń o kilka metrów. W pięć minut po wejściu w warstwę tych lodowych chmur balon znalazł się o kilometr nad poziomem oceanu; szybkość spadania rosła zatrważająco; Gromski czuł, że położenie staje się krytyczne, z dołu dochodził ponury szum, niby ryk oddalonej burzy. Ucho kapitana rozpoznało go natychmiast.

— Ocean pod nami! — zawołał.

Szum ten potęgował z każdą chwilą, nie pozwalając wątpić, że Ford miał słuszność. Inżynier raz jeszcze spojrzawszy na wysokościomierz, przekonał się, że musi się pozbyć części rezerwowego balastu, wyrzucił więc poza burtę, choć z wielkim żalem, parę blaszanek, zawierających benzynę. Pomimo to „Polonia” opadała nadal.

— Bacność! — zawołał.

W tej chwili jednak nieprzenikniona mgła, otaczająca aerostat, rozstała się nagle i znaleziono się w przezroczystej atmosferze. O paręset zaledwie metrów pod łódką ryczał ocean. Po jego ciemnoszmaragdowej powierzchni biegły jedna za drugą długie, białe wstęgi; były to pienne grzywy bałwanów toczących się w południowo-zachodnim kierunku, aż ku zachmurzonemu horyzontowi. Wznosiły się one, jakby podczas olbrzymiego przepływu, gotując się na przyjęcie spadającego balonu.

Inżynier nie namyślając się już wyrzucił jeszcze parę blaszanek, na skutek czego aerostat zwolnił spadek i zawisł o paręset metrów ponad wzburzonym morzem.

— Do pioruna! — krzyknął zadyszany sternik. — W sam czas zatrzymał pan balon, o włos nie napiliśmy się słonej wody.

Aerostat wyglądał zupełnie, jak gdyby przeszedł przez warstwę puchu. Subtelna szadź, pokrywająca nie tylko powłokę, ale i wszystkie przedmioty w gondoli, uczyniła go znacznie cięższym i omal nie spowodowała katastrofy. Tutaj, niedaleko powierzchni oceanu, termometr wskazywał parę stopni ponad zero, szadź poczęła więc topnieć, toteż balon powoli odzyskiwał swą lekkość.

Nasi żeglarze, ochłonawszy cokolwiek z pierwszego wrażenia, poczęli zastanawiać się nad swym położeniem. Ford od razu poznał, że balon i tu także posuwa się na południowy wschód. Dowodziło to, że wiatr północno-zachodni porywa za sobą całą masę powietrzną od powierzchni morza aż do paru tysięcy metrów wzwyż.

— Posuwamy się z szybkością 30 węzłów — rzekł kapitan.

— Jakimże sposobem dowiedziałeś się pan o tym? — zagadnął zdziwiony Gromski. — Kierunek odgadnąć nie trudno, spoglądając na fale, ale prędkość...

— To bardzo proste — odparł Ford — licz pan, ile razy na minutę łódka znajdzie się

ponad pienistym grzbietem bałwanu, pomnóż otrzymaną liczbę przez 300, a otrzymasz szybkość względną w metrach. Długość fali na oceanie nie przenosi 300 m.

— A ruch własny bałwanów?

— Trzeba go także brać w rachubę — odparł kapitan. — Wiadomo, że fala rozchodzi się z szybkością średnią około 10 m na sekundę. Biorąc te wszystkie dane pod uwagę, wypada, że nasz balon, unoszony wiatrem, robi po 30 węzłów.

— A jednak chcielibyśmy znaleźć w niższych warstwach atmosfery przyjaźniejszy prąd powietrza, który by nas unosił w kierunku mniej więcej południowym. Jak więc radzisz, kapitanie, czy poczekać na zmianę kierunku wiatru?

— Można spróbować — odparł Ford. — W podróży moich do bieguna nieraz obserwowałem nagle zmiany kierunku prądów atmosferycznych.

— Mamy dość czasu przed sobą — rzekł Gromski — na burzę się nie zanosi, może by zatem zarzucić kotwicę.

Inżynier odczepił z haka worek z grubego płótna, przywiązany do długiej na 200 m i mocnej linki i wyrzucił go. Balon na mgnienie oka uwolniony od balastu 50 kg podskoczył nieco, niebawem jednak wrócił do dawnego poziomu. Worek muskał z lekka bałwany, przeskakując z jednego grzbietu na drugi, dotknięcia te jednak robiły go coraz cięższym, po kilkunastu skokach znikł nagle w wysokiej fali, skąd wypłynął pękaty, niezgrabny, podobny do potwornej ryby złowionej na wędkę. Aerostat zadrgał konwulsyjnie w splotach swej siatki i przepadł wyczerpany jakby, zatrzymując się na wysokości kilkudziesięciu metrów.

— Stoimy więc na kotwicy! — zawołał Gromski.

SZÓSTA CZĘŚĆ ŚWIATA

Gdy tylko kotwica wodna pograżyła się w morzu, nasi żeglarze uczuli zaraz prąd powietrza, który nie mogąc unosić dalej balonu szarpał nim gniewnie, wytlaczał głębokie wklęsnięcia w powłoce i wydobywał przeciągłe tony z lin podtrzymujących gondolę.

Przebiegające spodem fale podrzucały rytmicznie worek kotwiczny, wskutek czego „Polonia” kołysała się jednostajnie, jak gdyby sama dotykała powierzchni oceanu.

— Nie spodziewałem się, że wicher jest tak silny — rzekł inżynier. — Mniejsza o to jednak, lina wytrzyma wstrząśnienia.

— Balon wlecze kotwicę wodną — zauważył Ford. — Patrz pan, jak jej rama pruje fale. Posuwamy się z wiatrem z szybkością kilku węzłów.

— To bagatela, kochany kapitanie, robiąc kilkadziesiąt mil na dobę nie potrzebujemy obawiać się przymusowego powrotu do Ameryki. Moglibyśmy czekać na zmianę wiatru choćby parę dni. Obawiam się tylko jakiejś gwałtownej burzy, które w tych szerokościach geograficznych bardzo często występują. Znajdujemy się w pobliżu owego pasa niskiego ciśnienia, otaczającego Antarktydę, i według mnie, powinniśmy jak najprędzej opuścić te niebezpieczne okolice.

— Ta kotwica wodna jest doskonałym wynalazkiem! — zawołał Ford. — Jeżeli się nie mylę, to wiele balonów uniesionych wiatrem zginęło w morzu.

— W istocie — odparł inżynier. — Najwięcej takich wypadków zdarzyło się podczas oblężenia Paryża przez Prusaków. Z sześćdziesięciu czterech balonów wypuszczonych z tego miasta, trzy czy cztery przepadły bez wieści. Pamiętam, że marynarz Prince * i żołnierz Lacase **, którzy w listopadzie 1870 roku i w styczniu 1871 wystartowali o trzeciej rano,

* Czyt.: Pręs.

** Czyt.: Lakaz.

znaleźli śmierć w falach Atlantyku. Znakomity aeronauta Sivel, który pierwszy używał workowej kotwicy, znajdował się nieraz w tym położeniu, co i my obecnie. Puszczal się on kilkakrotnie nad morze; w Zatoce Neapolitańskiej hamulec podobny do naszego ustrzegł go od niebezpieczeństwa, jakim groził wiatr wiejący od brzegu. Dnia 19 sierpnia 1894 roku tenże Sivel wzniósł się balonem „Zenit” z Kopenhagi, spodziewając się przelecieć do Szwecji; w połowie drogi wiatr wykręcił się jednak ku północy. Sivel, nie chcąc narażać swych towarzyszy na ryzykowną podróż nad otwartym morzem, wyrzucił workową kotwicę i, zawieszony o 100 m nad morzem, doczekał się przybycia wysłanych mu z pomocą statków.

Sternik nie miał nic przeciwko temu „przystankowi”; jako prawdziwy marynarz, czuł się najlepiej wśród szumu fal na kołyszącym się pomoście.

— Dzisiaj będziemy jedli obiad jak na zwyczajnym okręcie — mówił. — Pełnych kubków i talerzy nie można stawiać na naszym stole.

Przy doskonałym winie i przy ożywionej rozmowie nasi żeglarze powietrzni zapomnieli niebawem o przygodzie w obłokach lodowych. Siedzieliby zapewne dłużej w swojej jadalni, gdyby kapitan nie był spostrzegł w południowej stronie horyzontu kilku jasno błyszczących w słońcu punktów.

— To góry lodowe — rzekł podnosząc się.

Góry lodowe zbliżały się powoli do balonu, błyszcząc w promieniach słońca.

— Powiedz mi pan — rzekł inżynier zwracając się do Forda — jakie jest ich pochodzenie?

— Pojawienie się gór lodowych dowodzi zawsze bliskości ładu — odparł marynarz — gdyż nigdy nie tworzą się one na otwartym oceanie. Wielkie lodowce, ściekając powoli z wyżyn Antarktydy, dosięgają koniec końców wybrzeża morskiego. Jeżeli krawędź ładu jest bardzo stroma, to część lodowca, utraciwszy podporę naturalną, jaką dla niego stanowią skały, odłamuje się i spada z wielkim łoskotem do morza, ażeby po chwili wśród zamętu, jaki wywołało to wstrząśnienie w głębinach, wypłynąć znowu na powierzchnię w postaci właśnie jednej z takich nader licznych gór lodowych. Zdarza się jednak, że lodowiec na płaskim wybrzeżu pełźnie jakiś czas pod wodą, gdzie od czoła jego odrywają się bryły lodu. Jeżeli taka bryła słodkiego lodu nie utknie między krami, to wydostaje się na otwarty ocean i niesiona prądami błąka się przez długi czas po bezmiarach wód; w chwili narodzin wygląda jak kolosalna płaska szyba, której jedna siódma wystaje z wody, a pozostała część jest pogrążona w morzu. Jeżeli, dajmy na to, góra lodowa ma wysokość 30 m, to jej rzeczywista wysokość na lądzie wynosi około 200 m. Jest to niezbitym dowodem, jak niezmiernie grubą warstwą lodu pokryty jest ład południowy. Granica, do jakiej docierają góry lodowe, jest czasami bardzo odległa od bieguna; na południowej półkuli można je napotkać jeszcze pod 50° szerokości.

— Szkoda, że biegun południowy nie leży wśród oceanu i że prądy morskie nie płyną w jego kierunku — westchnął James. — Wtedy obeszlibyśmy się bez przyjaznego wiatru. Ot, po prostu zakotwiczylibyśmy się na jakiejś górze lodowej, wędrującej na południe, a ta przyholowałaby nas do celu naszej podróży.

— Trzeba ci przyznać, mój stary, że wpadłeś na oryginalny pomysł — rzekł kapitan uśmiechając się. — Góry lodowe płyną nieraz pod wiatr, jeżeli tylko unosi je prąd płynący w kierunku przeciwnym. Może się nam uda kiedyś wykorzystać twój wynalazek, jeśli nie zginemy. Tymczasem jednak musimy unikać spotkania z górami lodowymi, jeżeli nie chcemy, aby nas zatopiły.

Gromski był tego samego zdania. Przewidywał on, że balon znajdzie się niebawem na drodze olbrzymich brył lodu.

— Musimy przeskoczyć przez te lodowce, jeżeli nie zdołamy ich wyminąć — rzekł.

— Będzie to ładny skok — zauważył Ford. — Patrz pan, jak aerostat napręży linę: szron, który go obciążał w chmurach lodowych, stopniał już zupełnie, odzyskaliśmy więc

poprzednią siłę wlotu. W tych warunkach wzniesiemy się w krótkim czasie na jakie 4000 do 5000 m.

Inżynier wiedział doskonale o tym wszystkim, pomimo to na jego twarzy nie znać było zakłopotania; z zimną krwią patrzył na zbliżające się góry lodowe, których ostre wierzchołki mogły za najłżejszym dotknięciem rozedrzeć powłokę balonu.

W kilkanaście minut potem już tylko pół kilometra dzieliło aerostat od gór lodowych. Starcie z nimi stawało się nieuchronne. Gromski zrozumiał, że niebezpiecznie byłoby zwlekać dłużej z wyminięciem przeszkody; pochwycił więc za sznur przytwierdzony do dna worka i począł ostrożnie wywracać go na drugą stronę. Wylewana powoli woda zmniejszała coraz bardziej wagę worka, toteż niebawem balon dźwignął go i ciężko, jak orzeł z grubą zdobyczą, wzleciał nad lodowe urwisko. Ale ciężar wody, która pozostawała jeszcze w torbie, zastępował balast.

Stało się to w samą porę. Nieco opóźnienia, a kotwica zaplątałaby się wśród załamów najbliższej góry lodowej.

Balon, przemknąwszy ponad przeszkodami, pędził szybko, unoszony nieprzyjawnym wiatrem, niebawem jednak dotknął znów kotwicą powierzchni oceanu, worek nabrał więcej wody i, jak się wyraził sternik, zakotwiczył doskonale „Polonię”.

Nasi żeglarze niejednokrotnie potem spostrzegali pływające góry lodowe, mijały one jednak balon z daleka, nie grożąc mu żadnym niebezpieczeństwem. Za to inżyniera niepokoiła stałość wiatru nieprzyjawnego. Niebawem upłynęła cała doba od przygody w lodowatych obłokach. Roztropność nie pozwalała oczekiwać dłużej. Wobec tego złożono walną radę, co dalej czynić.

— Znajdujemy się w pobliżu Antarktydy, gdzie bardzo często wybuchają gwałtowne orkany. Musimy za wszelką cenę jak najprędzej wydostać się z tej niebezpiecznej strefy. Według mnie, powinniśmy powierzyć się górnemu wiatrowi, kierunek obłoków pozwala nam przypuszczać, że wzniósłszy się znowu w górne strefy, będziemy na jego skrzydłach krążyli dookoła Antarktydy, co nam da doskonałą sposobność zbadania wybrzeży tej części świata, tak mało dotąd znanej. Jeżeli po upływie dłuższego czasu, na przykład 48 godzin, przekonamy się, że tego rodzaju podróż nie da nam pożądaných wyników, to uciekniemy się do motoru, ażeby dostać się ponad lodową powłokę szóstej części świata. Dosięgnąwszy jakiegoś 80° szerokości południowej, skierujemy się wprost ku biegunowi. A co nastąpi potem, wszystko będzie zależało od stanu pogody. Jeżeli mam być szczery, to najbardziej lękam się owych gwałtownie wybuchających orkanów, które w tych okolicach naszego globu zdarzają się nawet pod wysokimi szerokościami geograficznymi, gdzie panuje zimny antycyklon, wynoszący chłodne masy powietrza ruchem wirowym z południa ku północy.

Do tej opinii inżyniera przychylił się zupełnie Ford. O godzinie czwartej po południu opróżniono z wody workową kotwicę i po nagraniu gazu „Polonia” wzniosła się naprzód do 1000, a później do 2500 m. Nasi żeglarze przekonali się obserwując pływające pod balonem góry lodowe, że szybkość wiatru zwiększała się coraz bardziej w miarę oddalania się od ziemi. W końcu na wysokości 3000 m znaleziono się znowu w prądach górnego wiatru; aerostat płynął już z szybkością powyżej 100 km na godzinę w kierunku wschodnio-południowym.

Uwaga inżyniera skoncentrowała się na dziwnych kształtach obłoku, który wynurzał się powoli z oceanu. Chmura ta, błyszcząc oślepiająco w promieniach słonecznych, rozszerzała się po linii widnokregu coraz bardziej, na jej jasnym tle ukazywały się tu i ówdzie drobne czarne plamy o nieregularnych konturach.

— Ależ to ład! — zawołał nagle sternik.

Zelektryzowany tym okrzykiem Ford pochwycił lunetę i przekonał się niebawem, że domniemane chmury były istotnie lądem rozpościerającym się daleko ku wschodowi i zachodowi. Doskonała przezroczystość powietrza dozwalała widzieć wznoszące się na nim góry

pokryte śniegiem.

— Nareszcie będziemy żeglowali ponad ziemią, kapitanie — rzekł z zadowoleniem Gromski. — Prawdę mówiąc, zaczynam się obawiać sąsiedztwa oceanu; za mało mamy balastu; wątpię, czy aerostat raz jeszcze wyszedłby bezpiecznie pomiędzy takich chmur lodowych, w jakich niedawno się znaleźliśmy.

Ford z niezmierną ciekawością przypatrywał się tajemniczemu lądowi. Odezwała się w nim żyłka geografa. Wydobył mapę i rozłożył ją na stoliku.

— Patrz, inżynierze, na dzisiejszych mapach nie oznaczono w tych okolicach żadnego śladu lądu; dotychczas nie było wiadomo, co leży na południowy wschód od Wyspy Aleksandra I. Otóż tajemnica rozjaśnia się. Ziemia, którą mamy przed sobą, jest prawdopodobnie najdalej ku biegonowi odsuniętym wybrzeżem Antarktydy.

Aerostat pędził z nadzwyczajną szybkością ku nieznanemu lądowi, który rozciągał się teraz przed oczyma naszych żeglarzy w całym swym majestacie. Na prawo i na lewo widniała kapryśnie poszarpana linia brzegu, przybrana, niby białą koronką, nieskończonym szeregiem gór lodowych. Dalej, ku południowi, sterczało ku niebu strome zbocze górskie, pokryte śniegiem, spod którego wyglądały bardziej strome wierzchołki. Głębiej, w południowym kierunku ląd ten wznosił się coraz bardziej, dźwigając potężne lodowce, spływające do oceanu niby szerokie wody rzek zamarzłych na wieki.

Gromski wydobył aparat fotograficzny i określiwszy położenie geograficzne, zaczął robić zdjęcia przemykającego pod aerostatem tajemniczego lądu.

— Nasze fotografie, które później połączymy w jedną całość, staną się nieocenionym dokumentem; geografowie będą mogli odrysować zeń kontury tych okolic Antarktydy — rzekł Gromski.

„Polonia”, przemknąwszy jak meteor ponad niedostępnymi wybrzeżami, szybowiała teraz nad dzikimi wąwozami i śnieżnymi szczytami, które z góry przedstawiały się imponująco. Krajobrazy zmieniały się z błyskawiczną szybkością; z wysokości 2500 m nasi żeglarze z łatwością dostrzegali wszystkie szczegóły konfiguracji * lądu.

Kapitan, z dziennikiem w ręku, robił dorywcze notatki i szkice ołówkiem. Gromski zaś notował starannie szybkość i kierunek aerostatu.

— Płyniemy raczej ku wschodowi aniżeli ku południowi, kapitanie — rzekł. — Ciekawym niezmiernie, dokąd zanieś nas wiatr górny.

— W każdym razie do bieguna! — zawołał sternik, któremu imponowała nadzwyczaj szybkość „Polonii”. — Pamięta pan, kapitanie, naszą ostatnią podróż? Było to dwa lata temu. Wyruszyliśmy na saniach ciągnionych przez psy, w głąb Grenlandii. Chcieliśmy dotrzeć do północnego wybrzeża wielkiej wyspy; póki życia, nie zapomnę tej strasznej wycieczki. Przez cały miesiąc ujechaliśmy zaledwie 350 km, akurat tyle, ile teraz robimy w trzy godziny. Z niewygód i złego pożywienia zapadliśmy na szkorbut; psy nam wyzdychały i z powrotem sami musieliśmy wlec sanie. Po kilka razy dziennie trzeba było przeprować się przez szczeliny w lodowcu, zdradziecko przysypane śniegiem. Była to prawdziwa męczarnia. Darmo starałbym się opowiedzieć nasze przejścia. Powiem tylko, że z dwudziestu zdrowych ludzi, doskonałych narciarzy, dwunastu tylko ledwo żywych powróciło na okręt. W dodatku nie dotarliśmy do celu, gdyż okazało się, że całe wnętrze tej przeklętej wyspy pokryte jest, tak jak i ten ląd, grubą, chyba ponad 1000 m skorupą lodu, niemiłosiernie spękanego, pełnego przepaści, w które niejednokrotnie wpadali nasi towarzysze, i z najwyższym tylko wysiłkiem wyciągaliśmy ich stamtąd. Jak widzę, teraz i na Antarktydzie czekałyby nas te same pułapki, bo i ten ląd spoczywa pod grubą powłoką lodów. Ale nasz kochany balon pozwala nam unosić się ponad zdradliwymi przepaściami z szybkością ptaka. Nie ma to, jak żegluga powietrzna! Człowiek może sobie żartować z najwyższych gór, z najokropniejszych przepaści!

* Konfiguracja — ukształtowanie.

I sternik, rozczulony snadź smutnymi a świeżymi jeszcze wspomnieniami, wytarł głośno nos dużą kraciatą chustką.

— Cudowny statek! — powtarzał.

Kapitan przerwał te rozważania, wskazując na niebie jasno zarysowane kontury jakiejś wielkiej góry, pokrytej lodem. Aerostat, unoszony na wschód, musiał koniecznie albo się spotkać z nią, albo też przejść obok. Z dala trudno było oznaczyć wysokość szczytu; inżynier przypuszczał jednak, że wznosił się on mniej więcej na 3600 m ponad poziomem oceanu.

Miał on nadzieję, że uda mu się szczęśliwie wyminąć górę. Bacznie i z pewnym niepokojem śledził kierunek drogi swojego statku powietrznego. Niebawem spostrzegł, że przeszkoda, zamiast usunąć się w prawo lub lewo, rozszerzała się. Gromski postanowił uciec się do pomocy maszyny, puścić w ruch śrubę i objechać grożącą starciem górę. Szczyty, które niedawno wydawały się odległe o kilkadziesiąt kilometrów, zbliżały się zatrważająco; aerostat pędził prosto na olbrzymie urwiska pokryte lodowcami.

Należało zdecydować się szybko.

Właśnie inżynier chciał puścić w ruch motor, gdy Ford pochwycił go za rękę. Zdarzyło się bowiem coś dziwnego: balon zamiast lecieć dalej poziomo, poderwał się nagle; nasi żeglarze widzieli wyraźnie, jak łódka wspinała się leciutko ponad stokami; pod nią przesuwały się lodowce i białe skorupy wiecznego śniegu. Szybko jednak ten nieprzerwany biały całun zniknął pod obłokami ciepłej pary wodnej, która wydobywała się z głębokich szpar w zboczach góry; wśród czarnych skał bazaltowych widniały szerokie strumienie zastygłej lawy.

— To wulkan! — zawołał Ford.

Zaledwie jednak wymówił te słowa, kiedy pod aerostatem rozwarła się pustką ziejąca paszcza krateru; ginące w tajemniczym pomroku głębie tego leja dymiły z lekka jakimiś oparami; nasi żeglarze uczyli zjadliwy oddech wulkanu.

— A to zapach! — zawołał Ford krzywiąc się. — Zdaje się, że z krateru wydobywa się kwas siarkowy i siarkowodór.

Uderzenie, od którego zatrzęsała się cała gondola, przerwało kapitanowi; Gromski, który właśnie wychylił się za poręcz, został gwałtownie rzucony na zbiornik benzyny; sternik zaś o mało nie wyleciał z gondoli; szczęściem zaczepił się o linę.

Ford, spojrzawszy na dół, przekonał się, że aerostat potrafił o wielki odłam skały sterczącej na skraju krateru; łódka jednak ześliznęła się bez szkody po gładkiej, zeszlonej jego powierzchni. Przenikliwa woń siarkowodoru nie znikła wszakże, przeciwnie, stawała się coraz silniejsza. Gaz ten unoszony wiatrem, napełniał wciąż atmosferę. W tych trujących wyziewach najpierw Gromski, potem Ford i sternik poczęli doznawać zawrotu głowy.

— Wzniesmy się wyżej, inżynierze, nie wytrzymam dłużej! — zawołał kapitan.

— Duszę się — jęczał sternik blady jak płótno.

Inżynier sam był bliski zemdlenia. Chwiejnym krokiem zbliżył się do miejsca, gdzie leżały zbiorniki z benzyną, i wyrzucił kilka z nich za burtę. „Polonia” podskoczyła o jakieś paręset metrów w górę — na tej wysokości duszące wyziewy osłabły. Jednakże nasi żeglarze utracili na jakiś czas przytomność. Kiedy w mroźnej i czystej atmosferze wrócili do siebie, wulkan znajdował się już w odległości kilkudziesięciu kilometrów.

— Niewiele brakowało, żeby ten wstrętny wulkan podusił nas! — zawołał kapitan.

— Dobrze, że nie roztrzaskaliśmy się o tę przeklętą skałę — dodał ze swej strony James.

— Gdyby nie ten wiatr, Wznosząc się ku górze dla przeskoczenia przeszkody, na pewno rozbilibyśmy się, a potem spalilibyśmy się żywcem w ognistej otchłani — rzekł Ford. — Jak z naszej przygody wynika, Antarktyda chociaż drzemie pod grubym płaszczem lodu, jest terenem, gdzie siły podziemne działają, jak dotąd, z wielką energią. Pomiędzy 170 a 160° długości wschodniej od Greenwich żeglarz Ross odkrył w 1842 roku na Ziemi Wiktorii pasmo gór, w których znajdują się dwa czynne wulkany: Erebus, wysoki na 3700 m, i Terror,

cokolwiek odeń niższy. Gór zionących ogniem znajduje się zapewne znacznie więcej na Antarktydzie. Dobrze, że ten wulkan, nad którym niedawno przelatywaliśmy, nie zionie ogniem i lawą albo że nie wyrzuca w górę olbrzymich głazów. Gdybyśmy się znaleźli nad taką potworną armatą, a nie zdołali umknąć na czas przed jej wylotem, to albo upieklibyśmy się żywcem, albo trafiłby nas jeden z takich pocisków, które ważą na pewno kilkaset razy więcej aniżeli najpotężniejsze granaty dział okrętowych.

— Na przyszłość musimy być ostrożniejsi, jeżeli wiatry poniosą nas nad jaki łańcuch górski — dodał inżynier.

Przygoda opisana wyżej, jak się okazało, spowodowała dość poważne następstwa; nasi żeglarze bowiem, oddychając przez kilka minut zabójczym siarkowodorem, zatruli się. Przez kilkanaście godzin trapił ich wszystkich nieznośny ból i zawroty głowy. Ford zaś w dodatku skarżył się na kłucie w piersiach.

Te dolegliwości koniec końców przeminęły, jednakże inżynier martwił się utratą kilku blaszanek benzyny, które musiał wyrzucić, ażeby wznieść się o kilkaset metrów ponad chmurę gazową.

„Polonia” szybowała teraz na wysokości jakichś 4000 m ponad powierzchnią oceanu, lecz tylko 2000 m dzieliło ją od przesuwającego się pod gondolą ładu. Łatwo stąd było wywnioskować, że Antarktyda wznosiła się w tych okolicach do 2000 m.

Ford, oglądając mapę, objaśniał towarzyszom niektóre dostrzeżone na niej szczegóły.

— Znajdujemy się — mówił — w zachodniej Antarktydzie; poza nami leży duży półwysep, który nosi rozmaite nazwy ponadawane mu przez odkrywców, a więc Ziemia Aleksandra I, Ziemia Adelajdy, Ziemia Loubeta, Ziemia Palmera, najbardziej wysunięta ku północy jego część leży naprzeciwko Archipelagu Nowych Wysp Południowych Szetlandów. Dalej poza nim w kierunku, w którym nas unosi wiatr, rozpościera się Morze Weddella, gdzie prawdopodobnie zarzuciliśmy naszą kotwicę wodną; żeglarz, który je odkrył w 1823 roku, dotarł dość daleko na południe, lecz koniec końców musiał się cofnąć, napotkawszy ową sławną wielką barierę lodową, wzdłuż której płynął w 1843 roku żeglarz Ross, daremnie wypatrując miejsca dogodnego do wylądowania. Okazało się, że ta olbrzymia bariera lodowa, której wysokość waha się w różnych miejscach od 30 do 50 m ponad poziom morza, sięgająca kilkadziesiąt metrów w głąb wód oceanu, ciągnie się na przestrzeni setek kilometrów wzdłuż wybrzeży Antarktydy. Jest to, jak się przekonano, czoło lodowców spływających z olbrzymiej czaszy lodowej pokrywającej wnętrze kontynentu. Kiedy lodowiec dotrze do morza, odrywające się od jego czoła potężne odłamy dają początek górcom lodowym. Jak mi się zdaje, szybujemy obecnie nad okolicami Antarktydy leżącymi naprzeciw południowego Atlantyku. Okolice te są dość mało znane, pomimo licznych wypraw, jakie tutaj docierały w rozmaitych okresach. Bardzo dużo nauka zawdzięcza także odważnym łowcom wielorybów i tak: Kemp i Balleni odkrywają w pierwszej połowie XIX wieku wspomniane już południowe Szetlandy, południowe Orkady, Ziemię Palmera, która, jak się później okazało, jest archipelagiem, potem wrzynające się w głąb ładu Morze Weddella, po którym statek osiąga 74° szerokości, i wreszcie naprzeciw Nowej Zelandii natrafiono na grupę wysp wulkanicznych Balleny. Najlepiej, jak dotąd, znaną częścią Antarktydy jest Ziemia Wiktorii, gdzie właśnie znajdują się wspomniane wulkany, i pasmo wysokich gór Królowej Aleksandry, za nią nieco dalej na zachód leży Morze Rossa. Tak czy owak, okolice Antarktydy, położone naprzeciw Nowej Zelandii, są najlepiej zbadane. Za to ta część, na której obecnie się znajdujemy, zawiera wiele zagadek geograficznych, które, jak mam nadzieję, zdołamy rozwiązać. Najtrudniej jest poznać tonące pod grubą warstwą lodu wybrzeże; dlatego też na naszych mapach linia brzegów jest albo całkiem nie oznaczona, albo niewyraźna.

— Zdaje się, że przedmurze lodowe od czasów Rossa cofnęło się w ciągu sześćdziesięciu lat o całe 60 km ku biegunowi i poziom jego znacznie się obniżył. Podróżnik norweski Borchgrevind wynalazł miejsce, na które zdołał się wydostać sankami, z psami i zapasami

prowiantu. Z tego widać, że „epoka lodowa”, której Antarktyda jest żywym obrazem, i w tych okolicach naszego globu zbliża się ku końcowi. Wspomniany podróżnik miał rzadko trafiającą się okazję oglądania z narażeniem życia narodzin olbrzymiej góry lodowej. Kawał lodowej bariery spadł z głośnym łoskotem do oceanu i po jakimś czasie wypłynął na powierzchnię wśród rozszalałych fal. Z najwyższym wysiłkiem żeglarze wczepili się w śliski lód i jakoś nie dali się porwać potwornemu bałwanowi, który spiętrzył się na kilka metrów nad ich głowami. Działo się to na Morzu Rossa, na wybrzeżu Ziemi Wiktorii u przylądka Adare. Wspomniany badacz był świadkiem straszliwych burz śnieżnych, które wichry wyjące od wschodu i południowo wschodu w ciągu wielu dni podsycwały swymi wściekłymi podmuchami.

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć — powiedział Gromski — to liczę bardzo na wschodnie wichry, wynoszące zimne powietrze spod bieguna ku północy. Skoro dotrzemy do bieguna, powierzmy się temu wirowi, który również po spiralnej linii wyniesie nas na wybrzeża morskie. Obecnie mam już jasno zarysowany plan naszej podróży. Przez jakiś czas pozwolimy unosić się wiatrom północno-zachodnim i dotrzemy do oka, gdzie powinien panować względny spokój w atmosferze. Kiedy się tam dostaniemy, puszczyć w ruch motor i z całą szybkością, do jakiej „Polonia” jest zdolna, polecimy wprost do bieguna. Tam wylądujemy, porobimy spostrzeżenia astronomiczne i ruszymy z powrotem ku północy.

Plan ten przyjęto z zapałem.

Panująca od kilku dni wyjątkowo słoneczna pogoda niezmiernie sprzyjała zamiarom żeglarzy powietrznych. Balon, opisując coraz mniejsze kręgi, mógł dzięki fotograficznemu aparatowi dostarczyć nieocenionych zdjęć, z których następnie będzie można nakreślić z grubsza kontury wybrzeża Antarktydy.

„PODRÓŻ NAOKOŁO ŚWIATA W 48 GODZIN”

Jakoż po upływie następnych 12 godzin, po dokonaniu kilkudziesięciu zdjęć, aerostat znalazł się nad Ziemią Enderby i nad Ziemią Kempa, leżącymi tuż pod kołem polarnym. Jeszcze kilkanaście godzin takiej podróży, a inżynier miał nadzieję ujrzeć pod sobą Ziemię Wilhelma II i Ziemię Knoksa, potem, jeżeli burze nie stanęłyby na przeszkodzie, przelecieć ponad Ziemią Wilkesa i znowu znaleźć się nad Ziemią Wiktorii i Morzem Rossa. Byłaby to więc wspaniała podróż dookoła Antarktydy, spełnienie pięknych projektów naszych podróżników. Co kilka godzin, korzystając ze słońca, które tutaj nie zachodziło w ciągu całego niemal półrocza, robiono dokładne pomiary położenia geograficznego.

Gromski zauważył, że prąd powietrza w miarę zbliżania się do bieguna tracił na szybkości. Temperatura, która z początku wynosiła parę stopni ponad zero, spadła teraz o kilka stopni niżej.

Jednakże balon, jak dotąd szczęśliwie, uniknął burzy, co wielką otuchą napełniło serca żeglarzy. Przez następnych kilkanaście godzin „Polonia” przelatywała ponad nieprzejrzanymi równinami, pokrytymi odwiecznym lodem, spod którego gdzieniegdzie wznosiły się wysokie łańcuchy górskie. Wnętrze Antarktydy tchnęło pustką, nawet ptactwo, gnieźdzące się podczas lata w okolicach bieguna północnego, nie ożywiało tego ponurego krajobrazu. Często powierzchnia ziemi zdawała się zbliżać ku aerostatowi, chociaż wysokościomierz stale wskazywał około 3000 m wzniesienia. Dowodziło to, że ta „Ziemia Śmierci”, jak ją nazwał Gromski, dźwigała się coraz wyżej nad poziom morza. Obserwacje astronomiczne wykazały, że „Polonia” zbliżyła się o parę stopni ku biegunowi. Za to położenie względem pierwszego południka dało naszym podróżnikom bardzo wiele do myślenia.

— Trudno mi uwierzyć — rzekł Ford po skończonych obliczeniach — że w przeciągu niecałej doby przelecieliśmy we wschodnim kierunku 140°.

— Tak być powinno, kochany kapitanie — przerwał z zapałem Gromski. — Zwycięstwo! Za parę dni znajdziemy się u bieguna.

Kapitan jednak, doznawszy w swych podróżach mnóstwa smutnych i niespodziewanych zawodów, nie unosił się optymizmem tak łatwo, jak Gromski.

— Wytlumacz mi pan, jak się to stanie. Wszak lecąc po spirali, posuwamy się dość wolno w kierunku południowym, choć lecimy bardzo szybko na wschód.

— Tak, gdybyśmy zdali balon na łaskę cyrkulacji atmosferycznej, musielibyśmy długo czekać, zanimby on nas zaniósł pod sam biegun.

— Na cóż więc pan liczysz, inżynierze?

Inżynier wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Zapomniałeś pan widocznie o naszym motorze — odparł.

— Wcale nie zapomniałem, wiem jednak, że pańska „Polonia” nie może walczyć z wichrem unoszącym ją ku wschodowi z szybkością 100 km na godzinę.

— Ależ nie potrzebujemy z nim walczyć, nie istnieje on jak gdyby dla nas.

— Niezupełnie to rozumiem, inżynierze — mruzczał Ford kręcąc głową.

— Otóż puścimy nasz aerostat, jak już mówiłem, z całą siłą motoru na południe, starając się mieć ciągle wiatr z boku. W ten sposób nasz aerostat będzie posiadał jakby ruch podwójny: jeden ku wschodowi, mniej więcej po równoleżniku i drugi, swój własny, po południku. Zapas paliwa wystarczy nam na czterdzieści godzin, w ciągu tego czasu, pędząc z szybkością 100 km na godzinę, znajdziemy się w pobliżu bieguna. No, do pracy — kończył Gromski z zapałem. — Teraz dopiero zobaczycie, czego może dokazać nasz statek powietrzny.

Zapał inżyniera udzielił się w oka mgnieniu towarzyszom. Ford zajął swe miejsce u steru. James począł krzątać się wraz z inżynierem około motoru, który znajdował się w doskonałym stanie.

— Kieruj pan prosto na południe! — zawołał Gromski.

— Nie przewidziałeś pan jednak najważniejszej trudności, inżynierze — odparł Ford.

— A to jakiej?

— Tej, że nie możemy trzymać się stale południowego kierunku, gdyż słońce znajduje się poza chmurami. Busola zaś w tych okolicach na nic się nam nie przyda. Koniec jej zwraca się raczej ku biegunowi magnetycznemu i nachyla się przynajmniej do 90°. Wszak Ross odkrył, że biegun leży mniej więcej pod 72° szerokości południowej i o 152° długości wschodniej. Przyrząd ten na nic nam się więc tutaj nie przyda.

— Nie sądzę pan, kapitanie, że nie przewidziałem tego przed wyjazdem. Oto znany ci zapewne przyrząd — rzekł wróciwszy po chwili z kajuty — zwany giroskopem *. Nie potrzebuję panu przypominać, na czym polega jego działanie. Lecz sternikowi przyda się to wyjaśnienie. Otóż, kochany Jamesie, giroskop składa się z dysku, który obraca się szybko dookoła wolnej osi. Na zasadzie prawa bezwładności dysk taki, wirujący w pewnej płaszczyźnie, nie może bez działania siły ubocznej zmienić swego położenia. Nadamy mu ruch w płaszczyźnie pierwszego południka, zastąpi więc on nam doskonale kompas.

Po niejakiem czasie Gromski umieścił w pobliżu sternika ów wspomniany giroskop, określił, pod jakim kątem należy utrzymywać balon, ażeby posuwał się prosto na południe, i zadowolony puścił na cały gaz silnik.

Skrzydła śruby poczęły się obracać, nasi żeglarze poczuli na twarzach słaby powiew, który niebawem zamienił się w prawdziwą wicherę. Dotychczasowa cisza, niczym nie zmącony spokój, znikły nagle. Aerostat bowiem, nabrawszy własnej szybkości, przeciskał się gwałtownie przez atmosferę.

Zdawało się, że wątłe ciało balonu spłaszczy się lub rozedrze w kawałki pod ciśnieniem

* Czyt. żyroskop.

rozpieranego powietrza. Lecz nie. Wysmukłe, wrzecionowate ciało „Polonii” pruło atmosferę jak najlepszy parowiec fale morskie.

— To mi jazda! — zawołał sternik. — Teraz nasz balon sprawia się jak prawdziwy okręt.

Wskutek utraty spalanej benzyny aerostat wznosił się coraz wyżej. W parę godzin po puszczeniu w ruch motoru, znalazł się wśród warstwy obłoczków leżących niedawno o jakie 500 m ponad nim.

Kiedy nasi żeglarze po raz pierwszy ujrzeli się w obłokach, dziwiła ich nieruchomość tychże; obecnie jednak warunki zmieniły się zupełnie; balon posiadał własną prędkość, przelatował więc jak ptak pomiędzy chmurkami, roztrzącał je brutalnie, przeszywał swym ciałem, rozgarniał potężnymi uderzeniami śmigła. Dokoła łódki tworzyły się wielkie wiry, obłoki wijąc się w dziwacznych kłębach, uciekały na wszystkie strony.

Ku górze chmury stawały się coraz gęściejsze, aerostatowi zastępowały drogę czarne, groźne masy, z których prószył śnieg. Fakt ten był bardzo na rękę Gromskiemu, gdyż opad atmosferyczny obciążał powłokę balonu, tworząc jakby naturalny balast, który przeszkadzał „Polonii” wznosić się zbyt wysoko. Inaczej należałoby wypuszczać od czasu do czasu pewną ilość drogiego helu z powłoki. Kiedy śniegu nagromadziło się zbyt wiele, „Polonia” wypadła z chmur śnieżnych, pęd powietrza zgarniał nieco śniegu z jej ciała i dzięki tym manewrom jako tako utrzymywano się na pułapie 3000 m.

— Na razie jakoś nam się powodzi — rzekł Gromski nachylając się do ucha Forda, gdyż skutkiem warkotu silnika trudno było porozumiewać się. — Obawiam się jednak, że kiedy śnieg przestanie padać, pożegnania się z kilkudziesięciu metrami mojego helu. Nic jednak na to poradzić nie mogę. Dobrze, że posiadamy jeszcze dostateczny zapas benzyny. Silnik o sprawności 1500 koni mechanicznych zużywa kilkadziesiąt kilogramów paliwa na godzinę.

Przebywszy paręset kilometrów w pogodnej atmosferze, „Polonia” znowu napotkała ciężkie chmury; oto prąd powietrza, niosący zapas wilgoci z cieplejszych okolic, uwalniał się od niej syjąc obfitym śniegiem na bezbrzeżne równiny Antarktydy. W końcu balon stał się tak ciężki, że trzeba było zwiększyć szybkość do maksimum, aby pęd powietrza zgarniał z powłoki nadmiar śniegu.

Widnokrąg zniknął zupełnie; nasi żeglarze widzieli pod sobą nieokreśloną falistą granicę pomiędzy leżącymi niżej obłokami a ciemnym lazurem firmamentu. Aerostat znajdował się w odmiennym świecie, w jakiejś dziwnej krainie. Dookoła niego oko nie dostrzegało żadnego materialnego przedmiotu, przypominającego ziemię. Na tej wysokości wynoszącej 3800 m panował dotkliwy mróz. Termometr wskazywał 23° poniżej zera. Widocznie więc balon dosięgnął górnej granicy ciepłego prądu powietrznego. Ponieważ nic nie było wiadomo o kierunku wiatru panującego w tych wysokich warstwach atmosfery, przeto inżynier postanowił wycofać się z nich jak najprędzej.

Niska temperatura ułatwiła mu to zadanie. Gaz w balonie skurczył się silnie i pomimo działania promieni słonecznych „Polonia” opadła i znów znalazła się w nieco cieplejszej atmosferze.

Gromski obliczył na zasadzie spostrzeżeń astronomicznych, że „Polonię” dzieliła od bieguna przestrzeń jakichś 2000 km. Gdyby powietrze było zupełnie spokojne, to balon przebyłby tę drogę w kilkanaście godzin. Nie wahając się więc kierował aerostat prosto na południe, chcąc jak najbardziej wyzyskać okres pogody, na jaki szczęśliwie natrafiono. Nasi podróżni w miarę tego, jak balon zbliżał się do upragnionego celu podróży, napełniali swe serca nadzieją zwycięstwa. Przez sześć godzin podróż odbywała się bez żadnych wybitniejszych przeszkód, lecz po upływie tego czasu Ford bardzo zaniepokoił się nagłym spadkiem barometru i obecnością ciemnych chmurzysk, które nie zwiastowały nic pomyślnego.

— Obawiam się, że nadchodzi orkan — rzekł. — Dziwię się, że dotychczas jeszcze

burza nie pochwyciła nas w swoje szpony! Wiadomo bowiem, że o paręset kilometrów od bieguna wybuchają gwałtowne huragany, które trwają nieraz po kilka dni bez przestanku.

Gromski zaniepokoił się także tymi zmianami.

— Musimy porobić dokładne obserwacje kierunku wiatru. Jeżeli będziemy mieli do czynienia z cyklonem, czyli lokalnym wirym powietrznym, to na południowej półkuli kierunek wiatru odbywa się w nim tak, jak biegnie wskazówka na tarczy zegarka, to jest od lewej ręki ku prawej. Spuścimy się nieco niżej, ażeby zaobserwować na skałach i lodach, dokąd nas unosi wicher. Zbadamy, gdzie leży oko cyklonu, i postaramy się zejść tej burzy z drogi, co nie będzie dla nas trudne dzięki znacznej szybkości, jaką rozporządza nasz aerostat.

Tak też postąpiono. Z wielkim żalem inżynier wypuścił z balonu nieco drogiego helu, balon obniżył się znacznie, przebił się przez warstwę chmur zakrywającą ląd i teraz można było dokonać wzmiankowanych spostrzeżeń.

Zdołano z nich wyciągnąć ważny wniosek. Oto cyklon znajdował się na zachód od drogi balonu, ażeby zatem uniknąć spotkania z nim, należało kierować się ku wschodowi.

Nie namyślając się długo inżynier puścił się całą siłą motoru w pożądanym kierunku i „Polonia” uciekała jak spłoszona petrela od groźnego wiru.

Gromski pocieszał swoich towarzyszy, których ogarnął lęk przed niebezpieczeństwem, jakie im groziło.

— Huragan nie jest dla nas tak niebezpieczny, jak dla okrętu; znajdujemy się bowiem w oceanie powietrznym, nie zaś pośród groźących nam rozbiciem ławic lodowych. Gdybyśmy nawet zostali pochwyceni przez cyklon, to nie uczulibyśmy, że straszny wir unosi nas po linii spiralnej do swego środka, w którym panuje najmniejsze ciśnienie, zupełny spokój. Jako stary żeglarz, wiesz pan zapewne, że w tak zwanym oku cyklonu jest pogodne niebo, na którym widać w nocy gwiazdy, i dopiero kiedy okręt, na skutek postępowego ruchu cyklonu, dostanie się na przeciwną stronę tegoż oka, znowu zadmie z olbrzymią siłą huragan, lecz całkiem w przeciwnym kierunku. Mógłbym zatem zaryzykować i dać się porwać w objęcia zbliżającemu się cyklonowi. „Polonia” wirowałaby w nim przez kilka czy kilkanaście godzin, dotarłaby koniec końców do centrum wiru, a ponieważ powietrze jest tam wyrzucane w górę, przeto nasz balon wydostałby się prawdopodobnie bez szwanku z objęć burzy. Jednakże nie będę poddawał „Polonii” takim karkołomnym eksperymentom, gdyż groziłoby nam wielkie niebezpieczeństwo co prawda nie ze strony wiatru, którego byśmy wcale nie odczuwali, pędząc z nim razem. Niebezpieczeństwem tym byłaby zawieja śnieżna, która mogłaby tak bardzo obciążyć naszą powłokę, że koniec końców rzuciłoby nas na ziemię, a zetknięcie z lądem spowodowałoby natychmiastowe rozbicie naszego powietrznego statku. Gdybyśmy nawet zdołali ująć z życiem z tej katastrofy, to mając ograniczone zapasy żywności i paliwa zginęlibyśmy z głodu i zimna w tej straszliwej krainie, gdzie nie masz najmniejszego śladu życia. Tylko w pobliżu oceanu na wybrzeżach można napotkać foki, lwy morskie, a ryby — w morzu. Tutaj zaś moglibyśmy całymi dniami polować i nawet ptaka nie udało się nam zastrzelić.

— Muszę ci przyznać jak najzupełniejszą słuszność, kochany inżynierze. Za wszelką cenę musimy wyminąć ten przeklęty wir i spodziewam się, że za parę godzin, posuwając się z szybkością 100 km na godzinę, unikniemy tak niepożądanego dla nas spotkania.

„Polonia” pędziła więc całą siłą swego motoru w kierunku wschodnim, lecz mimo to skręty nadbiegającego wiru dosięgnęły ją niebawem. Znaleziono się w gęstej, śnieżnej chmurze i w przeciągu niecałej pół godziny balon, obciążony tym gęstym opadem, zaczął zniżać się gwałtownie. Inżynier zwiększył szybkość, ażeby pęd powietrza nie pozwalał śniegowi osiadać zbyt grubą warstwą na powłokę; całe szczęście, że panował mróz dwudziestoparostopniowy i śnieg był suchy i sypki, inaczej bowiem nie odrywałby się od powierzchni balonu. Pomimo to wysokościomierz wskazywał już tylko wzniesienie 2000 m i nasi żeglarze z niepokojem zapuszczali wzrok w dal, lękali się bowiem, że lada chwila wyłonią się z tumanów śniegu szczyty jakichś gór, o które ich statek rozedrze się na strzępy.

Jednakże dzięki temu, że motor spalał znaczną ilość benzyny, „Polonia” zaczęła się znów dźwigać w górę. Po jakimś czasie niepokojąca zawieja śnieżna zmniejszyła się, powietrze stało się bardziej przezroczyste. Przelatywano nad płaskowzgórziem lodowym, które, jak się zdawało, sięgało aż do samego bieguna. Nigdzie w promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie sterczały żadne wyniosłości, lecz aerostat szybował paręset zaledwie metrów ponad lądem, chociaż wysokościomierz wskazywał wzniesienie 3000 m nad poziomem morza.

— Ależ ta Antarktyda to wyniosłe płaskowzgórze, w dodatku najeżone górami i wulkanami! — zawołał kapitan skończywszy swoje obserwacje. — Jednakże jesteśmy jak w ciemnym rogu; nie możemy zdjąć położenia geograficznego, gdyż słońce skryło się za chmurami i śnieg prószy w dalszym ciągu; nie wiadomo więc, gdzie się znajdujemy.

— To fatalne! — dodał inżynier. — Chciałbym wiedzieć, jaka jest obecnie siła i kierunek wiatru, i dlatego zamykam motor. Uniknęliśmy szczęśliwie spotkania z cyklonem, lecz należy zbadać, w jakim kierunku unosi nas obecnie prąd powietrzny.

Na wynik tych badań nie trzeba było długo oczekiwać. Dzięki giroskopowi zorientowano się, że aerostat płynie ku wschodowi z szybkością kilkudziesięciu kilometrów na godzinę.

— Musimy czekać cierpliwie, aż znowu ukaże się słońce — rzekł inżynier. — Ażeby jednak nie tracić drogiego czasu, puścimy się znowu prosto na południe z umiarkowaną szybkością, gdyż musimy oszczędzać nasz zapas benzyny. Pozostało nam zaledwie 600 l drogiego płynu, co nam prawdopodobnie wystarczy, ażeby dotrzeć do bieguna.

Jednakże niebo nie rozjaśniało się, choć godziny mijały jedna za drugą. Położenie stawało się kłopotliwe. Nasi żeglarze bowiem nie mogli w żaden sposób dowiedzieć się, gdzie znajduje się balon. Przypuszczano, że biegun południowy nie leży dalej aniżeli jakieś 200-300 km. Kiedy według obliczeń przebyto już tę przestrzeń, niebo pozostawało nadal zachmurzone.

— Nie wypada nam nic innego, jak wylądować w jakim bezpiecznym miejscu i czekać na ukazanie się słońca, ażeby dokonać pomiarów astronomicznych. Dostrzegam, że wieje obecnie bardzo słaby wiatr; znajdujemy się bowiem, jak przypuszczam, w samym centrum cyklonu, gdzie powietrze powinno być całkiem nieruchome.

Wypuszczono nieco gazu z balonu i „Polonia” bujała o kilkadziesiąt metrów zaledwie ponad ziemią, a raczej ponad powierzchnią lodowca, poraną głębokimi rozpadlinami i zarzuconą głazami, które lodowiec przyniósł zapewne z jakichś gór leżących w tych okolicach. Gromski wyrzucił kotwicę żelazną, która jakiś czas wlokła się po lodzie, aż natrafiwszy na jakiś wielki głaz, mocno się oń zaczepiła.

— Czy już znajdujemy się u bieguna, kapitanie? — zagadnął sternik gotując się powitać ten fakt głośnym „hura”.

— Niestety — odparł inżynier — nie mogę cię zapewnić, że tak jest. Musimy czekać, aż się pokaże słońce, które pozwoli określić, gdzie się znajdujemy. Jak na złość jednak, nie wychyla się ono spoza chmur, nie wypada nam więc nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość i czekać.

— I czekać tu w powietrzu, na takim mrozie?! — zawołał poczciwy sternik przyjrzawszy się termometrowi. — 35° poniżej zera, kapitanie. Włożyłem już na siebie wszystko, co miałem najcieplejszego, pomimo to przemarzłem do kości.

— Nic na to poradzić nie mogę — odparł inżynier z uśmiechem. — Możemy najwyżej sporządzić gorącą wieczerzę. Mocna kawa z rumem doskonale nam zrobi.

W tych smutnych okolicznościach należało zebrać całą swoją cierpliwość, żeby nie upaść na duchu. Balon pod działaniem bardzo słabego wiatru tkwił spokojnie wśród bezbrzeżnej pustyni i na razie podróżni nie mieli nic lepszego do roboty, jak powłazić w śpiwory i pograć się w głębokim śnie.

Tylko inżynier nie zmrużył oka, pochłonięty głębokimi rozmyślaniami.

U CELU

Gromski pozwolił swoim towarzyszom spać bez przerwy przez 12 godzin, przeczuwał bowiem, że niebawem będą musieli wyteńczyć wszystkie swe siły, ażeby znaleźć się u tak upragnionego celu podróży. Podczas rozmyślań nakreślił on sobie szczegółowy plan dalszego działania. Kiedy kapitan i sternik zbudzili się, doskonale wypoczęci, zapoznał ich ze swoimi planami.

— Jak widzicie, panowie, słońce ciągle znajduje się poza chmurami, nie możemy więc określić jego wysokości nad widnokregiem. Co za tym idzie, nie mamy sposobu zorientowania się, jak daleko znajdujemy się od bieguna. Przypuszczam jednak, że dzieli nas od niego przestrzeń kilkudziesięciu kilometrów, którą łatwo moglibyśmy przebyć w ciągu pół godziny. Lecz w jakim kierunku płynąć ma nasza „Polonia”? Gdybyśmy, stosując się do wskazań giroskopu, lecieli nadal wprost na południe, to, być może, minęlibyśmy ten punkt matematyczny, w którym przecinają się wszystkie południki ziemskie. Z drugiej strony jednak nie należy tracić czasu daremnie. Przygotujemy się zatem do podróży pieszej po tym kolosalnym lodowcu, u wierzchołka którego, jak sądzę, znajdujemy się obecnie. Wszak wysokościomierz wskazuje 3800 m wzniesienia, z tego łatwy wniosek, że spoczywamy w najbardziej południowym punkcie świata. Praktycznie zatem ujmując sprawę, dochodzę do wniosku, że znajdujemy się u celu, lecz sprawdzić tego niestety nie potrafimy w obecnych warunkach atmosferycznych. Słońce, jak na złość, nie chce się ukazać, widocznie znajdujemy się w samym centrum cyklonu, bo i powietrze jest prawie spokojne. Lękam się, że i tutaj może zdarzyć się jakaś kolosalna burza. Przygotujcie więc, kochani przyjaciele, saneczki, naładujcie na nie najpotrzebniejsze zapasy żywności, kilka blaszanek z benzyną, Kuchenkę i puście się w południowym kierunku, robiąc po drodze pomiary; ja zaś pozostanę w gondoli, gdyż byłoby szaleństwem zostawić bez opieki nasz jedyny środek komunikacji. W razie utraty jego zginęlibyśmy bez ratunku w tej okropnej pustyni. Kiedy pojawi się gwiazda dzienna, zrobię możliwie najdokładniejsze spostrzeżenia astronomiczne, podejmę kotwicę, po czym z wielką łatwością, krążąc tu i tam, odnajdę was na lodowcu.

Kapitan Ford musiał przyznać, że na razie nie można było obmyślić praktyczniejszego planu działania. Obaj ze sternikiem zabrali się zatem do pracy; zmontowali jesionowe saneczki i naładowali na nie: namiot jedwabny, dwa śpiwory, zapasy żywności na dwa tygodnie, kuchenkę, 35 l nafty, fuzję myśliwską, kawał liny, dwie okute laski i inne drobne przedmioty.

Na tych przygotowaniach zleciało kilkanaście godzin. Wyglądano niecierpliwie słońca, lecz nie doczekano się jego widoku. Kapitan, znużony bezczynnością i brakiem ruchu, z największym zapałem puścił się w drogę. Sternik ze swej strony był także pełen entuzjazmu. Zaprzęgli się obaj do saneczek, które ważyły około 200 kg razem z ładunkiem, i raźnie posuwali się naprzód w kierunku leżącego na południu szczytu skalnego, który służył im za drogowskaz. Inżynier przy pożegnaniu zapewnił swych towarzyszy, że skoro tylko zorientuje się w położeniu geograficznym, natychmiast podąży ich śladami.

Dla bezpieczeństwa balonu ściągnięto go na samą powierzchnię lądu i obciążono gondolę bryłami lodu, ażeby wyrównać ubytek ciężaru kapitana, sternika i ładunku. Dołożono ponad to paręset kilogramów, ażeby silniejszy wiatr nie poderwał balonu z ziemi. Gromski pozostał więc samotny i z utęsknieniem wpatrywał się w niebo, czy spoza chmur nie ukaze się tarcza słoneczna. Upłynęło już całe 24 godziny od rozstania z towarzyszami, kiedy nareszcie na krótki moment wychyliło się nisko stojące nad widnokregiem i prawie nieruchome słońce. Inżynier skwapliwie skorzystał z tej sposobności i z możliwie największą dokładnością zmierzył sekstanssem wysokość słońca. Powtórzył parokrotnie pomiary, wyprowadził z nich średnią arytmetyczną i otrzymał w rezultacie liczbę 89°46' i 30" szerokości południowej. A zatem „Polonia” znajdowała się tuż w pobliżu bieguna południowego. Należało czym

prędzej puścić w ruch motor, wyrzucić nieco balastu i udać się na poszukiwania towarzyszy błądzących w pustyni śnieżno-lodowej. Powietrze było prawie całkiem spokojne, balon posuwał się zatem z bardzo małą szybkością, zakreślając spiralne linie w przestrzeni. Gromski z lunetą w rękę spoglądał od czasu do czasu na rozciągające się pod jego stopami pustkowie, tonące w oślepiającym blasku śniegu oświetlonego ukośnie promieniami słońca. Tropienie towarzyszy zajęło parę godzin drogiego czasu. Koniec końców Gromski przez lunetę spostrzegł jakiś czarny punkcik nad szparą w lodowcu i przez szkła przekonał się, że jest to kapitan Ford we własnej osobie.

— Gdzież jednak, u licha, znajduje się sternik?! — zawołał głośno Gromski zaniepokojony tym, że kapitan jest sam.

Za chwilę „Polonia” szybowała tuż nad głową dzielnego marynarza, który usłyszawszy warkot silnika zaczął dawać obiema rękami sygnały. W ruchach jego czuć było wyraźny niepokój, jakby zew o pomoc. Gromski, nie namyślając się długo, wyrzucił kotwicę, wypuścił nieco gazu z balonu. Żelazny hak utkwił akurat w szczelinie lodowca, nad którą stał kapitan.

— Nadleciałeś pan w samą porę! — krzyczał Ford. — Ulegliśmy katastrofie, o mały włos nie zginęliśmy obaj w tej zdradzieckiej przepaści. Nieszczęsny James chciał się przeprawić poprzez mostek ze zmarzniętego śniegu i przeciągnąć po nim saneczki. Te jednak były zbyt ciężkie, tak iż most zawalił się pod nimi i spadły w tę przeklętą szczelinę, pociągając za sobą sternika. Tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zdołałem wymknąć się w ostatnim momencie spod rzemienia, który miałem przewieszony przez prawą rękę, i zostałem tutaj. Od godziny daremnie usiłuję przyjść mu z pomocą. Na szczęście żyje on, lecz jest mocno potłuczony i wzywa mojej pomocy. Mamy kawałek liny, lecz ten pozostał na saneczkach, jakże więc wyciągniemy z tej lodowej przepaści dzielnego Jamesa i nasz bagaż. Jeżeli mam prawdę powiedzieć, byłem bliski rozpacz. Opuścić się w tę otchłań, która może mieć kilkadziesiąt metrów głębokości, nie będąc opasanym liną dobrze umocowaną na występie lodowca, byłoby istnym szaleństwem. Mam nadzieję, że we dwóch damy sobie radę. Czy w gondoli znajduje się jeszcze jakaś linka dostatecznie mocna? — dodał podając dłoń Gromskiemu, który właśnie zabierał się do wyskoczenia na lód.

— Podaj mi pan kilka brył lodu — rzekł Gromski — gdyż inaczej nie mogę wyskoczyć z łódki.

Kapitan w mgnieniu oka uczynił zadość życzeniu inżyniera. Obciążona dostatecznie „Polonia” nie mogła już poderwać się w powietrze.

W podręcznym składziku z narzędziami znajdowało się kilkadziesiąt metrów mocnej jedwabnej linki, wraz z zapasową kotwicą. Gromski obwiązał ją sobie dookoła pasa i sprawdzwszy, czy węzeł jest dobrze zadziergnięty, zwrócił się do kapitana:

— Trzymaj mnie pan mocno.

— Może pan być spokojny, potrafię pana utrzymać. Dla pewności przywiązałem jeszcze tę linkę do wbitego mocno w lód mojego kija.

Inżynier, nie wahając się ani chwili, zaczął opuszczać się w głąb szczeliny.

Teraz mógł się przekonać, że marynarz padł ofiarą własnej nieostrożności i nadmiaru zapału. Domniemany most był bardzo wąty; na dwóch wystęпах lodu wicher nagromadził sporo śniegu, który jednak pośrodku szczeliny nie miał żadnego podparcia i załamał się pod ciężarem sanek. Gromski znalazł się w ciemności, bo bardzo mało światła wpadało do przepaści. Kapitan powoli popuszczał linkę. Gromski zniżył się o jakieś 15 m, zanim znalazł oparcie dla nogi.

— No i cóż, inżynierze?! — krzyczał Ford.

— Nie widzę dobrze, ale zdaje mi się, że szczelina jest tu bardzo głęboka; dziw, że nieszczęśliwy James nie zabił się na miejscu, runąwszy w taką otchłań.

— Żyję, żyję, inżynierze — dał się słyszeć słaby głos w odpowiedzi. — Jeszcze trochę niżej i już mnie pan ma.

Gromski opuściwszy się jeszcze niżej poczuł, że stopa jego dotyka ciała leżącego na dnie szczeliny sternika. Stanąwszy mocno na dnie, Gromski odwinął linkę od swojego ciała, przepasał nią Jamesa i krzyknął na Forda, żeby ciągnął w górę.

Kapitan nie mało się napocił, zanim wydobył na powierzchnię potłuczonego marynarza. Na szczęście, jak się okazało, James nie odniósł żadnego cięższego obrażenia na ciele, choć łatwo mógł złamać rękę lub nogę.

Niebawem dzięki staraniom kapitana przyszedł do siebie. Dobry kieliszek rumu przywrócił mu utracone siły i teraz obaj zajęli się ciężką pracą wywindowania ze szczeliny saneczek wraz z ładunkiem i inżyniera. Urządzono ze śpiwora rodzaj windy, którą powyciągano cięższe przedmioty, wreszcie same saneczki, a w końcu znużonego tą pracą na mrozie Gromskiego.

Kiedy nareszcie wszyscy trzej znaleźli się razem, padli sobie w objęcia z radości.

— Jakież niezgraba ze mnie! — narzekał James. — Ledwo stoję na nogach. Jeśli znajdujemy się w pobliżu bieguna, to lećcie tam dalej albo idźcie piechotą, a mnie pozostawcie tutaj, bo w tym stanie byłbym dla was tylko zawalidroga.

Ale kapitan nie chciał o tym słyszeć. Filiżanka mocnej kawy, jeszcze jeden łyk rumu, kawałek szynki z sucharem podreperowały siły dzielnego marynarza.

— Towarzysze — zawołał Gromski, który był pomimo tej przygody w doskonałym usposobieniu — za parę godzin staniemy u bieguna! Przyglądajcie się baczenie, czy go gdzie nie dojrzycie — dodał żartobliwie.

Kapitan istotnie rozglądał się wokoło uważnie, nie po to naturalnie, żeby odszukać okiem punkt matematyczny, lecz najbliższe sąsiedztwo bieguna budziło jego zainteresowanie. Wszystko wydawało mu się tutaj nadzwyczajne.

— Stąpamy po największym lodowcu świata! — zawołał uderzając okutą laską w ziemię. — Grunt jest tutaj dziwnie przezroczysty.

— Połóż się więc pan na ziemi i zagłębij wzrok w jego wnętrze. Może dzięki tej cudownej przezroczystości uda się panu dostrzec dno lodowca.

Kapitan, nie urażony tym żarcikiem, wybuchnął śmiechem.

— Kto wie, kapitanie — rzekł James. — Diabeł lodowy urządził tu sobie skład, który może mu starczyć do samego końca świata. Lecz nie udało mu się z nami. Bronił i bronił dostępu do bieguna, nie przeczuwał jednak, że weźmiemy go na kawałek i przelecimy powietrzem ponad jego państwem lodowym. Widocznie nie czytuje dzienników i nie dowiedział się w porę o wynalazku naszego kochanego inżyniera, któremu teraz w imieniu wszystkich marynarzy składam serdeczne podziękowanie. Nawet z tej pułapki, w którą wpadłem, wydostałem się szczęśliwie. Niech żyje inżynier Gromski, pogromca diabła lodowego!

— Teraz trzeba zrobić staranne zdjęcie położenia geograficznego — rzekł kapitan. — Nie tak to łatwo znaleźć bieguna. Dobrze będzie, jeżeli oznaczymy go z przybliżeniem do kilkunastu kilometrów.

— Dlaczego? — oburzył się sternik. — Musimy koniecznie postawić na nim stopę.

Zatrzymano się i kapitan z pietyzmem wziął się do spostrzeżeń i obliczeń.

Po godzinnej pracy oznajmił uroczyście towarzyszom wynik: 89° 52' 13" szerokości południowej.

— Możemy już liczyć na minuty, a raczej na kilometry odległość od celu naszej podróży. Zamieniając powyższą liczbę na kilometry, można powiedzieć, że znajdujemy się od bieguna o niecałe 10 km.

Nastała chwila radosnego milczenia. Spoglądali po sobie, brali po kolei do rąk kartkę, na której nakreślono rezultat obserwacji, jakby nie wierzono słowom Forda.

— Praktycznie rzecz biorąc, znajdujemy się na biegunie — rzekł Gromski. — Włazłszy na pierwszą lepszą wyniosłość i rzuciwszy okiem dookoła, dostrzec można punkt, w którym przecinają się południki naszej półkuli.

Jeszcze nie dokończył tych słów, kiedy sternik wdrapał się na pobliski głaz. Dosięgnąwszy jego wierzchołka, stary marynarz rozglądał się dookoła.

— Nic osobliwego — rzekł nieco rozczarowany. — Równe pole lodowcowe, niczym nie różniące się od tych, które już widzieliśmy w tej podróży. Biegun południowy mógłby jakoś wyraźniej zaznaczyć swoje położenie.

— A to w jaki sposób, Jamesie? — zagadnął Ford.

— A no chociażby jaką górą albo jakim wulkanem zionącym ogniem z paszczy — czymś niepospolitym. Nie podoba mi się ta jego skromność. Szukaj że go teraz sekstansem i teodolitem.

Gromski zaśmiał się serdecznie.

— Postaramy się go znaleźć, chociaż się tak ukrył. Kapitanie, wskaż nam kierunek, w którym mamy się teraz posuwać. Panuje zupełna cisza w powietrzu, możemy więc na parę godzin opuścić nasz balon bez obawy.

Posadzono sternika na saneczki, płozy zaskrzypiały po śniegu, posuwano się po równinie, oślepiąco błyszczącej w promieniach słońca. Przebywszy kilka kilometrów w południowym kierunku, zatrzymano się znowu i kapitan dokonał obserwacji z drobiazgową dokładnością.

— Według mnie znajdujemy się tuż pod biegunem. Teraz wypadło mi $89^{\circ} 56' 15''$.

Czekając, aż kapitan skończy swoje czynności, rozłożono się obozem, rozbito namiot i sternik zabrał się do pracy, gdyż miał zamiar uczcić biegun wspaniałą ucztą. Na to święto starannie przechował kilka smakołyków, a teraz chciał się przekonać, czy znajdowały się na miejscu. Nie zginęły i James układał już w myśli menu. Puszka ze śledzikami marynowanymi w occie, pudełko sardynek, ser holenderski (pół funta), rzeżucha w occie, owoce suszone (zrobi się kompot), cukierki Landrin (oryginalne), pół butelki koniaku francuskiego, butelka prawdziwego szampana. No, przy tym zwykłe danie: pekeflejsz i suchary. Na deser czarna kawa i keksy.

Sternikowi pilno było zająć się przyrządzeniem tej uczyty okolicznościowej. Oglądał się więc za miejscem, gdzie by można rozłożyć biwak i zbudować chatę ze śniegu na sposób Eskimosów.

Gromski uznał konieczność obrania sobie stałego siedliska, zanim kapitan zdołał określić położenie bieguna.

Wybór padł na grupę skał, ostro wyrzynających się spod skorupy lodowca i zasłaniających od wiatru, który wiał ciągle z umiarkowaną siłą.

— Będzie to ostatnie nasze obozowisko w tej podróży — rzekł inżynier pomagając sternikowi wciągnąć nieco pod górę naładowane sanki. — Czy czujesz się na siłach, mój stary, żeby pomóc nam przy wznoszeniu jakiej takiej chatki?

— Chodzić to nie bardzo jeszcze mogę, ale budować chyba potrafię.

— To bierzmy się szybko do roboty, bo pilno mi do doświadczeń i obserwacji.

Podczas gdy Gromski i sternik zabrali się do budowania, Ford po raz trzeci zdejmował z całą starannością i najwyższą dokładnością, na jaką się mógł zdobyć, położenie geograficzne.

Na fundament chaty użyto kilkunastu odłamów skały leżących na powierzchni, na nich wznoszono z ubijanego i polewanego wodą śniegu ściany domostwa mającego kształt półkolisty z niskim wejściem zasłoniętym derką. Z boku pozostawiono otwór na okno, szyby zrobiono z cienkich tafli lodu i niebawem schronisko było gotowe.

Sternik zagospodarował się zaraz w nowym domku, wniósłszy tam najcenniejsze przedmioty. Żywność przysypał śniegiem; pod skałą urządził jadalnię, stół i ławki — wszystko z kawałków skały albo też z brył lodowych.

— Jeżeli jesteśmy pod samym biegunem, jak powiada kapitan, to dziś zasiądziemy do uczyty, którą podejmuję się uświęcić tę chwilę uroczystą — rzekł do Gromskiego.

— Ależ jesteśmy, jesteśmy! — zaśmiał się inżynier widząc nieufność Jamesa. —

Możesz mi wierzyć, mój stary.

— Niech no kapitan skończy swoje obserwacje — dodał sternik, którego serce zaczęła ogarniać niewiara.

Podróżnicy z zapalem obserwowali termometry maksymalne i minimalne, barometry, wilgociomierze, doprowadzali do porządku aparat fotograficzny. Największą uwagę zwrócono, rzecz naturalna, na przyrządy służące do oznaczania szerokości geograficznej.

Ford urządził sobie przenośne obserwatorium i, obładowany sekstanssem i teodolitem, przenosił się z miejsca na miejsce powtarzając swoje zdjęcia.

Za każdym razem, rzecz prosta, wypadało mu co innego.

Dane wahały się w zakresie nie sięgającym półtorej minuty, z czego Ford był dumny. Po upływie kilku godzin żmudnie spędzonych na obliczeniach kapitan wrócił do obozowiska, gdzie Gromski robił obserwacje za pomocą wahadła.

— Zaraz przeczytam wam liczby i wyprowadzę średnią arytmetyczną — rzekł. — Chcę, żebyście, drodzy towarzysze, byli przy tym obecni.

Ford zasiadł na bryle lodu i zaczął swoje rachunki. Towarzysze, pochyleni nad nim, śledzili bacznie z biciem serca ruchy ołówka po papierze.

Liczby, dostarczone przez obserwacje, dokonywane z możliwie największą dokładnością, były mniej więcej takie:

89° 46' 12"

89° 56' 17"

89° 32' 56" itd.

Było tych danych dziesięć. Średnia arytmetyczna dla położenia geograficznego schroniska wyniosła: 89° 52' 39".

— Jeżeli te dane są dokładne i oddają nam rzeczywistość z przybliżeniem choćby do pół minuty, w takim razie znajdujemy się o parę zaledwie kilometrów od magnetycznego bieguna.

— Powinniśmy się zadowolić tym i przyjąć, że dotarliśmy istotnie do celu podróży — rzekł Gromski.

— Pół minuty w niższych szerokościach daje się łatwo osiągnąć nawet za pomocą zwyczajnego sekstansu. Tutaj jednak następczą się podczas obserwacji specjalne trudności; pierwsza: to niskie wzniesienie tarczy słonecznej nad widnokretem; druga: to niemożność zauważenia chwili, kiedy słońce znajduje się najwyżej nad widnokretem, czyli południa. Mamy bowiem dzień równy nocy; południe przypadło tu w końcu grudnia. Z tego powodu muszę posiłkować się teodolitem i z jego pomocą jak najściślej oznaczyć wysokość słońca, które tutaj, niestety, nie ma tarczy wyraźnej, jak na przykład pod zwrotnikiem. Mgła jakaś zasnuwa atmosferę, skutkiem czego brzeg dysku słonecznego jest nieostry, że się tak po fotograficznemu wyrażę. Dlatego też pomyłki w zakresie paru minut są bardzo prawdopodobne. Mówiąc inaczej, nie potrafimy określić położenia bieguna z zadowalającą dokładnością. Być może, stoimy akurat na nim, a może też znajdujemy się odeń o 5 lub 8 km! Na to nie ma rady!

Sternik słuchał tych wywodów kapitana milcząc ponuro.

— Jestem, kapitanie mój, starym wilkiem morskim, przeszedłem kurs w szkole marynarskiej, kiedy zdawać miałem egzamin na sternika. Znam się trochę na sekstansie. Jeżeli pan pozwoli, to i ja oznaczę położenie geograficzne naszego obozowiska.

— Ależ jak najchętniej, drogi przyjacielu! Jest to nawet bardzo pożądane; trzeba, żebyśmy wszyscy bez wyjątku mieli pewność, że dotarliśmy do celu naszej podróży. Niech nam nikt nie zarzuci jakiegoś zaniedbania, jakiejś opieszałości. Oto instrumenty. Zrób to samo, co ja, Jamesie. Oznaczysz jak najdokładniej wysokość słońca, datę i godzinę, według południka Greenwich! Potem z tych oto tablic wyprowadzisz szerokość geograficzną. Pamiętaj, że długości pod biegunem nie oznacza się.

— Dlaczego, proszę pana?

— Bo znajdziemy się w punkcie, przez który przechodzą wszystkie południki i przecinają się pomiędzy sobą. Tutaj dzień nie ma 24 godzin, ale akurat 6 miesięcy! Doby i godziny także nie ma, gdyż stoimy na samej osi ziemskiej, czyli w punkcie, który nie dokonywa obrotu dziennego.

Staremu marynarzowi te dziwne stosunki panujące na biegunie nie mogły pomieścić się w głowie. Zakłopotany, zabrał się do roboty i po paru godzinach wrócił z danymi, które, niestety, wahały się w granicach paru minut.

Wyprowadzona z nich średnia dała następujący wynik: $89^{\circ} 11' 29''$.

— Nie ma co — zawołał zniechęcony marynarz — według mnie, znajdujemy się znacznie dalej od bieguna niż według pana kapitana, widzę teraz, że nie potrafię tak dokładnie obserwować, jak należy! Ale myślę, że i bez tego możemy postawić nogę na samym biegunie.

— A to w jaki sposób? — zaciekawiał się Ford.

— Bardzo prosto, kapitanie. Będziemy przez cały dzień spacerowali po okolicy, robiąc linię ślimakową. W pewnej chwili, sami o tym nie wiedząc, natrafimy na biegun.

— Co nam z tego przyjdzie? — wtrącił Gromski.

— Ba, i wiele! Będziemy mogli powiedzieć z całą pewnością, że znajdowaliśmy się na samym biegunie. O to właśnie chodzi!

— Nie ma co! Wymyśliłeś niezawodną metodę, którą zaraz zastosujemy! — zaśmiał się Ford. — Musimy jednak chodzić razem, bo mogłoby się zdarzyć, że ty na przykład, Jamesie, będziesz na biegunie, a ja nie będę.

— Więc będziemy chodzili razem, kapitanie! Ale nie zaraz. Zresztą to jest formalność, proszę pana; główna zaś rzecz to pańskie obliczenia, którym wszyscy muszą uwierzyć. Prowadzimy sumiennie dziennik podróży, jakbyśmy pływali na zwyczajnym statku morskim. To jest dokument prawny, ale tak, dla satysfakcji, po uczcie, przespacerujemy się tu i tam. Obecnie zaś mam zaszczyt prosić na obiad, podczas którego spełnimy puchar za zdrowie jęgoomości diabła lodowego, który raczył nam wreszcie pozwolić postawić nogę w jego fortecy tak uporczywie bronionej.

Kapitan i inżynier zgodzili się chętnie na tę propozycję. Uczta była znakomita, zwłaszcza że jej uczestnicy nic nie jedli od dziesięciu godzin. Po deserze rozpoczęły się mowy i toasty. Kapitan przypomniał krótko dzieje podróży do bieguna i na Antarktydę. Powiedział o Cooku, o rosyjskich uczonych, Bellingshausenie i Łazariewie, o Angliku Rossie. Wspomniał także o udziale polskich uczonych, Arctowskiego i Dobrowolskiego, w belgijskiej wyprawie antarktycznej. Mowę swą uwieńczył panegirym na cześć inżyniera Gromskiego. Dzięki jego doskonałemu statkowi powietrznemu trzech ludzie, wyposażeni w bardzo skromne zapasy i środki, dokonali jedynej w dziejach podróży dookoła tajemniczych wybrzeży Antarktydy, utrwaliли je na kilkudziesięciu kliszach fotograficznych i stosunkowo małym wysiłkiem dotarli aż do bieguna południowego. Kapitan wyraził nadzieję, że tak pomyślne wyniki zostaną ukoronowane szczęśliwym powrotem do ojczyzny.

Ze swej strony Gromski złożył hołd odwadze, stanowczości i energii swoich towarzyszy.

— Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak dokonać tej wędrówki, jakiej domaga się nasz kochany sternik, a kiedy już nabierzemy pewności, żeśmy mieli pod stopami sam biegun, pozostawić należy jakiś trwalszy dowód naszego tutaj pobytu — zakończył inżynier.

— No, kapitanie, zredaguj odpowiedniej treści dokument, który pozostanie tutaj w tej olbrzymiej pustyni lodowej i zaświadczy przed potomnością i przed tymi, którzy po nas tu przyjdą, że istotnie dotarliśmy do punktu, w którym przecinają się południki ziemskie na tej półkuli. Zabrałem na ten wypadek kawał pergaminu i dobry atrament.

Niebawem dokument tego rodzaju był gotów. Brzmiał on, jak następuje:

Działo się to w dniu 14 stycznia 19... roku. Trzej żeglarze napowietrzni, a mianowicie:

Polak, inżynier Gromski, wynalazca balonu „Polonia”, na którym, dokonano tej podróży, oraz Amerykanie: Ryszard Ford z Ohio i James Barton ze stanu Yowa, wyruszywszy w dniu 27 grudnia roku ubiegłego z Ziemi Ognistej, w aerostacie pojemności 5000 m sześciennych, zaopatrzonym w silnik o sprawności 1500 koni, z zapasami żywności na dwa miesiące, odbyli podróż dookoła Antarktydy, mniej więcej na szerokości koła polarnego, po czym, uciekając się do pomocy wspomnianego motoru, dotarli pomimo napotykaney po drodze burzy śnieżnej do samego bieguna południowego. Z kilkunastu dokładnych obserwacji, dokonanych za pomocą teodolitu i sekstansu, wyprowadzono średnią arytmetyczną, która wykazała 89 stopni 52 minuty 39 sekund szerokości południowej. Na świadectwo czego składają w tym oto miejscu pod kopcem lodowym niniejszy dokument z wyjątkami z dziennika podróży i kilku fotografiami wybrzeża Antarktydy dokonanymi z lotu ptaka. Podpisano własnoręcznie

inżynier Gromski

urodz. w Polsce, zamieszkały czasowo w Chicago

Ryszard Ford

kapitan marynarki St. Zjedn. Am. Półn. ur. w Ohio

James Barton

sternik marynarki handlowej urodzony w Yowa.

Kiedy z namaszczeniem złożono podpisy pod tym ważnym dokumentem skreślonym kaligraficznie przez kapitana, wzniesiono toast doskonałym szampanem na cześć ojczyzny wielkiego wynalazcy i ojczyzny jego towarzyszy. Do dokumentu dołączono fotografię uczestników wyprawy napowietrznej, następnie wszystkie papiery zamknięto w butelce od szampana, zakorkowano starannie, z kolei butelkę włożono do puszki metalowej po konserwach, tę ostatnią zaś umieszczono w skrzynce drewnianej, owiniętej w nieprzemakalne płótno.

— No, mam nadzieję, że ten dokument z łatwością przetrwa wiele lat! — zawołał kapitan. — Wybierzmy tylko punkt, gdzie wzniesiemy kopiec pamiątkowy.

— Musi on stać jak najbliżej bieguna — zdecydował z uporem sternik.

— Wybierz pan sam miejsce — zawyrokował Gromski.

— Musimy przede wszystkim odbyć ten spacer, o którym mówiliśmy.

— Doskonale, idziemy! — zawołał wesoło inżynier. — Po drodze wypatrzymy punkt najwłaściwszy do wzniesienia pomnika.

Z obserwacji kapitana wypadało, że biegun powinien się znajdować gdzieś w promieniu kilku kilometrów. Nasza trójka udała się w drogę śpiewając wesoło. Radość rozpierała piersi wszystkich, radość i duma.

— A to ludzie zgłupieją z podziwu, kiedy wrócimy — mówił podniecony sternik. — Odbyliśmy podróż dookoła tego nieznanego lądu południowego, dotarliśmy nawet do samego bieguna. Pan Gromski wyda pewnie grubą księgę, w której opisie dokładnie nasze przygody. Byłaby szkoda niemała, gdybyśmy mieli zginąć z głodu i zimna, zanim wrócimy. Mógłby się pan zaraz zabrać do pisania, bo jeżelibyśmy mieli tu kości nasze zostawić, to ludzie by ten rękopis koniec końców znaleźli i książka wyszłaby z druku. Tytuł już mam: „Balonem do bieguna”. Prawda, że odpowiedni, co?

— Bardzo trafny — potwierdził Ford.

Rozmawiając o tym i owym podróźni nasi krążyli po linii ślimakowatej, daremnie jednak szukając kamieni, widocznie w pobliżu nie było żadnych gór, skąd lodowiec wynosi oderwane od skały głazy. Po dwugodzinnej przechadzce dość uciążliwej z powodu rozrzedzonego powietrza, znajdowano się bowiem o 3800 m nad poziomem morza, sternik z radością zatrzymał się nad złomem skały, który wyglądał spod całuna śnieżnego.

— Nareszcie znalazłem biegun! — zawołał. — Jest to zapewne wierzchołek bardzo wysokiej góry, która znajduje się w tym punkcie kuli ziemskiej, gdzie, jak mówi kapitan,

przecinają się wszystkie południki na półkuli południowej. Nie wiemy, jak gruba warstwa lodu na niej spoczywa, kto wie, może mierzy ona z 1000 i więcej metrów.

Gromski także był z tej okoliczności bardzo zadowolony, iż odszukano jakiś stały punkt do złożenia dokumentów.

— Nasz dokument, umieszczony na tej skale, może tu pozostać przez całe wieki, o ile skała przez nas odnaleziona jest naprawdę szczytem jakiej góry. Obawiam się tylko, że z czasem śnieg ją przykryje grubą warstwą, jakiś huragan zdmuchnie ją stąd, a wtedy podzieli ona los gładów, które lodowiec powoli znosi aż do oceanu.

— Nasza rzecz w tym, żeby dokument umieścić tak dobrze, żeby mu nic nie groziło. Szkoda, że nie mamy kilofa ze sobą, bobym wykuł w tej skale otwór, umieścił w nim naszą skrzynkę, przywalił otwór kamieniami i basta.

— Ponieważ jednak nie mamy kilofa — zauważył melancholijnie kapitan — musimy nasze dokumenty położyć na tej skale, przywalić ją kilkoma kamieniami, które tu może znajdziemy. Trudno nam będzie lepiej zapewnić jej trwałość.

Sternik przez całą godzinę szukał w okolicy kilku kamieni, wreszcie udało mu się znaleźć jeden nieduży głaz, ważący kilka kilogramów, położono go zatem na skrzynce, wbito obok w lód tyczkę bambusową z dwiema flagami: polską i amerykańską i pożegnano się z tym miejscem. Nawet sternik okazał swoje zadowolenie, widział bowiem, że nic doskonalszego w danych warunkach nie uda się uczynić dla uwiecznienia udanej wyprawy.

W radosnym nastroju wracano do namiotu, w którego sąsiedztwie drżała w podmuchach lekkiego wietrzyka wychudła nieco powłoka balonu. Inżynier zaczął zastanawiać się nad tym, jak odbędą podróż powrotną z tego pustkowia, do którego zaniósł ich losy. Sądząc na oko, balon stracił około 1000 m sześciennych gazu, który musiano wypuszczać, ażeby nie szybować zbyt wysoko w górę. Obecnie statek powietrzny znajdował się prawie że w równowadze z otaczającą atmosferą, to znaczy, że nie posiadał już dużej siły wzlotu. Benzyny pozostało zaledwie 200 l i ten zapas miał wystarczyć na lot aż do wybrzeży Antarktydy. Dzięki posiadaniu aparatu do porozumiewania się na odległość, nasi podróżni spodziewali się po przybyciu nad ocean skomunikować się z okrętem, który ich zawiózł do Ziemi Ognistej. Na razie jednak nikt nie potrafił przewidzieć, w jakim punkcie wybrzeża znajduje się „Polonia”, jeśli w ogóle zdoła wydostać się z tej okropnej pustyni lodowej. Te perspektywy napełniały niepokojem serca kapitana i Gromskiego.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak bezzwłocznie ruszać w drogę powrotną — rzekł inżynier. — Nasz zapas benzyny starczy nam na przebycie kilkuset kilometrów zaledwie. A co będzie dalej? Liczę na to, że zimny antycyklon, który, jak wiadomo, wynosi oziębione masy powietrza z serca południowego łądu ku wybrzeżom, będzie nam w tym pomocny. Teraz znajdujemy się w jego oku, gdzie panuje prawie zupełny spokój w atmosferze. Za kilka godzin jednak posuwając się ku północy znajdziemy się w jego wirach, które powinny nas wynieść w niższe szerokości geograficzne. Czasu tracić nam nie wolno, gdyż balon, choć powoli, lecz ustawicznie traci część wypełniającego go helu. Za tydzień nawet po spaleniu benzyny siła wzlotu spadnie, jak sądzę, do zera. Balastu żadnego mieć nie będziemy, to znaczy zdać się musimy na los szczęścia. Przyznacie, drodzy towarzysze, że przed nami leży bardzo niepewna droga poprzez ocean powietrzny, nawiedzany tutaj częstymi orkanami. Jeżeli jedna z takich burz pochwyci nas w objęcia, obciąży kilkuset kilogramami śniegu, od którego nie będziemy mogli się uwolnić, tak jak dawniej, dzięki ruchowi własnemu balonu, to zostaniemy rzuceni na lodowiec i potargani w strzępy. Dlatego to właśnie nalegam, ażeby natychmiast wyruszyć w drogę powrotną.

Po dłuższych rozważaniach, po skrupulatnym obliczeniu wszelkiego rodzaju zapasów, porobiono ostateczne przygotowania, przespano się dobrze w namiocie dla nabrania sił i w 12 godzin po złożeniu dokumentów na szczycie góry, inżynier Gromski kazał usadowić się towarzyszom w gondoli, podniesiono kotwicę i zaczęto wyrzucać lód służący za balast. Kiedy

wyrzucono ostatnie bryły, balon powoli i ciężko dźwignął się w powietrze.

I tak się rozpoczęła pełna niespodziewanych przygód podróż z bieguna południowego na wybrzeże Antarktydy.

NA WOLE WICHRÓW

„Polonia” uniósłszy się zaledwie na kilkadziesiąt metrów ponad śnieżno-lodową pustynię, bardzo wolno posuwała się w kierunku zachodnim.

Poczyniwszy obserwacje, które dowodziły, że sterowiec robi co najwyżej 20 km na godzinę, inżynier naradził się krótko z kapitanem.

— Jeżeli tak ślimaczym ruchem będziemy wędrowali i to nie w prostej linii, lecz w skrętach wiru, to możemy parę tygodni wisieć w tej lodowatej atmosferze, zanim dostaniemy się w sąsiedztwo oceanu. Obecnie termometr wskazuje trzydzieści parę stopni poniżej zera. I to się nazywa lato. Jak pan widzi, kapitanie, klimat wnętrza Antarktydy nie należy bynajmniej do łagodnych; pamiętajmy przecież, że jest to pora, w której panują, a raczej panować powinny stosunkowo wysokie temperatury. Ale to psi klimat i w dodatku nader kapryśny. Czasem w zimie jest tu parę stopni ponad zero, a znów teraz, w styczniu, który odpowiada lipcowi na półkuli północnej, możemy sobie odmrozić nosy i uszy. Całe szczęście, że nasz balon znajduje się w spoczynku odnośnie do otaczającego powietrza, nie czujemy więc najmniejszego powiewu, co nam pozwala łatwiej znosić ten dokuczliwy mróz. Czas jest nam atoli drogi. Czy więc nie uważasz pan za słuszne, kochany kapitanie, że powinniśmy zużytkować resztkę naszej benzyny na to, ażeby się dostać w niższe szerokości, gdyż sąsiedztwo oceanu i wybrzeży jest dla nas jedynym ratunkiem? Tylko w tamtych okolicach możemy w ostateczności wyżyć się, no i mamy szansę, że jakiś łowca wielorybów albo fok odnajdzie nas w tym pustkowiu i zabierze na pokład swego statku. Inaczej będziemy tu musieli spędzić zimę, która, zdaje mi się, byłaby dla nas bardzo groźna; nie posiadamy bowiem dużo zapasów żywności ani odpowiedniego materiału na budowę jakiejś chaty, w której znaleźlibyśmy schronienie podczas orkanów i zawiei śnieżnych. Obliczyłem, że zapas paliwa pozwoli nam posunąć się o kilka stopni ku północy, to znaczy o jakieś 500 km, może nawet trochę więcej, jeżeli ograniczymy szybkość aerostatu do połowy, gdyż wówczas silnik będzie pracował znacznie ekonomiczniej.

— Zupełnie podzielam pańskie zdanie, inżynierze. Tutaj bowiem, w tej okropnej pustyni, gdzieby daremnie szukać jakiegoś śladu życia, przebywać długo nie wolno. Równałoby to się samobójstwu. Puść więc w ruch silnik, panie Gromski, i płynmy śmiało ku północy.

Tak też uczyniono. „Polonia” zaczęła pruć mroźne i czyste powietrze. Nad nią rozpościerał się nienaruszony błękit niebios; doskonale widzialne słońce ułatwiało robienie zdjęć położenia geograficznego. Robiąc co parę godzin pomiary, skonstatowano z radością, że sterowiec posuwa się przeciętnie z szybkością 60 km na godzinę. Toteż w jakieś 12 godzin znaleziono się mniej więcej pod 83° szerokości południowej, lecz niestety, jak się przekonano z przeglądu mapy, jeszcze z 1000 km dzieliło „Polonię” od upragnionych wybrzeży Oceanu Lodowatego.

Benzyny pozostało zaledwie jakieś 30 l; był to, jak się wyraził inżynier, „żelazny” zapas, którego nie wolno było w żadnym wypadku naruszyć. Był to przecież jedyny środek do ogrzewania wnętrza namiotu, jeżeliby wypadło koczować w pustyni lodowej, a poza tym należało myśleć o przyrządzaniu posiłków. Zimna strawa w tych mroźnych okolicach globu byłaby niezmiernie szkodliwa dla zdrowia podróżników. W dodatku inżynier z żalem musiał wypuścić z wnętrza balonu znów kilkadziesiąt metrów sześciennych helu, gdyż po wypaleniu benzyny balon szybował zbyt wysoko i należało koniecznie obniżyć pułap, tak iżby „Polonia”

szybowała nie wyżej jak na 3000 m nad poziomem morza.

— Zbliżyliśmy się prawie o 10° do morza, lecz, niestety, daleko nam jeszcze do wybrzeży — biadał inżynier wymierzwszy skrupulatnie ilość paliwa pozostałego w zbiorniku. — Odtąd naprawdę jesteśmy zdani na łaskę i niełaskę wicherów. Dobrze jeszcze, jeżeli nie zaskoczy nas burza, bo to byłby już nieodwołalny koniec naszej podróży, a może i nas samych. Na szczęście zimny wiatr niesie suche powietrze, mamy dzięki temu słońce i pogodę, ale jak długo ona potrwa, tego żaden z nas przewidzieć nie potrafi. Musimy zbadać, w jakim kierunku i z jaką szybkością unosi nas obecnie prąd powietrza, któremu powierzyliśmy swe losy.

Oddano się więc obserwacjom; kapitan, przechylony poza poręcz gondoli, przyglądał się przemykającym pod nią krajobrazom i z zegarkiem w ręku starał się osądzić chociaż w przybliżeniu szybkość aerostatu. Po niejakiem czasie oświadczył, że szybkość wiatru wynosi na tej wysokości mniej więcej 60 km na godzinę, lecz przeważnie ku zachodowi, bardzo mało zaś ku północy. Skrety jego były zatem dość zwarte, tak jak w sprężynie zegarka niedawno nakręconego. Inżynier, zrobiwszy naprędce obliczenia, doszedł do wniosku, że potrzeba by paru tygodni czasu, ażeby po takiej spiralnej linii dostać się na wybrzeże.

Położenie naszych żeglarzy powietrznych stawało się więc bardzo kłopotliwe, gaz bowiem w balonie stawał się coraz cięższy, siła wzlotu malała i gdyby „Polonia” natrafiła na swej drodze na jakieś wysokie pasmo gór, co nie było wykluczone, to wielkie pytanie, czy zdołałaby się wznieść ponad taką przeszkodę. Balastu bowiem żadnego nie posiadano, oprócz skąpych zapasów, które przedstawiały się jak następuje: 50 kg sucharów, 20 kg cukru, 60 kg pekelflejszu w baryłkach, kilkanaście kilo konserw w puszkach, tyleż mniej więcej owoców suszonych, cokolwiek kawy, herbaty i czekolady, worek pemmikanu, mieszaniny tłuszczu i mięsa, nieocenionego w podbiegunowych okolicach pożywienia, razem jakieś sto kilkadziesiąt kilogramów żywności — zapas wystarczający dla trzech ludzi zaledwie na parę tygodni. Poza tym broń i amunicja, namiot, śpiwory, trochę zapasowej odzieży, cokolwiek narzędzi, wszystko to razem wzięte ważyło nie więcej niż jakieś 300 kg. Jeżeli więc po upływie paru tygodni sterowiec nie dostanie się nad wybrzeże oceanu, naszym żeglarzom powietrznym grozi niezawodna śmierć głodowa, albowiem o polowaniu we wnętrzu Antarktydy, pozbawionej wszelkiego życia organicznego, nie można było nawet marzyć.

Taki stan rzeczy wprawił w bardzo minorowy nastrój podróżników. Przeklinano antycyklon i marzono o jakimś wietrze lokalnym, który by zaniósł „Polonię” dalej na północ. Nic więc dziwnego, że kapitan śledził z najwyższą uwagą ruchy „Polonii”. Jednakże nadzieje na zmianę kierunku prądu przez całe następne trzy doby, to znaczy 72 godziny, nie ziściły się wcale. Posuwano się ciągle ku zachodowi, z bardzo małym odchyleniem na północ. Dobrze jeszcze, że panowała jaka taka pogoda. Wreszcie kapitan powiedział z radością:

— Dostrzegam, że kierunek wiatru zmienia się wyraźnie na przychylny dla nas. Badając wyniosłości, leżące pod nami, dostrzegam, że unosi nas obecnie jakiś prąd lokalny, prawie prosto na północ. Jeżeli tylko nie zacznie padać śnieg, który by nas przyparł do powierzchni ładu, to zrobimy niezły szmat drogi ku wybrzeżom.

Nasi żeglarze doczekali się zatem tak utęsknionej zmiany. Niebo było pogodne i nie zanosilo się na burzę, choć nie było wyłączone, że szaleje ona gdzieś w odległości paruset kilometrów. Po upływie kilkunastu godzin zrobiono w kierunku północnym, a raczej północno-zachodnim dobrych paruset kilometrów, dzięki czemu wybrzeże oceanu, ta upragniona przez podróżników „ziemia obiecana”, leżało już tylko o kilka stopni ku północy.

Sternik nie tracił nadziei, że ta jedyna w swym rodzaju podróż zakończy się pomyślnie.

— Nie damy się — powtarzał — okrążyliśmy Antarktydę, zdobyliśmy szturmem biegun. O nas, czyli, mówiąc inaczej, o nasze życie, już tu nie idzie, lecz o to jedynie, żeby nasze zdobycze naukowe nie zmarnowały się. Świat musi się dowiedzieć o naszych czynach. Jeżelibyśmy zginęli w tych pustyniach, cały nasz trud zmarnuje się. Ani myślę dać tak łatwo

za wygraną losowi.

— I my także — dodał Gromski. — Chcę wrócić do świata z rezultatami naszej wyprawy i z wami, moi dzielni towarzysze. Radźmy więc nad sposobami naszego ocalenia.

— Na ocalenie mamy bardzo małe szanse — mruknął Ford. — Zwykle wyprawy podbiegunowe znajdują się nawet w razie rozbicia ich statku przez napierające lody w znacznie lepszym położeniu aniżeli my. Posiadają zwykle zapasy żywności na dłuższy okres czasu, psy i sanie, którymi mogą podróżować po polach lodowych, albo też łodzie. My zaś jesteśmy nędzarami, nasz okręt powietrzny staje się igraszką wiatrów, które nie wiadomo dokąd nas poniosą. Za tydzień możemy doskonale umrzeć z głodu, nie powinniśmy zatem stawiać sobie zbyt różowych horoskopów.

Po kilkunastu godzinach żeglugi w tak pożądanym kierunku, na horyzoncie ukazały się, błyszczące w słońcu swymi lodowcami, pasma wzgórz, które w miarę tego, jak sterowiec zbliżał się do nich, coraz wyżej sterczały pod niebiosą. Kapitan ocenił na oko, że wznoszą się one przynajmniej o 1000 m nad powierzchnią lądu, „Polonia” musiała zatem wznieść się o kilometr wyżej, ażeby przeskoczyć ponad tę niespodziewaną przeszkodę. Jedyna nadzieja polegała na tym, że gaz w balonie da się nieco ogrzać, choć, z drugiej strony, inżynier z wielką niechęcią myślał o uszczupieniu i tak skąpego zapasu benzyny. Trudno było jednak uniknąć tej straty, toteż James na rozkaz kapitana zapalił piecyk, gorące powietrze zaczęło krążyć rurkami we wnętrzu balonu, gaz zwiększył swoją objętość, siła wzlotu nieco się powiększyła, tak iż zdołano wznieść się o 500 m wyżej. Ten zysk na wysokości kosztował jednak kilka litrów drogiego płynu. Inżynier stanowczo zabronił palić dłużej benzynę, gdyż pozbycie się jej zupełnie, groziło naszym podróżnym w tej mroźnej atmosferze podbiegunowej wielkim niebezpieczeństwem.

— Jak tak dalej pójdzie, to nie będziemy mieli nawet przy czym ugotować stawy, trzeba zatem uciec się do innego sposobu.

— Nie mamy przecież żadnego balastu — powiedział kapitan.

— Ha, trzeba wyrzucać wszystko, co niepotrzebne.

— Niestety, wszystko jest nie tylko że potrzebne, ale nawet niezbędne dla nas.

— Wyrzuć pan kotwicę workową! — zawołał inżynier. — Waży ona kilkanaście kilogramów. Mogłaby się jeszcze nam przydać, ale wolę się jej pozbyć aniżeli innych przedmiotów.

Sternik spełnił w oka mgnieniu rozkaz Gromskiego i balon podskoczył znowu jakieś 100 m wyżej. Jednakże góry zbliżały się z zastraszającą szybkością, należało działać bez wahania, jeżeli się chciało uniknąć zderzenia.

— Co mam jeszcze wyrzucić? — pytał sternik rozglądając się po gondoli.

— Stół i łóżka z kajuty.

— Bah, to niewiele ważyło! — zawołał sternik spełniwszy zlecenie. — Podnieśliśmy się cokolwiek, ale mamy jeszcze dobre paręset metrów, które musimy przebyć w pionowym kierunku.

— Wyrzuć baryłkę pekeflejszu! — zawołał inżynier.

— No, niech tam, chociaż możemy przez to głodować w niedalekiej przyszłości.

Balon podskoczył cokolwiek, ale jeszcze niedostatecznie.

— Co nam pozostało, kapitanie? — pytał Gromski zaniepokojony bliskim sąsiedztwem gór.

— Śpiwory, inżynierze.

— Tego nie wolno nam się pozbywać pod grozą śmierci z mrozu.

— No, to suchary.

— Ale tylko połowę, inżynierze — zastrzegł się Ford.

Dwadzieścia kilka kilogramów ciężaru, który wypadł z gondoli, ulżył balonowi, lecz jeszcze groziło zderzenie.

— Brak kilkudziesięciu metrów! — zawołał Gromski. — Proszę, wyrzuć pan jeszcze cokolwiek, kapitanie.

— Nie mam już co, inżynierze.

— Przecież musimy przedostać się przez tę przeszkodę! — zawołał z rozpaczą inżynier, spoglądając ze zgrozą w labirynt nagich szczytów, spiętrzonych pod „Polonią”.

— Wyrzucaj pan połowę naszej amunicji myśliwskiej, która jest bardzo ciężka.

Ta ostatnia ofiara okazała się skuteczna. Sterowiec, unoszony wiatrem, przemknął szczęśliwie ponad pierwszymi ostrymi szczytami zagrażającymi mu drogę. Lecz niebezpieczeństwo nie minęło — gondola mogła zawadzić o inną skałę. Gromski oglądając napotykaną po drodze głazy, przekonał się, że Antarktyda jest zbudowana głównie ze skał krystalicznych, jak bazalty, gnejsy, granity. Skały te pokryte stałe lodem mało podlegają niszczącemu działaniu powietrza i wody.

Antarktyda jest najwynioślejszym kontynentem świata (jego średnia wysokość osiąga około 3000 m nad poziom morza), przeciętym łańcuchami górskimi o szczytach przekraczających 5000 m.

Inżynier Gromski miał sposobność stwierdzić ten fakt w parę godzin zaledwie po szczęśliwym przebyciu wspomnianego już pasma górskiego. „Polonia”, porwana przyjaznym wiatrem południowo-wschodnim, przeleciała nie więcej niż jakieś sto kilkadziesiąt kilometrów, kiedy kapitan, obserwujący uważnie widnokrąg, zaklął siarczyście.

— Znowu te przekłete góry przed nami! — zawołał uderzając pięścią w rozłożoną przed nim mapę. — Tym razem będziemy mieli trudny orzech do zgryzienia. Szybujemy na pułapie 3000 m. a te szczyty, które dostrzegam w kierunku północnym, sterczą przynajmniej o 1000 m wyżej. Są one najeżone licznymi iglicami i zębatymi turniami, o które bardzo łatwo możemy się rozbić. Musisz pan, inżynierze, zawczasu postanowić, co jeszcze mamy do wyrzucenia, jeżeli w ogóle chcemy ocalić nasz statek powietrzny. Wszak dzieli nas od morza jakieś 800 km tej straszliwej pustyni lodowej, przestrzeń ta przy naszych ubogich środkach jest całkiem niemożliwa do przebycia. Jeżeli więc będziemy zmuszeni wylądować na stokach tych wyniosłości, to jesteśmy już zgubieni bez ratunku.

— Musimy ją przebyć, kochany kapitanie. Puszczę na chwilę silnik w ruch, ażeby wybrać jakąś przełęcz, przez którą łatwiej się przedostaniemy na tamtą stronę łańcucha górskiego. Co zaś do przedmiotów, które jeszcze możemy poświęcić, to nie ma żadnego wyboru. Proszę cię, kapitanie i sterniku, odłóżcie na bok cokolwiek żywności, namiot i kołdry, a poza tym pozbyć się musimy wszystkiego. Możemy także odrąbać część poręczy naszej gondoli, co ujmie także kilkanaście kilogramów ciężaru.

Sternik i kapitan pośpieszyli spełnić to rozpaczliwe postanowienie Gromskiego, zdawali bowiem sobie sprawę, że idzie tu o ich życie. Kiedy już skończono segregowanie przedmiotów, góry znajdowały się o kilkanaście kilometrów zaledwie od sterowca. Inżynier wypatrzył szeroką przełęcz, puścił na kilka minut w ruch śmigło i „Polonia” znalazła się naprzeciwko bramy, która się przed nią otworzyła. Lecz, niestety, wysokość progu tej bramy wynosiła jeszcze jakieś 300 m.

— Wyrzucajcie już balast! — zakomenderował Gromski zatrzymując motor, ażeby oszczędzić bezcennej benzyny.

BOHATERSKIE POŚWIĘCENIE

Dreszcz zgrozy przenikał serca naszych podróżników, kiedy spoglądali z wątej łódeczki balonu w te niemal pionowymi ścianami ograniczone doliny zavalone do połowy śniegiem i lodem, na te zawrotne przepaście, których dna ginęły we mgle oddalenia, na urwiska tak

stromie, że nawet śnieg nie potrafił się na ich stokach utrzymać i z grzmiotem staczał się w otchłani. W tej chwili nasza trójka zrozumiała dopiero swoje własne szaleństwo. Bo szaleństwem i zuchwalstwem bez granic było zapuszczać się w głąb olbrzymiego ładu, pozbawionego niemal zupełnie życia organicznego, najeżonego niezbadanymi, niedostępnymi, sięgającymi obłoków szczytami i w dodatku otoczonego pustym oceanem, na który odważają się wyprawiać jeno na wpół dzicy poławiacze wielorybów i myśliwi polujący na foki. Jakiś skurcz trwogi ścisnął gardło inżyniera.

Śmierć bezlitosna, samotna, zimna, okrutna śmierć! Śmierć! Słowo to wypisane było wielkimi czarnymi zgłoskami obnażonych skał na białym tle śnieżnym, po wszystkich zboczach, na dnie każdej otchłani, którą „Polonia”, niesiona potężnym tchnieniem wichru, szybko mijała.

— Co za kraj! — wzdrygnął się kapitan. — Wolę już morze, choćby miotane najpotężniejszym orkanem, niż te góry podobne chyba do księżycowych. Zdaje mi się, że lecę nad jakąś odległą od słońca planetą. Zaprawdę, znajdujemy się na samym końcu świata.

Inżynier nic nie odpowiedział. Zamknął oczy i pograżył się w jakieś smutne myśli.

Czyżby utracił nadzieję wydarcia się cało z tego potrzasku? Czyżby żałował swojej odwagi? Czy może odstąpiła go ona w tej podróży ponad lodami i granitowymi turniami, o które lada chwila mogła się rozedrzeć wązka powłoka jego balonu, obezwładnionego z braku paliwa i zdanego na łaskę żywiołów? Po chwili jednak inżynier Gromski odzyskał siłę ducha.

— Wszystko precz za burtę! — zawołał. — Jamesie, wyrzuć ostatnią baryłkę pekeflejszu.

— Zrobione, inżynierze — odparł z zimną krwią sternik.

— Jeszcze za mało. Spiesz się! Precz z amunicją! Zostaw tylko kilkadziesiąt ładunków.

Ale pomimo tych okropnych ofiar, jakie ponoszono, jeszcze sto kilkadziesiąt metrów należało przebyć w pionowym kierunku, ażeby osiągnąć progu przełęczy.

— Rozbijemy się o te przeklęte skały! — zawołał z rozpaczą kapitan. — Sprzysięgły się one na naszą zgubę!

— Będziemy się bronili do ostatka — odparł Gromski. — Jamesie, baczność! W ostateczności wszystko za burtę! Rozumiesz? Wszystko!

— Rozkaz — odparł sucho marynarz.

W gondoli pozostało już tylko nieco żywności i fuzja ze szczupłym zapasem naboju. Czekolada, kawa, cukier, wszystko, bez czego w ostateczności można się było obyć, spadło na żleby wypełnione śniegiem. Gondola była niemal próżna, nawet aparatowi nie darowano, a był to przecież niezbędny środek do porozumienia się z „Prezydentem Lincolnem”, który miał odszukać żeglarzy powietrznych w tych niezmiernych pustyniach lodowych. Wyrzucono więc jak gdyby ostatnią deskę ratunku. Podczas tych czynności, dyktowanych rozpaczą, przełęcz zbliżała się zastraszająco. Zaledwie kilometr dzielił „Polonię” od tej okropnej przeszkody, na którą nieubłaganie niósł ją wicher. Balon nie wzniósł się jeszcze dostatecznie, ażeby przemknąć się przez otwierającą się przed nim bramę, szeroką na kilometr zaledwie.

Gromski zmarszczył brwi.

— Nie przejdziemy — mruknął.

Patrzył zimnymi, przygasającymi źrenicami na ten olbrzymi mur skalisto-lodowy, który rósł przed nim, jak gdyby go wypychały spod ziemi jakieś potężne siły. Już dokładnie można było dostrzec strukturę skał, pogięte, połamane warstwy, raz stojące niemal pionowo, to znów pofałdowane. „Polonia”, pozbawiona motoru, zdolnego do działania, i steru, który już nie mógł działać, nie była w możności wymijać żadnych przeszkód. Musiała poddać się bezwładnie wiatrowi, który pchał ją nieubłaganie na te ostre iglice, na grzbiety skał, nadstawiających swe ostre jak stal cielska, podobne do jakichś apokaliptycznych bestii sprzysiężonych na zgubę balonu.

W tej chwili szybował on tuż nad olbrzymim lodowcem, wznoszącym się z przełęczy i

opadającym ku rozległej dolinie.

Należało zrobić ostatni bohaterski wysiłek albo zginąć nieodwołalnie.

Podróżni spoglądali dokoła siebie z rozpaczą; w gondoli pozostało zaledwie to, bez czego śmierć wnet zajrzeć musiała im w oczy. Najniezbędniejsze przedmioty, garść żywności — słaba tarcza przed pociskami mrozu i głodu.

— James! — zawołał złamanym głosem Gromski.

— Jestem! — odparł sternik prostując się jak żołnierz przed oficerem dającym rozkaz podczas bitwy.

— Czy nie ma już nic do wyrzucenia?

— Nie! — zawołał Ford.

— Jest! — odparł lakonicznie marynarz i zanim Gromski albo Ford zdążyli mu przeszkodzić, przełożył nogę przez poręcz i rzucił się w otwartą pod nim straszliwą otchłań śnieżną.

Obaj żeglarze wydali okrzyk rozpaczy i trwogi. Kapitan wychyliwszy się z gondoli zobaczył już tylko, jak ciało wilka morskiego znika w próżni.

„Polonia” uwolniona od tak znacznego ciężaru podskoczyła jak koń ukłuty ostrogą i w kilkanaście sekund potem znalazła się na poziomie przełęczy — jeszcze chwila i balon przebył zagrażający mu łańcuch górski. Ale Gromski nie zdawał sobie sprawy z tego, co się działo. Zastłoniwszy oczy, siłą woli starał się powstrzymać łzy, które gwałtem sączyły mu się na policzki.

— Zginął nieszczęśliwy! Poświęcił się dla nas — szeptał.

— Zginął jak bohater! — dodał Ford.

Rzucili się sobie w objęcia i przejęci bólem pozostali tak przez długą chwilę.

Kiedy rozwarli ramiona, kapitan spojrzawszy w przestrzeń, przekonał się, że balon szybuje ponad wspaniałym lodowcem, który spływał z przełęczy w północnym kierunku. Nie było tu żadnych skał, które groziłyby rozbiciem balonowi. Gromski zatem bez wahania pociągnął gwałtownie za sznur od kłapy. Gaz wydobywał się z balonu z szumem, „Polonia” zniżała się szybko. Ford wyrzucił kotwicę, która na szczęście ocalała z pogromu, gdyż wisiała z tyłu gondoli. Zęby jej orały jakiś czas po lodzie głęboką bruzdę, lecz niebawem mocno zahaczyły. Gromski jeszcze wypuścił trochę gazu i gondola dotknęła ziemi.

— Musimy odnaleźć ciało nieszczęśliwego Jamesa — zawołał Ford — i pochować go! Wszak oddał życie za nas.

Ażeby jednak opuścić balon, należało go wprzód obciążyć kilkunastoma bryłami lodu. Dokonawszy tego, nasi podróżni zeszli na ziemię i ująwszy okute kije, zaczęli mozolną wędrówkę po lodowcu ku przełęczy. Uplłynęło parę godzin, zanim zdążyli przedostać się na drugą stronę grzbietu.

Kapitan okazał się jednak pesymistą.

— Jakże go szukać w tych strasznych górach, które tylko co przebyliśmy? — spytał. — Spadł na ostre skały z wysokości co najmniej 30 m, to znaczy, że rozbił się na miazgę. Co najwyżej po wielu trudach z narażeniem własnego życia uda nam się może odszukać jego skrwawione strzępy.

— Tak, ma pan słuszność, kapitanie — potakiwał Gromski — a jednak...

— Wie pan najlepiej, jak kochałem tego starego przyjaciela — mówił Ford — towarzysza tylu przygód na Dalekiej Północy. Szukajmy, choć nie ma najmniejszej nawet nadziei.

— Wszystko jedno. Nie traćmy czasu. Każda chwila jest droga. Sternik, biedaczysko, zapomniał o piecyku do ogrzewania gazu w balonie. Waży on sporo i kto wie, czyby nie wystarczyło, jeżeliby wyrzucił ten ciężar.

Gromski potrząsnął głową.

— James wyskoczył w ostatniej chwili. Parę sekund wahania z jego strony, a „Polonia” leżałaby podarta w strzępy, u progu przełęczy, my zaś leżelibyśmy na dnie jakiejś przepaści.

Tak czy owak obowiązkiem naszym jest odszukać go, chociażby to nas miało narazić na wielkie niebezpieczeństwo. Musimy sobie tylko uprzytomnić, w którym miejscu wyskoczył. Jeśli sobie przypominam, bardzo niewielka przestrzeń dzieliła nasz balon od progu przełęczy, która w tym miejscu nie jest zbyt stroma. Z tego mogę sobie wykombinować, że James nie spadł ze znacznej wysokości. Zdaje mi się, że nie zrobię pomyłki, jeżeli powiem, że przeleciał on w powietrzu nie więcej nad jakieś 50 m, co jednak wystarcza zupełnie człowiekowi, żeby się zabić lub w najlepszym wypadku połamać kości.

Tak rozmawiając i przeskakując napotykaną po drodze szczelinę, nasi podróżni wydostali się na przełęcz i stamtąd po dość łagodnym spadku, po lodowcu, który tu się zaczynał i był pokryty grubą warstwą świeżo nawianego śniegu, schodzili coraz niżej, zapadając nieraz po sam pas. Upłynęło kilka godzin, zanim znaleźli się w punkcie, gdzie miał miejsce rozpaczliwy skok sternika. Chęć ratowania bohaterskiego Jamesa dodawała sił naszym podróżnikom, niepomnym na siebie w tej chwili. Kapitan rozejrzawszy się uważnie, rozpoznał dość łatwo szlak, którym „Polonia” przelatowała nad przełęczą.

— Patrz, inżynierze — rzekł — czy dostrzegasz tę dziwną skałę, podobną do głowy jakiegoś bajecznego potwora? Koło niej przemykaliśmy się w chwili, kiedy dzięki poświęceniu Jamesa wzbiliśmy się nieco w górę. Gdyby nie prąd wstępujący, zawsze tworzący się w pobliżu stoków, które wicher musi, że się tak wyrażę, przeskakiwać, to może i tak nie zdążylibyśmy w porę uniknąć niebezpieczeństwa.

— Gdyby się nam udało znaleźć jakiś przedmiot wyrzucony z gondoli, trafilibyśmy wnet do miejsca katastrofy — rzekł inżynier.

— Niech pan zwróci wzrok w tamtą stronę, na to pole śnieżne! — zawołał kapitan.

Gromski przejrzał uważnie wskazaną przestrzeń.

— Widzę, jakby pręt sterczący ze śniegu — rzekł po chwili.

— Jest to, jeżeli się nie mylę, jeden z drążków bambusowych naszej gondoli, wyrzucony w ostatniej chwili przez sternika. Spadając pionowo utkwiał w śniegu. Mamy więc dowód, że znajdujemy się na dobrym szlaku. Naprzód!

Inżynier uradowany spuszczał się jak tylko mógł najszybciej po zboczu obficie pokrytym świeżo spadłym śniegiem, który jeszcze nie zdążył stwardnieć od mrozu. W pół godziny potem obaj znaleźli się u pręta, który spadając, zarył się głęboko w śnieg.

— Teraz cofnijmy się w górę, a trafimy niezawodnie na ciało sternika — zapewniał kapitan, który kroczył naprzód.

Po godzinie pilnych poszukiwań uwagę jego zwróciło świeże zagłębienie w śniegu. Szturgając w jego dnie okutą swą łaską, Ford namacał coś twardego.

Była to, jak się przekonano, puszcza z resztą sucharów, którą niepostrzeżenie, ale i niebacznie wyrzucił James., widocznie na parę sekund przed swoim karkołomnym skokiem. Wydobyto ją z niemałym trudem, okazała się zupełnie cała. Kapitan zabrał ten szczupły zapas pożywienia, który mógł starczyć zaledwie na parę dni.

— To że pudło drewniane nie rozbiło się, świadczy o tym, iż śnieg jest bardzo dobrym środkiem ochronnym dla spadających nań przedmiotów — zauważył.

To spostrzeżenie wlało cokolwiek otuchy w serca podróżników, którzy, grzęznąc w sypkim śniegu, dalej szperali. Już tracono wszelką nadzieję, kiedy nagle Gromski zatrzymał się przed lejkowatym zagłębieniem i zaczął mu się przyglądać z wielką uwagą.

— I tu coś ciężkiego musiało spaść.

Kapitan załamał dłonie.

— Znajdujemy się nad grobem człowieka, który poświęcił się, by nas uratować od niechybnej zguby! — zawołał.

Gromski, zamiast snuć domysły, ostrożnie sondował dno leja.

— Tam jest coś! — zawołał.

Zanim dokończył, kapitan skoczył w zagłębienie i zaczął szybko odgarniać śnieg obie-

ma rękami. Wgrzebawszy się zaledwie na metr poczuł pod palcami miękkie ciało.

— To on, James! — krzyknął wzruszony tym odkryciem. — Musimy wydobyć ciało zacnego towarzysza. Byłoby okropnie z naszej strony, gdybyśmy pozostawili go tutaj na wieczny odpoczynek. Należy mu się jakiś trwalszy nagrobek, choćby kopiec z kamieni.

Kapitan nie potrzebował długo pracować, śnieg bowiem był sypki i niebawem ukazała się głowa ludzka.

Tak, było to ciało męczennika w imię nauki, skromnego, lecz pełnego samozaparcia się marynarza.

Wspólnymi silami wyciągnięto je na powierzchnię.

— Nie żyje! — zawołał kapitan ujrawszy bladą jak marmur twarz starego towarzysza.

Gromski w milczeniu rozpiął kurtkę Jamesa i przyłożył ucho do jego piersi.

Zapanowała długa cisza. Nawet wichur, jakby chcąc ułatwić to badanie, na chwilę omdlał.

— Nie wiem! Zdaje mi się, że się mylę! To nie podobna, a jednak — mówił inżynier — przekonaj się pan sam.

Ford z kolei przyłożył ucho do piersi marynarza i oblicze jego rozjaśniło się uśmiechem nadziei.

— Tak, bardzo słabo, ale serce uderza jeszcze. Przy tym oczy są przymknięte, a wiadomo, że śmierć chwyta nas zwykle w ramiona, kiedyśmy ich nie zdążyli jeszcze zamknąć.

Rozciągnęli rozebranego Jamesa na śniegu i nie patrząc na dotkliwie zimno, zaczęli nacierać całe ciało śniegiem. Potem unosząc ramiona nad głową i opuszczając je rytmicznie na boki, starali się wywołać sztuczne oddychanie.

Trwało to długo, bardzo długo! Zmieniali się kolejno w tej ciężkiej pracy, nie ustając ani na chwilę. Należało wyczerpać wszystkie środki ratunku.

Okolicznością bardzo pocieszającą był brak poważniejszych uszkodzeń na ciele sternika. Ani jednej złamanej kości; chyba że gwałtowny wstrząs poczynił spustoszenia w organach wewnętrznych.

Na tych próbach wskrzeszenia nieboszczyka upłynęło parę godzin, podczas których nadzieja często ustępowała miejsca rozpacz.

Nareszcie na skostniałe policzki marynarza wypląnęło coś, jakby echo rumieńca. Zbadawszy serce Gromski już nie wątpił dłużej: sternik żyje, lecz niezmiernie wolno wraca do siebie. Dopiero po czterech godzinach zabiegów, w które każdy z jego towarzyszy wkładał całą swoją umiejętność ratownictwa, marynarz na chwilę podniósł powieki, ażeby je wnet zamknąć na powrót.

— Żyje, żyje nasz dzielny, kochany przyjaciel! — wybuchnął niepohamowaną radością Ford.

Podwojono starania i wreszcie Barton przyszedł o tyle do siebie, że wyszeptał kilka niezrozumiałych wyrazów. Odziano go na powrót, wlano w usta trochę wody ze stopionego śniegu, złożono na noszach zaimprovizowanych z dwóch związanych linką drążków bambusowych.

Ciężka to nad wyraz była praca! Wspinano się pod górę- w pocie czoła. Zatrzymywano się często, ażeby wypocząć.

Marynarz przychodził wyraźnie do siebie. Wyciągnął dłoń, aby uścisnąć rękę kapitana.

— Nie trudź się, stary chłopie, nie masz za co dziękować — rzekł Ford. — To my raczej winniśmy ci dozgonną wdzięczność za twoją ofiarę.

Po kilkunastu godzinach niewysłowienie utrudzającej wędrówki przebyto przełęcz i znaleziono się wreszcie na drugiej stronie łańcucha górskiego. Kiedy dotarto do balonu, James o tyle odzyskał siły, że mógł w krótkości opowiedzieć swoje wrażenia.

— Jak się czujesz, mój poczciwy Jamesie? — pytał Gromski. — To coś niepojętego zeskoczyć z takiej wysokości i nie skreślić karku.

Sternik uśmiechnął się słabo.

— Gdyby pan wiedział, co ja czułem spadając, nie dziwiłby się pan, że mam kości całe — wyszeptał James. — Wskoczywszy, od razu poczułem silny prąd powietrza koło uszu, ale pęd mój w dół jakoś nie odbywał się tak gwałtownie, jakby należało się spodziewać. Jakaś tajemnicza siła hamowała mój upadek. Kiedy wreszcie, po kilkunastu sekundach runąłem w śnieg, uderzenie było tak słabe, jak gdybym zeskoczył z wysokości kilkunastu metrów zaledwie.

Nie umiem sobie do tej chwili wytłumaczyć tego dziwnego zjawiska.

Inżynier zamyślił się.

— Zrozumiałem — rzekł. — Zawdzięczasz swoje cudowne ocalenie wstępującemu prądowi powietrza, który tworzy się zawsze pod górami. Ten sam prąd ułatwił nam przedostanie się ponad przełęczą. Pamiętajcie, przyjaciele, ten okropny wulkan, w którego dymie siarkowym omal nie podusiliśmy się wszyscy? Wówczas „Polonię” przeniósł przez krater taki sam prąd wstępujący, który musi powstawać zawsze, ilekroć silny wiatr napotka jaką wysoką przeszkodę. Mówiąc po prostu, wichur „przeskakuje” przez góry. Taki właśnie wiejący od dołu ku górze prąd był na tyle silny, że złagodził siłę upadku i ocalił cię, mój stary, od pogruchochania kości. No i śnieg!

— Wyjaśnienia twoje, inżynierze, wydają mi się trafne — rzekł Ford. — Gdybyśmy zaufali temu prądowi górnemu, nie potrzebowałbyś może, Jamesie, wyskakiwać z gondoli, gdyż „Polonia” i tak przedostałaby się ponad przełęcz. Nie zmniejsza to jednak twego bohaterstwa. Ofiarowałeś własne życie, byle tylko ocalić nas, za co wdzięczni ci będziemy do śmierci.

W PUSTYNI LODOWEJ

Kiedy już sternik dzięki kilku łykom gorącego rumu wrócił przynajmniej pod względem duchowym do siebie i odzyskał wrodzony mu humor i optymizm, nasi żeglarze powietrzni zaczęli zastanawiać się nad swym położeniem.

Balon utracił sporo gazu; to, co w nim pozostało, nie przenosiło objętości 3000 m³. W dodatku hel zawierał obecnie paroprocentową domieszkę powietrza, siła wzlotu balonu zmniejszyła się zatem niemal do połowy. Poza tym, wyrzuciwszy trzy czwarte rozmaitych zapasów i przedmiotów, nie posiadano już żadnego balastu, który w razie potrzeby mógłby dźwignąć aerostat w wyższe strefy atmosfery.

Kapitan Ford rozejrzawszy się w mapach, po zdjęciu położenia geograficznego, gdyż sekstans i teodolit, jako najcenniejsze przyrządy, ocalały z pogromu, doszedł do wniosku, że „Polonia” znalazła się o jakieś 1000 km na północ od bieguna, to znaczy ponad 80°, licząc okrągło, szerokości południowej, a mniej więcej ponad 100° długości od pierwszego południka, to jest mniej więcej po przeciwnej stronie Antarktydy, licząc od Ziemi Ognistej. Ponieważ Ziemia Wilkesa i Ziemia Wilhelma II leżą na szerokości koła podbiegunowego, więc łatwo było obliczyć, że od oceanu dzieliła ich przestrzeń około 700 km. Znajdowano się więc w samym wnętrzu kolosalnej pustyni lodowej, jaką jest szósta część świata.

— Tak — orzekł Ford kładąc rękę na mapie — posiadamy niezmiernie nikłe szanse wydostania się z tej pułapki. Żywności starczy nam w najlepszym razie na kilkanaście dni i to przy znacznej oszczędności. Pozbyliśmy się wszystkiego, co w tym straszliwym klimacie staje się konieczne do utrzymania życia. Obecnie jest styczeń, to znaczy zaawansowane tu bardzo lato. Ale termometr wskazuje w tej chwili poniżej 20° mrozu. Widzicie więc, zacni towarzysze, że Antarktyda to rezerwar zimna i lodu, który nigdy nie topnieje. Temperatura na tym kontynencie, wyjątkowo tylko podczas najcieplejszej pory roku, podnosi się o kilka

stopni ponad zero. Jakże więc wydostaniemy się z tej okropnej pustyni lodowej, dokąd zapełdziły nas wiatry, no i nasza nieroztropność?

— Odwaga raczej — przerwał sternik. — Co do mnie, mam nadzieję, że jakoś wydźmiemy z tej matni.

— Chyba jakimś cudem — zakonkludował kapitan. — Wszak wiesz, drogi przyjacielu, że nasza „Polonia” jest już niezdatna do lotu. Jakże więc wydobędziemy się stąd? Nie mamy już sanek, zresztą niewiele byśmy mogli na nie naładować; przed nami leży olbrzymia przestrzeń 700 km, którą w najpomyślniejszych warunkach, posiadając psy pociągowe, dostatek żywności i wszelkie niezbędne w takiej podróży rzeczy, moglibyśmy przebyć zaledwie w parę miesięcy. Piechotą niedaleko zajdziemy; za tydzień wyczerpią się nasze prowianty, no i koniec!

Obaj skierowali pytający wzrok na inżyniera, który w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie swych towarzyszy, nastrojonych tak minorowo.

— A więc, inżynierze? — zagadnął po chwili Ford. — Myślę, że na stokach tych okropnych gór wyrosnie niebawem parę kopców kamiennych, pod którymi spoczniemy na wieczne czasy. Nazwijmy je więc na mapie „Górami Śmierci”. Pozostawimy tutaj w jakimś widocznym punkcie nasz dziennik podróży, nasze zdjęcia fotograficzne, ażeby ludzie kiedyś dowiedzieli się o pomyślnych wynikach naszej szalonej wyprawy, która musi się, według mnie, skończyć tragicznie. Doprawdy nie widzę stąd wyjścia.

Gromski uśmiechnął się melancholijnie.

— Jest z nami źle — rzekł. — Przyznaję to, gdyż ukrywanie wobec was, moi dzielni towarzysze, prawdziwego stanu rzeczy, uważałbym za nielojalne. Lecz przyświeca mi pewien promyk nadziei, bardzo zresztą nikły. Przed chwilą powiedziałeś pan, kapitanie, że nasza „Polonia” jest już niezdolna wznieść się w powietrze, gdyż nie posiadamy żadnego balastu. Zapomniałeś jednak, że w gondoli jest wbudowany motor, który waży niemal 1500 kg. Ponieważ nasz zapas paliwa, z wyjątkiem pewnej niewielkiej ilości, która ma nam posłużyć za opał w naszej kuchni podróźnej, wyczerpał się, przeto silnik, dzięki któremu najpierw dotarliśmy do bieguna, a następnie dostaliśmy się w te okolice, staje się całkiem nieużyteczny. Zdemonstrowujemy go i porzucimy w tych pustkowiach, chociaż przyznaję, że rozłaka z tym wiernym naszym towarzyszem, któremu tyle zawdzięczamy, sprawi mi wielką przykrość. Cóż jednak zrobić? Za żadne skarby nie zaopatrzymy się tutaj w benzynę. Nawet na wybrzeżach oceanu, napotkawszy jakiś statek wielorybiczny, niewiele byśmy od niego dostali tego płynu. Pozbywając się 1500 kg, odzyskujemy bardzo znaczną siłę wzlotu, gdyż na miejsce motoru naładujemy gondolę kamieniami, których tu nie brak, i znajdziemy się w posiadaniu znacznej ilości balastu. Dzięki temu nasz aerostat, jako wolny balon, będzie mógł jeszcze przynajmniej przez tydzień unosić się ponad tymi pustkowiemi. Nie mamy żadnej zgoła pewności, ale jest możliwość, że wichry, które tutaj wieją, w przeciwieństwie do górnego wiatru, w kierunku zachodnim i to zapewne po linii mocno spiralnej, zanoszą nas nad morze, gdzie znajdziemy warunki, jeżeli nie przyjazne, to chociażby znośne. Posiadamy pewne szanse, że o tej porze roku napotkamy jakichś myśliwych polujących na foki albo statek wielorybiczny, który nas zabierze do krajów cieplejszych i koniec końców umożliwi powrót do ojczyzny.

— Brawo, inżynierze! — zawołał sternik odzyskując swój dobry humor. — Przyznaję, jak przystało na starego osła, że całkiem zapomniałem o silniku. Gdyby nie to, wyrzuciłbym go na pewno za burzę, zamiast samemu wyskakiwać, jak jaki kiepski wariat. Szczęście prawdziwe i to wyjątkowe, że nie skręcił karku, nie połamiał gnatów, żeście mnie odszukali i z takim trudem przyprowadzili do życia.

— Silnik jest mocno wbudowany w gondolę — mówił Gromski — jak wam wiadomo, moi towarzysze. Pomimo najszczerzych chęci nie ruszylibyśmy go z miejsca w tamtym niebezpiecznym momencie. Lecz za pomocą pozostałych narzędzi powoli wysadzimy go z oprawy i po kawałku wyniesiemy na ląd. Zawczasu jednak należy zaopatrzyć się w 1500 kg

kamieni, które, jak mam nadzieję, łatwo znajdziemy na powierzchni lodowca, boć każdy lodowiec porywa w swoim powolnym biegu kawałki skały i niesie je na grzbiecie jako tak zwaną morenę środkową.

Sternik rozejrzał się bacznie dookoła, istotnie spostrzegł sporo odłamów łupku krystalicznego, z jakiego były zbudowane góry przebyte z takim trudem i niebezpieczeństwem.

— Nie ma obawy! — zawołał. — Podejmuję się w jeden dzień przynieść tutaj całą tonę tych ostrych głazów.

— No, no — wtrącił kapitan. — Wątpię, czy będziesz miał siły wykonać taką utrudzającą pracę.

— Dzisiaj to jeszcze nie — odparł sternik — ale dzięki temu rumowi, który, na szczęście, ocalał w naszej spiżarni, czuję się znacznie lepiej. Wyśpię się, a jutro... bah, zapomniałem, że tutaj jest ciągły dzień i że za dwanaście godzin słońce będzie tak samo świeciło, jak teraz. Mniejsza zresztą o słońce, zjem kilka sucharów i kawałek pemmikanu, jeżeli naturalnie kapitan na to pozwoli, i niebawem będę silny jak bawół.

Tak więc kwestia balastu znalazła szczęśliwe rozwiązanie. Jakaś ufność i nadzieja wstąpiła w serca naszych podróżników.

— Niech mi pan powie, inżynierze — zagadnął kapitan — ile kilometrów możemy zrobić na naszym balonie, mając 1500 kg balastu?

— Jest to pytanie, daruje mi pan, nie całkiem trafne. Powinieneś pan raczej dowiedzieć się ode mnie, jak długo „Polonia” będzie mogła unosić się ponad ziemią. Otóż według moich obliczeń mamy przed sobą przynajmniej jeden tydzień czasu. Wszystko zatem zależy od kierunku wiatru i od budowy powierzchni w tych okolicach ładu południowego. Obecnie znajdujemy się na wysokości dwóch tysięcy kilkuset metrów nad poziomem oceanu. Wszystko zatem zależy od szybkości wiatru i od jego kierunku. Gdyby wiał prosto na północ, to zaniósłby nas w niecałe 12 godzin nad wybrzeża oceanu, gdzie czeka nas niewyczerpany zapas żywności i opału w postaci pingwinów i tłustych fok, z których moglibyśmy wytopić mnóstwo tranu. Nie mówię już o wielorybach, z których każdy dostarczyłby nam kilkunastu ton paliwa. Wiadomo wam, że Eskimosi na Dalekiej Północy ogrzewają swoje chaty zbudowane z lodu lampami tranowymi; dają im one nie tylko światło, ale i ciepło. W tym sęk, żeby dostać się jak najprędzej na wybrzeże. Lecz, jak wiemy, panuje w tych okolicach Antarktydy zimny antycyklon, w którym powietrze porusza się, od wschodu ku zachodowi, po spiralnej linii. Nie pozostaje nam nic innego, jak powierzyć się żywiołom, gdyż nasz aerostat w żaden sposób nie może dowolnie płynąć w obranym kierunku. Jesteśmy jak beczka rzucona do morza na łaskę prądu. Dobrze jeszcze, jeżeli nie napotkamy znowu jakiegoś wysokiego łańcucha górskiego albo też jeżeli nie zaskoczy nas jeden z tych gwałtownych orkanów, które wybuchają nagle, bez żadnego uprzedzenia i trwają niestety po kilka dni bez przerwy. Dostawszy się w taki lokalny cyklon, w straszliwą zamieć śnieżną, bylibyśmy zgubieni niemal bez ratunku.

— Trudno, jeżeli inaczej być nie może — rzekł sternik — lecz co do mnie, jestem głęboko przekonany, że żaden orkan nas nie porwie, a poczciwy wiatr koniec końców wyniesie nas z tej pustyni nad morze.

— Jest to jedyna nasza nadzieja — potwierdził Gromski. — Powierzamy się zatem żywiołom, gdyż czujemy się całkiem bezsilni. Zawsze to lepiej dla nas wznieść się w powietrze i płynąć w dal bezkresną ku nieznanym losom, aniżeli pozostać tutaj w tym pustkowiu okropnym. Przez cały czas, jaki tu spędzamy, nie dostrzegłem ani jednego ptaka, dowód to, że wewnątrz Antarktydy to istotnie bezlitosna, pozbawiona wszelkiego śladu życia, mroźna pustynia. Każdego czeka tu śmierć niezawodna z głodu i mrozu. Nie traćmy więc czasu!

Gromski kazał spać sternikowi, ażeby ten odzyskał jak najprędzej utracone siły, sam zaś z kapitanem zabrał się do zdemontowania silnika. Odjęto śmigło, potem wydobywano z oprawy jeden po drugim cylindry z tłokami. Wreszcie pozostała tylko sama oprawa, ale tak

ciężka, że nawet we dwóch nie zdołali usunąć jej z gondoli. Należało z tym poczekać, aż obudzi się sternik.

— Po co mamy brać kamienie, kiedy i te części składowe silnika mogą równie dobrze stanowić balast, jak każdy inny ciężki przedmiot?

— Pozostawimy je zatem, ale oprawę, która waży z 500 kg, trzeba koniecznie zastąpić kamieniami — odparł Gromski.

Kiedy sternik wreszcie obudził się, dobrze pokrzepiony na siłach, silnik już był zdemontowany. Wzięli się energicznie do ostatniej czynności we trzech. Udało im się dźwignąć podstawę silnika i zastąpiwszy ją uprzednio odpowiednią ilością głazów, których tutaj nie brakowało, wyrzucono z gondoli.

Gromski postanowił nie tracić ani jednego dnia, gdyż zapas żywności, czyli owa „żelazna” porcja, był tak szczupły, że przy wielkiej ostrożności mógł starczyć zaledwie na tydzień. Jeżeli po upływie tego okresu nasi podróżni nie dotarli do wybrzeży oceanu, los ich byłby przypieczętowany.

Zbadano szybkość wiatru, która, według obserwacji, wynosiła około 60 km na godzinę. Jednakże ten silny prąd powietrza nie dał się odczuwać na zachodnich stokach gór, gdzie się znajdował balon. Toteż start „Polonii” odbył się gładko — uwolniona od kilku kamieni wzbiła się na paręset metrów w górę i porwana przez antycyklon, przy temperaturze dwudziestu kilku stopni niżej zera, popłynęła w zachodnim kierunku, zbaczając po kilka rumbów zaledwie ku północy. Inżynier obliczył, że, lecąc spiralami antycyklonu, na każde 60 km zbliżano się o jakieś 5 km ku oceanowi. Stąd łatwy rachunek, że na przebycie 800 km w kierunku północnym trzeba by płynąć z antycyklonem 160 godzin.

— Ażeby dostać się nad morze, musielibyśmy, jak widzicie — mówił inżynier — kilkakrotnie okrążyć Antarktydę w przeciwnym kierunku aniżeli ten, w jakim płynęliśmy w początku naszej podróży. Wprawdzie „Polonia” może przez tak długi czas unosić się w powietrzu podczas przyjaznej pogody, lecz któż nam zaręczy, że będzie ona nam towarzyszyła stale? Wszak ciągle zbliżamy się do owej rynnicy niskich ciśnień, które otaczają ląd południowy — do siedliska nieustających prawie huraganów. Wpaść w tę rynnę, zanim się dosięgnie morza, byłoby naszą zgubą. Liczę na to, że jakiś lokalny wiatr, tak jak ten niedawno, który nas wyniósł tak daleko od bieguna, przyjdzie nam z pomocą. Musimy się przeto uzbroić w cierpliwość. Odziejcie się możliwie jak najcieplej, gdyż skazani jesteśmy na długotrwałą bezczynność w nieruchomym względem nas powietrzu. Będziemy po kolei pełnili wartę na pokładzie. Trzeba bacznie uważać na to, czy w pobliżu nie ukażą się jakieś wyniosłości, i w porę wyrzucić odpowiednią ilość balastu, ażeby się nie rozbić. Dobrze, że panuje pogoda i obserwacjom takim nic nie przeszkadza. Pierwsze osiem godzin biorę na siebie. Jestem bowiem dość doświadczonego aeronautą i w razie potrzeby potrafię sobie radzić.

Tak też postąpiono, kapitan i sternik, otuleni w wełniane kołdry, odziani w kurtki skórzane i podbite futerkiem spodnie, położyli się w kajucie i niebawem zasnęli głęboko. Wicher unosił „Polonię” z szybkością kilkudziesięciu kilometrów na godzinę. Względny spokój i cisza usposabiała do snu inżyniera, który, siedząc na przedzie łódki, śledził bystrym wzrokiem horyzont i od czasu do czasu spoglądał na giroskop, ażeby się orientować, czy aerostat nie zmienia czasami kierunku.

Upłynęło atoli osiem godzin i prąd antycyklonowy płynął stale ku zachodowi, zbaczając, tak jak przedtem, bardzo słabo ku północy.

Gromskiego zastąpił kapitan, który także nie dopatrywał się żadnych zmian w warunkach podróży. Zdawać by się mogło, że balon stanowi idealny wprost środek lokomocji. Pod łódką przemykały się ku wschodowi niezmierzone pola lodowcowe, poorane licznymi szczelinami, albo też nieprzejrzone całuny niedawno spadłego śniegu. Kraina ta tchnęła pustką i śmiercią; trzeba było silnych nerwów, ażeby nie upaść na duchu wobec tej okropnej martwoty i jednoznaczności otoczenia. Kapitan rozmyślał, ile to trudów i czasu kosztowałoby go przebycie na

saniach, ciągnionych przez wypoczęte psy grenlandzkie, tych kilkudziesięciu kilometrów, jakie w ciągu godziny przesuwają się pod łódką balonu. Jego wzrok kierował się badawczo ku niebu i ku barometrowi, lecz pogoda wydawała się ustalona i na razie żadna burza nie zagrażała „Polonii”.

Jak długo jednak miał trwać taki stan rzeczy?

To było zagadką nader niepokojącą. Ford robił spostrzeżenia topograficzne, lecz okazało się, że wewnątrz Antarktydy, z wyjątkiem licznych łańcuchów górskich, które je przecinają w różnych kierunkach, jest w przeważnej części wysoka wyżyna o względnie równej powierzchni. Kolosalny pancierz lodowy lekko opadał w miarę tego, jak balon zbliżał się ku wybrzeżom. Pod samym biegunem ląd wznosił się niemal do 4000 m wysokości, tak jak Tybet w Azji, tutaj zaś pod siedemdziesiątym którymś stopniem szerokości opadał do poziomu dwóch tysięcy paruset metrów. Kiedy przysła kolej na sternika, kapitan dał mu kilka wskazówek, jak się ma zachować podczas wachty, i kazał się obudzić w razie najmniejszego niebezpieczeństwa lub zmiany atmosfery. Lecz przez całe 48 godzin podróżowano w ten sposób bez żadnego godniejszego uwagi wypadku. Przez ten czas balon zrobił bez mała 2000 km drogi w kierunku zachodnim. Kiedy kapitan po upływie doby określił znów położenie geograficzne, okazało się, że „Polonia” unosi się znowu w sąsiedztwie Ziemi Enderby naprzeciw Afryki Południowej.

— Ładną podróż odbyliśmy, kapitanie — rzekł inżynier, kiedy mu Ford powiedział, gdzie się znajduje balon. — Cała nasza nadzieja, że płynąc dalej spiralami antycyklonu, dostaniemy się ponad 75° szerokości południowej i dotrzemy do Morza Weddella, które bardzo głęboko wrzyna się w ląd południowy.

— Za 24 godziny powinniśmy się tam znaleźć — zapewnił kapitan zacierając ręce, które mu porządnie zmarzły, kiedy dokonywał spostrzeżeń astronomicznych. — Oby tylko pogoda nam dopisywała.

Nadzieja Forda spełniła się, lecz tylko w połowie. Kiedy według obliczeń „Polonia” przebyła jeszcze 1000 km w północno-zachodnim kierunku, barometr zaczął się niepokojąco obniżać, z czego wywnioskowano, że aerostat wchodzi w okolice Antarktydy nawiedzane przez częste huragany. Teraz już nie można było marzyć o tym, żeby zejść z drogi nadbiegającym orkanowi. Musiano wyczekiwać beczynnie, co los przyniesie. W kilka godzin później niebo pokryło się chmurami, zaczął padać śnieg coraz gęściejszy.

— Nadchodzi huragan — zakonkludował Ford zbadawszy stan barometru i nieba. — Zdaje mi się, że niebawem nasza podróż bajkowa zakończy się. Oby tylko nie tragicznie — dodał — ale musimy być gotowi na wszystko.

W SZPONACH BURZY

Inżynier zwrócił się do kapitana Forda o wskazówki meteorologiczne.

— Czyż jest możliwe — zagadnął — ażebyśmy w tych okolicach spotkali się z jaką burzą?

— Jest to bardzo prawdopodobne, gdyż wiatry wschodnie, obserwowane stale na wybrzeżach Antarktydy, przeważnie nie należą już do antycyklonów. Stały się one powoli wiatrami cyklonowymi, dlatego też przynoszą opady. Atmosfera w antycyklonie jest sucha i bezobłoczna, dzięki czemu mogliśmy do niedawna bez żadnej przeszkody dokonywać naszych spostrzeżeń astronomicznych. Wielki antycyklon lądu stałego opasany jest tak jakby łańcuchem stałych cyklonów. Musi on z nimi walczyć i często ulega ich przemożnej sile. Wdzierają się one daleko w głąb lądu i zdaje mi się, że właśnie znajdujemy się w pobliżu takiego cyklonu lokalnego, który nas niebawem pochwyci w swoje szpony. Czeka nas ciężka walka,

w której musimy się zachować, niestety, całkiem prawie biernie, gdyż motor nasz jest bezsilny, a raczej nie mamy go już do dyspozycji.

Niech pan jednak pamięta, że gdyby nawet najokropniejszy huragan pochwycił nas w objęcia i pędził w tych pustkowiach z szybkością 200 km na godzinę, to nie będziemy wcale odczuwali tej szalonej szybkości. Jesteśmy bowiem w takim samym położeniu, jak korek wrzucony w wir na rzece. Będzie nam się zdawało, że znajdujemy się w stanie prawie zupełnego spoczynku. Koniec końców cyklon wessie nas w siebie, będzie nami kręcił w kółko, po liniach spiralnych mających coraz mniejszy promień, aż wreszcie dostaniemy się do tak zwanego oka, gdzie panuje zupełna cisza.

W tym oku, szanowny inżynierze, dzieją się bardzo ciekawe zjawiska. Zastanawiając się nad losami jakiejś molekuly powietrza, wchodzącej w skład tego wiru, musimy sobie uprzytomnić, że dostawszy się do oka, nie może ona w nim pozostawać długo, gdyż napierają na nią inne molekuly, wchodzące w skład tego olbrzymiego leja. Powietrze w nim ulega wyrzuceniu w górę; tak też będzie i z naszym balonem. Wzniesie się on na pewną znaczną wysokość i wydobędzie się z tego szalonego walca. W ogóle dolne wiatry wschodnie na Antarktydzie w miarę tego, jak będziemy posuwali się w górę, zbaczają stopniowo poprzez południe, południowy zachód i zachód aż do kierunku północno-zachodniego. Dym z wulkanu Erebusa, który sięga do czterech tysięcy kilkuset metrów nad poziom oceanu, jest doskonałą chorągwią, widać na niej, jak dolne wiatry wschodnie w tych warstwach zbaczają stopniowo poprzez południe i zachód, aż do kierunku północno-zachodniego, ale to są dane odnoszące się do stosunków normalnych. My zaś znajdujemy się, jak przypuszczam, w pierwszych skrętach nadbrzeżnego cyklonu.

— Dziękuję ci, kapitanie, lecz doprawdy pańskie naukowe objaśnienia w niczym nie zmieniają naszej sytuacji.

Żeglarze powietrzni siedzieli w gondoli pogrążeni w głębokiej zadumie. Wiedzieli, że są biernymi aktorami tego dramatu, jaki się wokoło nich rozgrywał.

Sternik, który siedział okutany w wełniane kołdry i obserwował giroskop, zerwał się nagle ze swego miejsca i wskazał palcem na zakończony okuciem pręt na przedzie gondoli.

— Palimy się! — zawołał.

— Ogień? — pytał zaniepokojony Gromski.

— To tylko ogień św. Eliasza — uspokajał towarzyszy kapitan Ford. — Widzę coś podobnego na twojej głowie, szanowny inżynierze. Otoczona jest ona świetlaną aureolą, co cię czyni podobnym do jakiegoś świętego z obrazu.

— I twoja broda, szanowny kapitanie, sypie jakby milionami drobnych iskierek! — zawołał śmiejąc się Gromski. — O! — Sternik podniósł rękę, a na końcach jego palców zabłyśły fosforyczne ogniki. — Jest to dowód, że znajdujemy się w atmosferze przesyconej elektrycznością, gdyż tego rodzaju zjawiska, jak ogień św. Eliasza, zdarzają się tylko w takich warunkach. A mnie się wydawało, że w polarnych strefach tego rodzaju zjawiska nie zdarzają się na skutek zimna. Widzę jednak, żem się omylił.

Iskry elektryczne ukazywały się z lekkim trzaskiem na wszystkich sterczących i ostrych przedmiotach, jakie znajdowały się w gondoli. Ford zapewnił towarzyszy, że nie grozi to żadnym niebezpieczeństwem. Inna sprawa, gdyby nadmiar elektryczności atmosferycznej wyładował się w postaci piorunów, które zawsze biją podczas cyklonu w cieplejszych okolicach naszego globu. Tutaj jednak panowała głęboka cisza; gdyby nie to, że nasi żeglarze zdawali sobie sprawę, iż orkan unosi ich z niesłychaną szybkością, po spiralnej linii, to nie odczuwaliby niemal tego, że znajdują się w ruchu. Gdyby nie coraz gęściej padający śnieg nie wiedzieliby nawet, że znajdują się w łonie straszliwego orkanu. Pomiędzy balonem, unoszącym się w powietrzu, a okrętem, znajdującym się na pełnym morzu, zachodzi wielka różnica podczas burzy. Statek powietrzny nie odczuwa bowiem prawie wcale siły wiatru. Natomiast okręt wydany jest na jego łaskę i niełaskę. Dopóki „Polonia” znajdowała się wysoko ponad

ładem, nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. Mogła tak podróżować nawet po parę dni, nie narażając się na nic złego. Biada jednak, gdyby znalazła się tuż nad ziemią, wówczas bowiem dopiero odczułaby całą potęgę burzy.

— Na jakiej wysokości znajdujemy się? — zagadnął po niejakim czasie Gromski.

— Wysokościomierz wskazuje już tylko 2000 m wzniesienia nad poziom morza — odparł zaniepokojony nieco kapitan. — Jeżeli się nie mylę, to ład leży o jakieś paręset metrów zaledwie pod nami. Dlatego też musimy wyrzucić nieco balastu, ażeby szybować na pułapie przynajmniej 2500 m.

— Sterniku! — zakomenderował inżynier. — Wyrzucamy jakiś większy kamień.

— Rozkaz! — odparł James. — Chyba 50 kg wystarczy. Dobrze, że ten pocisk spada w takie pustkowia, bo inaczej mógłby zabić kogoś.

Balon podniósł się o jakieś 200 m, lecz po upływie pewnego czasu znowu zaczął niepokojąco opadać.

Gromski zamyślił się.

— Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo — rzekł po chwili. — Widocznie śnieg, nagromadzający się na powłoce naszego balonu, obciąża go coraz bardziej i spycha w dół. Zapewne na górze, na skutek straty gazu, potworzyły się zagłębienia w formie jakichś wielkich mis, które śnieg powoli wypełnia. Na razie radzimy sobie pozbywając się balastu, lecz co będzie, jeżeli ta masa śniegu przygniecie nas do ziemi? W oka mgnieniu orkan rzuci nas na lodowiec i... koniec. Śmierć nasza będzie prędką i niechybna. Jeżelibyśmy nawet nie pogruhotali kości od razu, tę zginiemy bez ratunku w tej pustyni.

— Czy nie ma na to żadnej rady? — zagadnął kapitan.

— Jest! Ale bardzo niebezpieczna to sprawa wdrapać się po linie na szczyt balonu i usunąć z niego nadmiar śniegu, który na szczęście nie jest mokry i zapewne nie przylega do powłoki.

Słuchając tych słów sternik podniósł rękę w górę.

— Ja postaram się to zrobić! — zawołał. — Wszak od dzieciństwa przywykłem wdrapywać się na maszty. Podczas wichru na morzu jest to robota nawet dosyć niebezpieczna, gdyż maszty chwieją się na skutek kołysania okrętu. Ale tutaj będzie łatwiej; zaraz się pan przekonasz, szanowny inżynierze, że choć niedawno doznałem tak przykrych przygody i potłułem się zdrowo, spadając w śnieg, to jednak nie jestem jeszcze do niczego.

— Ale przecież nie mógłbyś zgarniać śniegu rękami, choćbyś się znalazł na grzbiecie naszego statku powietrznego!

— To byłaby robota mozolna i mało skuteczna. Musicie mi dać jaką porządną miotłę albo szufłę!

Inżynier zamyślił się.

— Skąd my tu weźmiemy miotłę? — rzekł rozkładając ręce. — Żadnej szufli ani łopaty także nie posiadamy, zresztą takie ostre narzędzie metalowe mogłoby uszkodzić powłokę, wówczas gaz zacząłby się ulatniać i położenie nasze jeszcze by się pogorszyło.

— A mnie się zdaje, że skoczywszy po rozum do głowy, zmajstrujemy wcale niezłą miotłę.

— A to jak, z czego?

— Z jakiegoś grubszego pręta bambusowego! — zawołał sternik. — Przecież to jest włóknista trzcina, dajcie mi tylko ostrego noża, to wam zaraz pokażę, że nie święci garnki lepią.

Uczyniono zadość jego życzeniu i sternik zabrał się do pracy. Uciął kilka kawałków długich na 50 cm i zaczął mozolnie rozszczepiać je wzdłuż na coraz to cieńsze patyczki. W końcu, po paru godzinach tej czynności, znalazł się w posiadaniu dużego pęka włókien, tak cienkich jak podwójny włos koński. Cały taki pęk związał mocno drutem w jednym końcu i pokazał z triumfem inżynierowi ten drewniany pędzel, mierzący u podstawy 50 cm średnicy.

Skrepowany drutem jego koniec wcisnął w rurę bambusową, przybił mocno kilkoma gwoździami, tak ażeby nie wypadł z tej oprawy, i miotła była gotowa.

— Dzielnie się spisałeś, Jamesie! Przyznaję ci, że masz łeb na karku — pochwalił kapitan. — Przywiążemy ci do ramienia tę twoją miotłę, żeby ci nie przeszkadzała przy wspinaniu się w górę, no i jazda.

Sternik nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Rozgrzawszy nieco ręce sposobem, którego używają dorożkarze na mrozie, chwycił pewną dłonią za jedną z linek podtrzymujących gondolę i nie upłynęła minuta, a znalazł się na grzbiecie aerostatu, zniknąwszy z oczu towarzyszom.

— Aj, aj! — zawołał stamtąd. — Mnóstwo śniegu leży tutaj. Jeszcze godzina albo dwie, a przytłoczyłby nas ten ciężar do ziemi, choćbyśmy wyrzucili cały nasz balast.

Usłyszano szum poruszanej miotły i z grzbietu „Polonii” posypały się chmury śniegu, zgarnianego energicznie w dół.

Natychmiast uwidocznił się skutek tej czynności. W przeciągu godziny, podczas której sternik zmiatał gorliwie śnieg z grzbietu balonu, wzniesiono się na jakieś 500 m w górę. Niebezpieczeństwo zetknięcia się z ziemią na razie minęło. Ale śnieg padał coraz gęstszy, toteż sternik nie wrócił do gondoli prędzej niż po godzinie, zziębnięty i spocony.

— Uf, napracowałem się jak jaki zamiatacz śniegu na ulicy chicagowskiej! Teraz już, kapitanie, możesz być spokojny. „Polonia” nie spadnie na ziemię. Skoro tylko barometr podniesie się, wgramolę się na nowo na nasz balon i oczyszczę go dokumentnie.

Okazało się, że sternik co parę godzin musiał powtarzać swoją akrobatyczną wyprawę na grzbiet aerostatu. W przeciągu 24 najbliższych godzin trzeba było nie mniej jak sześć razy oczyszczać cielsko sterowca ze śnieżnej powłoki. Inaczej „Polonia” dawno by już leżała poszarpana w strzępy gdzieś na lodowcu rozciągającym się w nieskończoność pod stopami podróżników. Na takiej walce z żywiołami upłynęła cała doba. Ze stanu barometru kapitan wywnioskował, że „Polonia” znalazła się już w samym oku cyklonu, gdzie ciśnienie było najniższe i temperatura podniosła się do 10° ponad zero. Inne jeszcze zjawiska utwierdziły w tym mniemaniu zacnego marynarza. Oto balon zaczął bez wyrzucania balastu wznosić się szybko w górę. Ze zdziwieniem spostrzeżono błękitne niebo ponad głowami i niebawem „Polonia” znalazła się w olśniewających promieniach nisko stojącego słońca.

— Cyklon wyrzucił nas ze swej gardzieli! — zawołał Gromski. — Uniknęliśmy na razie niebezpieczeństwa. Ale co czynić dalej?

Złożono znowu walną naradę.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak wnieść się możliwie najwyżej — mówił kapitan. — Niech cyklon wędruje dalej, my zaś, na poziomie 4500 m, dostaniemy się znowu do wiatru górnego, który nas będzie pchał w przeciwnym kierunku aniżeli wiatr dolny — dzięki któremu wydostaliśmy się z wnętrza Antarktydy.

Narady te przerwał głośny okrzyk sternika.

— Ocean, ocean pod nami! — wołał radośnie zacny marynarz wskazując ręką ku północy.

— Co ty gadasz, Jamesie?!

— Ależ nie myślę się. Poprzez obłoki mignęła mi przed chwilą wyraźnie powierzchnia morza usiana błyszczącymi jak srebro krami. Wydostaliśmy się nareszcie z tej przeklętej pustyni, w której, nie wiadomo dlaczego, usadowił się ten biegun południowy. Przyświeca nam nadzieja ocalenia. Teraz do pana, szanowny inżynierze, należy sprowadzić szczęśliwie naszą „Polonię” na dół i uniknąć katastrofy przy lądowaniu. Ufam, że pan potrafi dokonać tej sztuki.

Na razie Gromski i kapitan zapatrywali się sceptycznie na spostrzeżenia sternika. Niebawem jednak obłoki rozstały się znowu i okazało się, że James się nie pomylił. Pod balonem, na głębokości paru tysięcy metrów widniała lazurovoszmaragdowa misa, której

brzezi znajdowały się na poziomie wzroku żeglarzy. Obserwując morze Gromski obliczył, że balon unosi się z szybkością kilkudziesięciu kilometrów na godzinę w kierunku wschodnim. Dzięki tej okoliczności, że słońce było dokładnie widzialne na firmamencie, uczyniono pomiary astronomiczne, których rezultat niemało zdziwił żeglarzy powietrznych.

— Znajdujemy się mniej więcej w tym samym punkcie, do którego dotarliśmy w początkach naszej podróży i do którego dotarł Ross w 1843 roku. Pod nami rozciąga się bariera lodowa, dająca początek pływającym górom lodowym, a na zachód od nas rozpościera się Morze Weddella, na którym zarzuciliśmy w swoim czasie kotwicę wodną. Teraz idzie tylko o to, ażeby nie utonąć w morzu, lecz wylądować na wybrzeżu.

— Jeżeli nam się to uda, to będziemy jakby na pół ocaleni — rzekł Ford. — Na wybrzeżach nie umrzemy z głodu, gdyż panuje tutaj bujne życie. Niedługo zakosztujemy jajecznicę z jaj bezłotków, czyli pingwinów, i smacznych befsztyków z białej fokii.

Widzimy więc, że nasi podróżni, ujrawszy ocean, byli pełni nadziei i spoglądali pytająco w twarz inżynierowi, który zamyślił się głęboko.

— Jak pan sądzi, czy zdołamy szczęśliwie wylądować? — zagadnął Ford.

— Będzie to zależało od szybkości wiatru i od ukształtowania terenu — odparł Gromski. — Musimy zaryzykować, gdyż nie mamy przed sobą innego wyjścia. A zatem nie traćmy czasu!

Z tymi słowy inżynier pociągnął za klapę i wypuszczał drogocenny hel z wnętrza balonu, który też szybko zaczął opadać. Po dwudziestu minutach szybował on o 200 m zaledwie ponad lodowcem spływającym z wnętrza ładu ku Morzu Weddella. Inżynier wypatrywał punktu, w którym wybrzeże byłoby wyraźnie zarysowane, śledził bacznie wzrokiem powierzchnię lodowca i po pewnym czasie znalazł to, czego pragnął. Olbrzymi lodowiec cofał się ku południowi i zniżał się; spod śniegu sterczały tu i ówdzie ciemne skały, dowód niezaprzeczony, że sterowiec unosił się nad ładem. Wybrzeża morskie leżały o kilka kilometrów dalej ku północy. Gromskiemu zależało niezmiernie na tym, ażeby osiąść jak najbliżej linii brzegu, gdyż wiedział z doświadczenia, jak uciążliwa jest podróż po lodowcu poprzerywanym licznymi rozpadlinami. Od czasu do czasu wypuszczał trochę gazu i kazał sternikowi wyrzucić kotwicę. Niestety, dość silny wiatr pędził „Polonię” wzdłuż wybrzeża morskiego. Na szczęście lodowiec w tym miejscu był niemal zupełnie równy, toteż niebawem „Polonia”, zniżwszy się do kilkudziesięciu metrów nad poziom ziemi, zaczęła bruździć lodowiec zębem kotwicznym. Łódka doznawała konwulsyjnych wstrząsów, tak iż zdawało się, że lada chwila lina kotwiczna urwie się i lądowanie nie dojdzie do skutku. Inżynier trzymał szeroko otwartą klapę, z której ulatniał się z szumem kosztowny gaz, lecz teraz nie zwracano na to żadnej uwagi. Trzeba było za wszelką cenę lądować. Aerostat tracił coraz bardziej swoje kształty wrzecionowate, uderzenia wiatru wytwarzały w jego cielsku coraz to większe wgłębienia. Wreszcie, po kilkunastu minutach, kotwica mocno zahaczyła o jakąś szparę w lodowcu. „Polonia”, konając jakby, opadała, aż dotknęła powierzchni lodowca. Jeszcze chwila, a szlachetny gaz uleciał z niej bezpowrotnie i piękny błyszczący sterowiec legł na śniegu martwy i bezwładny.

— Podróż nasza skończyła się! — zawołał Gromski. — Towarzysze, starajcie się bez szwanku wydostać na ład.

Było to zadanie dosyć trudne, gdyż balon, szarpany wichrem, rzucał się gwałtownie, dopiero kiedy resztki gazu wydostały się z powłoki, gondola dotknęła ziemi.

Pierwszy wyskoczył z niej sternik i pomógł kapitanowi. Po chwili wszyscy trzej żeglarze powietrzni stanęli na powierzchni lodowca pokrytego warstwą świeżo spadłego śniegu i radośnie rzucili się sobie w objęcia.

— Na razie ocaliliśmy! — zawołał kapitan. — A co będzie później, zobaczymy!

CIEKAWY LUDEK ANTARKTYDY

Gromski stał długo nad balonem spoglądając melancholijnym wzrokiem na jego pofałdowane cielsko, z którego uleciał duch — hel. Miał łzy w oczach. Trudno mu było rozstawać się ze swoim wielkim dziełem, które miało zadziwiać świat, a teraz zamieniło się w stos materii zdatnej co najwyżej na namiot albo przykrycie dla chaty. „Polonia” dokonała więcej, niż się po niej spodziewał. Obniosła go dookoła tego olbrzymiego ładu, który słusznie można nazwać szóstą częścią świata, wreszcie zaniósła go o własnych siłach do samego bieguna; znaczyło to, że nasi podróżni dokonali tego, co sobie pierwotnie zamierzili, oddając wielkie usługi nauce. Teraz chodziło tylko o to, ażeby wydostać się z bezmiernych pustkowi antarktycznych, gdyż inaczej świat nie odniósłby żadnych korzyści, jeżeliby zdobycze naukowe zagięły wraz z tymi, którzy je osiągnęli z takim trudem.

Jednakże po trzeźwym zastanowieniu się, nasi podróżni musieli wpaść w nastrój pesymistyczny. Bo jakżeż? Zostali rzućeni na lodowiec nadbrzeżny, ściekający do głęboko wrzynającego się w łąd Morza Weddella; pod stopami mieli tylko warstwę lodu, grubą może na kilkaset metrów. Całe jeszcze ich szczęście, że kaprys cyklonu wyrzucił ich nie w środku szóstej części świata, lecz nad samym oceanem, gdzie, jak wiedział kapitan, pulsuje dość bujne życie organiczne. Inaczej nasi podróżni byliby skazani na niechybną śmierć głodową, gdyż zapasy, jakie ocalały z pogromu, okazały się niezmiernie szczupłe.

Sternik zrobił mały inwentarz, który przedstawiał się następująco: 15 kg sucharów, mały worek mąki i kilkanaście kilo pekeflejszu, czyli solonego mięsa. Poza tym w podręcznej spiżarni znaleziono cokolwiek kawy, czekolady, parę litrów rumu i odrobinę owoców suszonych — to wszystko.

Poza tym byli jeszcze w posiadaniu fuzji myśliwskiej z setką naboju, jednego rewolweru, kilku noży i narzędzi, niezbędnych dla mechanika, a więc śrubokrętów, młotków, siekiery i innych drobnych przedmiotów, na przykład gwoździ i tym podobnych. Była jeszcze kotwica, piecyk do ogrzewania gazu w balonie i kilka blaszanek benzyny, która miała bronić rozbitków powietrznych od zamarznięcia. Na tym kończył się spis ruchomego mienia załogi sterowca. Ponadto istniał sam balon, a więc wielki dostatek mocnego jedwabiu, pokrytego doskonałym lakierem, nieprzepuszczającym gazu, a więc i wody. Do majątku ruchomego doliczyć należało także samą gondolę, co prawda mocno poharataną przez sternika, lecz zdolną dostarczyć kilkudziesięciu prętów bambusowych rozmaitej grubości.

Sternik bardzo sobie cenił ten materiał, gdyż już w jego głowie powstały plany zbudowania chaty z kawałków lodu na modłę Eskimosów, wewnątrz jej miało być obite właśnie powłoką balonową dla ochrony od wilgoci. Z prętów bambusowych James zamierzał zrobić doskonałe saneczki, które by ułatwiły przenoszenie tego skromnego dobytku z miejsca na miejsce. Tak więc nasi rozbitkowie mieli niezmiernie szczupłe zasoby, które w żaden żywy sposób nie mogły im zapewnić bytu nawet na jeden miesiąc. Na szczęście leżało przed nimi wybrzeże, wprawdzie okryte pancerzem lodowym, lecz, jak się spodziewano, miejscami lodowiec musiał się cofać i odsłaniać pewne jego części.

James, znudzony dotychczasową bezczynnością, zabrał się niezwłocznie do budowy saneczek i po upływie kilkunastu godzin były one gotowe. Załadowano na nie cały dobytek i puszczono się w kierunku morza, odległego o parę kilometrów od miejsca wylądowania.

— Jaka szkoda, żeśmy musieli pozbyć się naszego aparatu — wyrzekł kapitan. — Gdybyśmy mieli go w tej chwili do dyspozycji, to postaralibyśmy się skomunikować z naszym okrętem.

— Zapewne płynie on teraz wydłuż tej olbrzymiej bariery lodowej, oczekując od nas sygnału S.O.S. Nie doczeka się go jednak, chociaż, do licha ciężkiego, diabeł lodowy nas nie połknie. Ale gdyby nawet za pomocą naszego aparatu dowiedziano się, gdzie się obecnie

znajdujemy, to bardzo wątpię, czy starczyłoby lata całego na przedarcie się wśród lodów aż do tego punktu. W każdym razie skazani jesteśmy na spędzenie półrocznej okropnej nocy w tej pustyni. Tylko wielkie pytanie, czy nas licho tu nie zamrozi na śmierć albo czy nie zdechniemy z głodu — utyskiwał sternik ciągnąc saneczki. — Cała nadzieja w tych pocziwych fokach, których nie powinno tu braknąć, sztuka cała w tym, żeby się dostać do wody.

— Przezimować tutaj to byłoby okropne! — rzekł kapitan spoglądając w śnieżną dal. — Miejmy jednak nadzieję, że jakiś inny statek wydostanie nas z tej pułapki. Możemy jedynie liczyć na wielorybników, którzy snują się dość licznie w tych okolicach oceanu. Od kiedy wyprawy naukowe doniosły o obfитоści wielorybów w tych morzach, tępią oni bez miłosierdzia te największe na świecie zwierzęta ssące i bogacą się ich tranem.

Na Dalekiej Północy wieloryb już obecnie należy do zwierząt rzadkich. Oburza mnie ta bezmyślna, dyktowana chciwością gospodarka! Jeżeli rządy państw roszczących sobie prawo do władzy nad Antarktydą, w pierwszym rządzie Ameryka, nie pohamują tej rzezi niewiniątek, to wieloryby podziela los bawołów, które przed kilkudziesięciu laty hasały całymi stadami po preriach Stanów Zjednoczonych, a dziś ich szczątki w ilości kilkuset sztuk, jako na wpół oswojone, trzymane są w parkach narodowych. Tak, przedsiębiorca w żądzy zysku nie liczy się z niczym. Trwoni lekkomyślnie nieocenione dary przyrody, nie pomnąc, jaką szkodę przynosi.

Tak gawędząc posuwali się po nierównej powierzchni lodowca w kierunku oceanu. Po kilku godzinach dość uciążliwej wędrówki znaleźli się na krawędzi tego olbrzymiego muru, który tworzył lodowiec dosięgający wód oceanu. Mur ten obrywał się całkiem pionowo, sterząc jakies 40-50 m ponad poziomem morza. Prawdopodobnie sześć razy głębiej zanurzał się on w fale morskie. Kapitan Ford wiedział z opisów podróży antarktycznych, że kapitan Ross płynął w okolicach Antarktydy paręset kilometrów wzdłuż tej bariery lodowej, zasłaniającej mu widok na wnętrze lądu i strzegącej dostępu do tegoż. Nasz żeglarz w duchu rozmyślał nad tym, że ten mur lodowy mógł i tutaj ciągnąć się na dziesiątki, a może i na setki mil ku zachodowi i wschodowi. Gdyby tak było w istocie, zguba rozbitków powietrznych byłaby przez los nieodwołalnie postanowiona, gdyż chyba z wielkim ryzykiem zdołano by się dostać do wody przez jakąś głębszą szczelinę, ale i ta przyjazna okoliczność nie zmieniałaby rozpaczliwej sytuacji na lepsze. Z niepokojem śledzono zatem krawędź lodowca i wsłuchiowano się w grzmot fal bijących w śnieżną pierś tej bariery i wydrążających w niej głęboką bruzdę. Upływały godziny, a mur ten nie obniżał się. Dopiero po przebyciu kilkunastu kilometrów sternik spostrzegł z radością, że w pewnym punkcie lodowiec, cofając się widocznie ku południowi, odsłonił wąski rąbek usianego skałami i drobnymi kamieniami wybrzeża. Dochodziło z tej strony wiele tajemniczych głosów, w których ucho kapitana Forda rozpoznało ryk słońi morskich i wrzaski liczego stada pingwinów, widocznie zajętych wysiadywaniem jajek niedawno złożonych. Głębokie westchnienie ulgi wyrwało się z piersi Gromskiego i jego towarzyszy.

— Nareszcie! — zawołał sternik. — A ja już myślałem, że ta przekłeta bariera będzie się ciągnęła tak daleko, że nigdy nie dosięgniemy wolnego od niej kawałka lądu.

— Spostrzeżenia podróżników — mówił Ford — badających te okolice globu wykazały, że olbrzymi lodowiec, pokrywający Antarktydę, cofa się powoli. Od czasów podróży Rossa cofnięcie to oceniają na kilkadziesiąt kilometrów ku południowi. Poza tym przekonano się, że bariera, której wysokość kapitan Ross oceniał na mniej więcej 60 m wysokości, zniżyła się do jakichś 40 m. A więc niemiłosierne zimno tej części świata, gdzie, jak widzimy, nawet w środku lata nie topnieją śniegi ani lody, a temperatura spada do 40° poniżej zera, stopniowo zmniejsza się. Teraz tylko trzeba znaleźć dostęp do tej plaży, którą dostrześliśmy.

Zadanie to okazało się trudniejsze, aniżeli z początku myślano. Dopiero przebywszy jeszcze z półtora kilometra wzdłuż bariery, zauważono, że lodowiec opada w dół. Przekonano się niejednokrotnie, że wybrzeża, ciągnące się po linii równoleżnikowej, toną całkowicie pod

pancerzem lodowców, wybrzeża zaś południkowe, to znaczy skierowane wzdłuż południka, są albo zupełnie wolne od lodu, albo też zajmuje on tam tylko większe wgłębienia i doliny. Tak też działo się w okolicy, do której dotarli nasi wędrowcy po wyczerpującej podróży wzdłuż bariery. Przez dosyć stromą pochyłość dotarto wreszcie po niezmiernych wysiłkach na plażę skalistą i od razu znaleziono się w całkiem odmiennym świecie.

Przylądek miał może ze dwie mile morskie długości i tyleż szerokości. Usiany był drobnymi kamieniami i odłamkami skał, prawdopodobnie przyniesionymi tutaj przez lodowiec z wnętrza łądu. Było tu niezmiernie gwaro, gdyż plażę całą zajęły nieprzeliczone tłumy pingwinów, które siedziały na gniazdach. Na krach przylepionych do przylądka dojrzano liczne ciemne punkciki, w których Ford, obdarzony niezwykle bystrym wzrokiem, rozpoznał foki różnych odmian, a nawet słońie morskie, największe poza wielorybami ssaki Antarktydy, niestety już dosyć rzadkie.

— No, chwała Bogu, nie jesteśmy już w tej martwej pustyni, na której wspomnienie dreszcze zgrozy przenikają człowieka! — zawołał sternik osadzając z trudem saneczki, które niemal na rękach musiano znosić po rynnie utworzonej tutaj dzięki przyjaznemu ukształtowaniu wybrzeża. — Nie potrzebujemy lękać się już głodu, możemy obżerać się jajecznicą, której nam dostarczą doskonałe jaja pingwinów. A i mięso foki zupełnie przypomina cielęcinę, jak wiem z własnego doświadczenia. Mamy już czym na szczęście zasilić naszą kuchenkę.

Zachowanie się pingwinów, nie zdradzających najmniejszego lęku na widok nie znanych sobie istot, naprowadziło naszych podróżników na przypuszczenie, że są pierwszymi ludźmi, których oglądają tu mieszkańcy tych okolic Antarktydy.

Kapitan i Gromski posuwali się wolnym krokiem, obserwując ptaki tłumnie zalegające przylądek. Mierzyły one mniej więcej 60 cm wysokości, miały kruczoczarny grzbiet, piersi i brzuch zaś śnieżnobiałe i połyskujące, co im nadawało wygląd wyfraczonych elegantów. Stapały dość niezgrabnie na swych krótkich, pulchnych nogach, podobnych do grubego obuwia czy kaloszy. Zamiast skrzydeł miały długie płetwy, które im oddawały doskonałe usługi podczas nurkowania w poszukiwaniu pożywienia, lecz nie pozwalały unosić się w powietrze. Trafnie tedy nazwano pingwiny bezlotkami. Co dziwniejsze jednak, ptaki okazały wielkie zainteresowanie na widok zbliżających się ludzi. Kilkanaście z nich opuściło swe gniazda, ułożone kolisto z kamieni, i podchodziły śmiało do nie oglądanych nigdy w życiu istot, przypatrywały się im z żywą ciekawością, obchodziły dookoła, prowadząc między sobą ożywioną rozmowę w pingwińskim języku. Niektóre posunęły się tak daleko, że bez śladu obawy dotykały dziobami odzieży podróżników, skubały ją, jakby pragnąc zbadać, z jakiego materiału jest sporządzona, po czym, zaspokoiwszy swą ciekawość, dzieliły się wzajemnie dokonanymi spostrzeżeniami. Takie badanie trwało dobry kwadrans, coraz to nowe zastępy pingwinów podchodziły do stojących nieruchomo żeglarzy i nasyciwszy się ich wyglądem, ustępowały miejsca nowym zastępom ciekawskich. Sternik aż ryczał ze śmiechu przyglądając się tej komicznej scenie.

— Jestem przekonany, że te pingwiny, według swojego mniemania, zrobiły bardzo ważne odkrycie. Poznały bowiem jakiś nowy gatunek pingwinów, tylko daleko od siebie wyższych i mających zamiast piór jakąś wełnę na sobie. Nie wiem, czy doszły do przekonania, że nasze kurtki są gorsze od ich piór. Ot, patrzcie, panowie, jak teraz zaczynają plotkować o tym nadzwyczajnym zdarzeniu. Chodzą od gniazda do gniazda i zapewne opowiadają sobie, że duże pingwiny złożyły im wizytę w tym miasteczku, które, jak mi się zdaje, liczy kilka tysięcy mieszkańców. Pytanie teraz, czy i te foki, które wylegują się na krach przylegających do przylądka, także nigdy nie oglądały człowieka. Zaraz się o tym przekonamy.

Z tymi słowy sternik wskoczył na lód i zaczął zbliżać się do dużej, białej foki, oddającej się słodkiej drzemce w promieniach nisko stojącego słońca. Na widok nie znanej sobie postaci foka otworzyła okrągłe oczy i wlepiła je w twarz sternika, nie zdradzając jednak najmniejszej obawy. Ośmielony tym przyjęciem, James skoczył na grzbiet zwierzęcia, które

zdziwione tym postępkim, zaczęło powoli pełznąć w kierunku dziury w lodzie i niewiele brakowało, żeby porwało ze sobą w jej głąb niefortunnego jeźdźca. W ostatnim momencie sternik zdołał jednak zeskoczyć ze swego oryginalnego rumaka, który dał susa w otwór i zniknął w wodzie.

Sternik, dobrze znający obyczaje fok arktycznych, zapewniał inżyniera, że te otwory są przez nie porobione umyślnie. Udające się na połów ryb foki wracają od czasu do czasu do swojej przerębli, ażeby zaczerpnąć powietrza albo też wydostać się z powrotem na krę niedawno opuszczoną. Eskimosi, znalazłszy taki otwór w lodzie, cierpliwie czatują przy nim z oszczepem, a gdy foka wynurzy się z wody, zabijają ją silnym ciosem i wyciągają na wierzch. James doszedł jednak do przekonania, że na foki południowe nie potrzeba nawet czatować u przerębli, można je z największą łatwością upolować wystrzałem z fuzji, a jeszcze lepiej jakąś dzidą czy lancą sporządzoną z tyki bambusowej i ostrego noża. Nasi podróżni mogli więc być spokojni o swoją najbliższą przyszłość. Mieli bowiem zwierzyny nieprzebraną ilość, a nawet mogliby porobić zapasy mrożonego mięsa, zdolne zapewnić im egzystencję przez całą półroczną zimę. Ford zapewniał, że i bezlotki dostarczą doskonałego pieczystego, zwłaszcza że ich mięśnie piersiowe są nadzwyczaj rozwinięte i dają mięso na smakowite befsztyki.

Ponieważ należało oszczędzać ładunków do fuzji, przeto sternik zabrał się niezwłocznie do przygotowań. Osadził wyostrzony nóż na tyczce bambusowej, wchodząc w posiadanie doskonałej broni na foki i słonie morskie.

— Jestem porządnie wygłodzony! — zawołał. — Pekeflejsz i konserwy z puszek nic tu nie pomogą. Tylko świeże mięso może nas ochronić przed groźbą szkorbutu. Więc choć to będzie bardzo z naszej strony nieładnie, że w tym świecie zwierzęcym, który nas darzy takim zaufaniem, popełnimy spustoszenia, ale z konieczności będziemy musieli zdobyć pożywienie tą drogą. Tylko nie strzelać, bo to by mogło szerzyć popłoch między fokami i pingwinami.

Z tymi słowy James wlaź na krę przymarznątą do ładu, na której widniało kilkanaście czarnych punkcików, i oddalił się od towarzyszy. Owe czarne punkciki z bliska dały się rozpoznać jako rozmaitych odmian foki, które wylegiwały się na słońcu. Przyglądały się one z całkowitą obojętnością zbliżającemu się człowiekowi, nie przeczuwając w nim wroga. James zbliżył się i pchnął jedną z fok lancą. Rażona w samo serce foka po kilku chwilach opadła nieżywa, a James wyjął z kieszeni drugi nóż i zabrał się do ściągnięcia skóry ze swej zdobyczy. Uczuł on w tej chwili silne wyrzuty sumienia. Czyż nie nadużył zaufania, z jakim odnosiło się do niego biedne zwierzę? Wszak nawet nie próbowało się bronić albo uciekać, uważało go za przyjaciela albo za jakąś obojętną zgołą i nie żywiącą żadnych względem niego złych zamiarów, całkiem nie znaną istotę. Widocznie w tym świecie rzadko pojawiali się łowcy fok, bo inaczej zwierzęta nie okazywałyby takiego braku wszelkiego lęku wobec człowieka. Miało to i dobrą stronę, bo łowy będą mogły odbywać się bez żadnych przeszkód i trudów. Dopóki mieszkańcy Przylądka Pingwinów, jak nazwał sternik ten język gołej ziemi wrzynający się w morze, nie zapoznają się z niebezpieczeństwem grożącym im ze strony na pozór niewinnych istot dwunożnych, dopóty zdobycie smacznego mięsa będzie sprawą niezmiernie łatwą.

Sternik w tej swojej czynności obciągania skóry z foki doznał niespodziewanej szkody. Petrela, duży ptak, usiadłszy o parę kroków odeń, chciwie przyglądała się skrwawionej masie mięsa. Kiedy James otworzywszy brzuch zdobyczy zaczął wyrzucać precz wnętrzności, ptak chwycił je żarłocznie i połykał, potem rzucił się na obnażoną ze skóry fokę i, nic sobie nie robiąc z obecności człowieka, zaczął szarpać dziobem i połykać duże kawałki mięsa. Po chwili zjawiła się druga petrela, potem trzecia i zabrały się do uczyty, nic sobie nie robiąc ze sternika obrzucającego je stekiem wymysłów prawdziwie marynarskich.

— Czy to ja dla was szykuję obiad? Precz, złodzieje, rabusie bezczelne, obżartuchy!

Robiąc młynka swoją dzidą, odpędzał natrętne ptaki, lecz nie mógł sobie z nimi dać rady. Jeden z nich, uderzony kijem, rzucił się na niego, jak gdyby w zamiarze wyłupienia mu oczu. Sternik musiał bronić się lewą ręką przed zuchwalcem. Udało mu się w końcu trzasnąć

porządnie petrelę po grzbiecie, lecz miał niemało kłopotu, żeby odpędzić pozostałe ptaki. Głód, żarłoczność nieposkromiona kazała tym natrętom pozostać w pobliżu zabitego zwierzęcia, korzystały one z każdej chwili nieuwagi Jamesa, żeby mu wprost spod ręki pochwycić jaki tłusty kasek. Niebawem parę z nich tak się obzarło, że już nie mogło wznieść się w powietrze. Sternik gonił je po lodzie, starając się dosięgnąć swoją lancą, wtedy petrele wyrzucały z gardła nadmiar pochłoniętego pożywienia i wlatywały, lecz zamiast oddalić się, krążyły nad głową człowieka, wydając chrapliwe i nieprzyjemne krzyki.

Sternik doszedł wreszcie do przekonania, że chcąc nie chcąc musi podzielić się swoją zdobyczą z olbrzymimi petrelami, jeżeli nie ma toczyć z nimi ustawicznej walki. Odłożył więc na bok skórę, wyrzucił kilkanaście kilogramów co najlepszego mięsiwa, włożył je sobie na barki i wolnym krokiem wracał do towarzyszy, którzy z dala przyglądali się tej scenie. Kiedy tylko sternik oddalił się nieco, kilkanaście petreli, które wlatywały się jedna po drugiej na ucztę, obsiadło gęstą masą mięso focze, szarpiąc je żarłocznie.

Kapitan i Gromski powitali powrót swego nadwornego kucharza okrzykami radości.

— Co za wspaniała pieczeń! — zawołał Ford zdejmując polec mięsa z pleców Jamesa. — Teraz tylko sęk w tym, żeby ją przyrządzić jak najsmaczniej. Musimy tu sobie rozłożyć tymczasowe obozowisko, choć przyznam się, że atmosfera tutaj nie jest odpowiednia do gotowania obiadu. Te pocziwe bezlotki, choć same nie wydają przykrej woni, to jednak ich miasteczko, niestety, nie jest utrzymywane w należytej czystości. Z tego powodu nie będziemy tu chyba mogli dłużej zamieszkiwać. Trzeba będzie zbudować sobie jakieś schronisko gdzieś wyżej, na lodowcu, żeby mieć czyste powietrze do oddychania. Przyładek będzie naszą spiżarnią, lecz nie miejscem stałego pobytu.

Gromski musiał przyznać zupełną słuszność kapitanowi, gdyż rzeczywiście wyziewy tych niezliczonych gniazd przyprawiły o mdłości. Na razie jednak nie można było wracać na lodowiec po stromej szparze, którądy się tutaj dostano z góry. Gromski miał nadzieję, że koniec końców odszuka jakiś dogodniejszy punkt. Wzięto się zatem do rozpalenia ognia i zabezpieczenia tak ponętnie wyglądającej zdobyczy. Kiedy po jakimś czasie smażone na benzynowej kuchni befsztyki zapachniały, zabrano się z apetytem do obiadu. Był on co prawda bardzo skromny, składał się bowiem z jednego dania, ale wszyscy przyznali zgodnie, że mięso foki, zwłaszcza młodej, nie ustępuje bynajmniej w smaku doskonałej cielęciny. Tylko odór tranu, w którym musiano smażyć befsztyki, nie podobał się inżynierowi. Doszedł on jednak do przekonania, że ten smak tranowy będzie nieodłączny od każdego rodzaju mięsiwa, jakie da się zdobyć w tych okolicach Antarktydy.

James, który był swojego rodzaju smakoszem, udał się do pobliskiego gniazda pingwinów i nie bacząc na głośne protesty samicy, wydostał spod niej ciepłe jaja, podniósł je pod słońce, ażeby się upewnić, że zarodek nie jest jeszcze w nich rozwinięty, przyniósł do obozowiska i zrobił na próbę sporą porcję jajecznicy, która okazała się, po dodaniu pieprzu i soli, doskonałą.

— Musimy się pośpieszyć i zrobić zapas świeżych jajek na zimę, bo jeżeli będziemy marudzili — mówił sternik — to niebawem wylęgną się z nich pisklęta i jajecznicę diabli wezmą.

I zaczął zaraz wprowadzać w czyn swoje zamiary. Zapuścił się w głąb miasteczka bezlotków, które przyjęły go z wielką wrzawą.

Po chwili został on znowu otoczony gęstym tłumem tych ptaków, które przypatrywały mu się, wydając krótkie okrzyki zdziwienia. Zirytowany ich natręctwem sternik, zaczął przedrżniać ich głosy, co wywołało niespodziewany, ale bardzo niepożądany skutek. Całe gromady ptaków, krzątających się około gniazd, nadbiegały ku sternikowi kiwając się i zataczając w wielkim pośpiechu, nieraz padały i przewracały koźły, wreszcie, zziąbane pośpiesznym biegiem, otoczyły zwartym pierścieniem dziwnego gościa, kiwały ze zdumieniem głowami, coś sobie komunikowały wzajemnie, kłóciły się między sobą, biły skrzydłami, niezdolnymi

do lotu, jakby pięściami, częstowały uderzeniami dziobów, słowem, powstało nieopisane zbiegowisko, tak iż sternik znalazł się w prawdziwym kłopotcie, jak się wydostać z tego tłumu. Zamierzył się kijem na najbliższego samca, który starał się zbadać jakość materiału jego kurtki za pomocą swego dużego dzioba, lecz spostrzegł, że pingwin bynajmniej nie jest takim tchórzem — groźnie nastroszył pióra na karku, wyciągając przed siebie dziób, rozkrzyżował skrzydła jakby dwie ręce i z gardzieli jego wybiegały głucho chrząkania. Widocznie zaczepka ta wywołała w nim wielkie oburzenie. Był gotów stanąć do walki, niewiele brakowało, żeby rzucił się na wroga, lecz sternik roztropnie wycofał się z tej walki, która okryłaby go śmiesznością w oczach towarzyszy. Pozwolił filozoficznie skubać się pingwinom, które zaspokoiwszy swą ciekawość oddalały się, ustępując miejsca nowym przybyszom, pragnącym także obejrzeć gruntownie nie znaną sobie istotę.

James czuł się jak jakiś Guliwer między liliputami. Niemało kosztowało go trudu, zanim zgromadził kilkanaście świeżych jajek, które ułożył w swej wielkiej kraciastej chustce do nosa. Pingwiny protestowały przeciwko temu rabunkowi, nieraz bardzo energicznie: poszkodowane rodziny robiły wielki lament, goniły złodzieja, okładały go swoimi szczątkowymi skrzydłami po nogach, tak iż nieraz musiał ratować się szybką ucieczką przed ścigającymi go śmiało pingwinami.

Podobne kradzieże popełniały także i same pingwiny. Ich gniazda składały się z ułożonych w krąg kamieni. W środku tego murku samica znosiła i wysiadywała jaja, na przemiany z samcem. Widocznie dał się odczuwać brak materiału na gniazda, gdyż od czasu do czasu, korzystając z nieuwagi właściciela, jakiś sąsiad po cichutku chwycił potrzebny mu kamień i uciekał ze zdobyczą. Wówczas wszczynał się tumult nie do opisanego, wszystkie pobliskie rodziny podnosiły lament, goniono złodzieja, ażeby mu odebrać ukradziony kamień, nie żałując przy tym pojmanemu przestępcy uderzeń skrzydłami i dziobami.

— Widzi pan, kapitanie, co mnie kosztowało zdobycie tej jajecznicy — powiedział sternik wróciwszy do towarzyszy z zapasem jaj. — Nieprędko odważę się na nową wyprawę, chyba że mnie kto będzie bronił porządnym kijem.

— Jak dobrze pójdzie, to pingwiny niebawem przekonają się, co z nas za gagatki — odparł śmiejąc się Gromski. — Trudno będzie się między nimi pokazać, a jeszcze, jeżeli będziemy z tych ptaków robili sobie befsztyki, to można sobie wyobrazić, jak nas potraktują niebawem. Cóż jednak począć, każdy musi żyć. Pamiętajmy tylko, żeby dyskretnie porywać zdobycz spośród tego tłumu. Inaczej może być z nami niedobrze.

Teraz nasi podróżnicy zaczęli się naradzać, w którym miejscu założyć stałą siedzibę i w jaki sposób ją zbudować, ażeby dała niezbędną ochronę od mrozów i wiatrów. Kapitan Ford chciał naśladować Eskimosów i wznieść chatę z brył lodu, które można było spoić za pomocą zamarzającej wody zamiast zaprawy murarskiej. Lecz sternik zaprotestował przeciwko temu.

— Znajdujemy się na prawie zupełnie gładkim lodowcu, wystawionym na podmuchy orkanu i burze śnieżne, które by niebawem zasypały nasz domek, tak iż nie moglibyśmy się już z niego wydostać. Proponuję przeto, ażeby raczej wkopać się w sam lód; za pomocą naszych młotków i innych narzędzi wyłobimy sobie głęboką miednicę, przykryjemy ją powłoką z naszego balonu, żerdzie bambusowe posłużą za krokwie i będą chroniły dach od zawalenia się pod ciężarem śniegu. Od strony podwietrznej urządzimy sobie wyjście zasłonięte jedwabiem, wewnątrz jamy też możemy wybić, jakby tapetą, skórą naszego nieszczęsnego balonu. Najsilniejszy huragan nie przewróci nam takiego schroniska, a za pomocą łopatki, którą podejmuję się zmajstrować, wydobędziemy się z tego kretowiska na wypadek zawiei śnieżnej.

Po gruntownej rozprawie zaakceptowano pomysł sternika i nie zwlekając udano się w powrotną podróż do balonu, skąd miano przywieźć materiał na dach i obicie wewnętrzne lodowego pałacyku.

W KRYSZTAŁOWYM PAŁACU

Podróż do nieszczęsnego aerostatu, który po bohaterskiej walce o zdobycie bieguna południowego wydał ostatnie tchnienie na skraju lodowca, zajęła naszym wędrowcom kilkanaście godzin. Kiedy nareszcie dotarli do stosu jedwabiu, zabrali się natychmiast do porzucenia go na duże płaty. Nie można było nawet marzyć o tym, żeby tak wielki ciężar zabrać za jednym razem, toteż musiano się ograniczyć do jednego kwadratu, mierzącego około 100 m²; miał on posłużyć za materiał na dach.

Dołączono do tego ładunku jeszcze kilka grubszych bambusów, które były przeznaczone na krokwie, i z tym ładunkiem powędrowano do Przylądka Pingwinów. Przed odjazdem zabezpieczono jednak resztę materiału, układając na nim kilkanaście ciężkich brył lodu, gdyż obawiano się, że jakiś orkan uniesie te szczątki do morza, co by stanowiło ogromną stratę dla rozbitków powietrznych. Musiano tę mozolną wycieczkę powtórzyć jeszcze dwukrotnie, ażeby zdobyć materiał do wytapetowania ścian lodowego pałacu.

W czasie tych wędrówek odkryli miejsce, które, jak się przekonano, pingwiny wydośtawiały się na strome ściany lodowca. James ze zdziwieniem przekonał się, że te ptaki, pomagając sobie dziobem i szczątkowymi skrzydłami, wspinały się bardzo zręcznie, nawet po dużych pochyłościach. Dostrzeżono kilka z nich w znacznej odległości od miasteczka. Co skłaniało pingwiny do tak odległych wycieczek? James był przekonany, że nie udawały się one ani na łowy, ani dla zażycia ruchu, lecz w poszukiwaniu kamieni potrzebnych im do budowy gniazd. Napotkano nawet poważnego pingwina niosącego w stronę przylądka spory kamień w dziobie. Okazało się stąd, że domysł Jamesa był trafny.

— Jestem starym kawalerem — rzędził poczciwy sternik — gdyż zawsze lękałem się kłopotów i trudów, nieodłącznych od założenia własnej rodziny i gospodarstwa. Ten biedak — dodał wskazując na dźwigającego kamień pingwina — musi się porządnie napracować, żeby znieść aż stąd materiał na gniazdo. Zauważyłem, że te ptaki są bardzo zazdrosne o swoją własność. Jeżeli nawet mają nadmiar kamyków, to ani jednego nie użyczą sąsiadowi znajdującemu się w potrzebie. Nie można się dziwić temu egoizmowi, skoro, jak widzimy, po jeden kamyk trzeba wędrować kilka mil drogi, w dodatku wspinając się przez jedną ze szczelin na powierzchnię lodowca.

Zaintrygowany, które, pingwiny wylażą z przylądka na szczyt bariery, James poszedł nieco dalej i przekonał się, że o paręset metrów w kierunku zachodnim istnieje doskonale udeptana, niezbyt stroma ścieżka, prowadząca przez bardzo głęboką rozpadlinę lodowca do samego krańca zachodniego przylądka. Skorzystano skwapliwie z tego ułatwienia. Spuszczanie się bowiem z ciężko obciążonymi sankami z bariery w dół do przylądka było nader mozolne i niebezpieczne.

— Im lepiej poznaję te ptaki, tym bardziej muszę je podziwiać. Jeżeliby pan je widział w wodzie, tak jak ja niedawna, to musiałby pan przyznać, że są wprost rekordowymi pływakami i nurkami, poruszają się bowiem zgrabnie i szybko. Raz goniłem bezłotka, który mi się wydał bardzo tłusty i zdatny na pieczyste, chciałem zarzucić mu pętlę na szyję, lecz przekonałem się, że to niełatwa sprawa. Kiedym go już doganiał, kładł się na brzusek i odpychając się nogami, skrzydłami i dziobem, ślizgał się po śniegu tak chyżo, że biegnąc z całych sił nie mogłem go dognać. Potem natrafiwszy na pochyłość, pokazał mi, że umie zjeżdżać po lodowym zboczu nie gorzej niż jaki sportowiec na saneczkach. Pingwiny żywią się często rybami, jednak głównym ich pożywieniem są drobne skorupiaki — małe, czerwone raczki, i dlatego też to cuchnące błoto, w którym drepczą mieszkańcy naszego miasteczka i nieraz się w nim porządnie unurzają, ma ten odcień.

— Twoje spostrzeżenia, kochany Jamesie, są bardzo interesujące. Ja ze swej strony chciałbym jeszcze coś dodać o wrogach, których mają te ptaki. Najgroźniejszy pomiędzy

nich to pewien gatunek delfina, nazywany po łacinie *Orca gladiator*, rabuś i rozbójnik, znany także i w cieplejszych morzach. Foki także polują na pingwiny, które lękają się jak ognia ich paszczy zaopatrzonych w ostre zębiska.

Robiąc te spostrzeżenia nad życiem i obyczajami bezłotków nasi podróżni rozglądali się po lodowcu, szukając na jego powierzchni miejsca najlepiej nadającego się do urządzenia pałacyku kryształowego, jak już z góry nazwał sternik to przyszłe schronisko. Powierzchnia lodowca była tutaj prawie zupełnie równa, pozbawiona głębszych rozpadlin poprzecznych. Po pewnym namyśle zatrzymano się w punkcie odległym o jakieś sto kilkadziesiąt metrów od jego skraju, opadającego stromą ścianą do morza.

Za pomocą młotków i dłuta, osadzonego na bambusowym drążku, zakresłono czworobok na powierzchni i zaczęto wrębywać się w głąb. Okazało się, że narzędzia, którymi rozporządzali, nie bardzo nadają się do tej ciężkiej pracy. W ciągu dwudziestu czterech godzin zdołano zagłębić się zaledwie na pół metra. Ponieważ zaś głębokość tego dołu miała, według planu Gromskiego, mierzyć 2 m, przeto naszych podróżników czekało bardzo ciężkie zadanie. Wyrabianie w twardym lodzie tak głębokiej jamy i wyniesienie okruchów na zewnątrz zajęło, z krótkimi przerwami na wypoczynek, cały tydzień czasu. Musiano znowu odbyć wybieżkę do szczątków balonu, żeby przytransportować materiał do wyłożenia ścian. Inaczej bowiem lód byłby łatwo topniał i gromadziłaby się na podłodze woda. Toteż upłynęło sporo czasu, zanim kryształowy pałac był gotów na przyjęcie mieszkańców. W pośrodku umieszczono spory płaski kamień, na którym miała stanąć kuchenka. Głaz ten zastępował równocześnie stół; zamiast krzeseł użyto innych, nieco mniejszych.

Okazało się, że pomimo nieprzezroczystego dachu, który w dodatku przykryto warstwą śniegu oblanego wodą, w kryształowym pałacyku było dość widno, gdyż promienie światła, ukośnie padającego na lodowiec, przenikały aż tutaj, rozpraszając ciemności. Z dachu wystawała rura bambusowa mająca zastępować komin. Spiżarnię założono o parę metrów od pałacyku. Była to płytka jama wydrążona w lodzie i przykryta kawałem jedwabiu, który obciążono kamieniami, ażeby go wiatr nie zerwał. Kiedy już pałacyk kryształowy był całkiem gotów, zainstalowano się w nim na stałe. Ułożono w trzech rogach trzy kołdry wełniane, przykrywające pulchne skóry bezłotków, doskonale zastępujące piernaty. Tak więc ujrzano się w posiadaniu przytulnego, zacisznego, widnego schroniska, gdzie nawet najsilniejsze wichry nie dawały się odczuwać. Z jednego boku prowadził na zewnątrz rodzaj schodków wykutych w lodzie z wielką starannością rękami sternika. Wychodząc podnosiło się szmat jedwabiu zastępującego drzwi. Pierwszy nocleg przekonał naszych bohaterów, że pałacyk kryształowy jest daleko praktyczniejszy aniżeli chata zbudowana z brył lodu, jak to czynią Eskimosi. Gromski tylko obawiał się, że, na skutek obecności trzech ludzkich ciał i palącej się przez jakąś godzinę dziennie kuchenki, ściany domku zaczną topnieć, woda nagromadzi się pod jedwabiem i zaprowadzi wilgoć w tym oryginalnym mieszkaniu. Dla zapobieżenia temu w samym środku wyżłobiono jeszcze małą studzienkę, ażeby do niej ściekała woda, gdyby temperatura w pałacyku okazała się zbyt wysoka. Lecz na razie nie zauważono, ażeby lód wewnątrz pałacyku topniał. Temperatura bowiem na zewnątrz wynosiła pomimo pełni lata antarktycznego około 20° niżej zera. W samej zaś izdebce termometr wskazywał 3-5° ciepła.

— No, wytrzymamy tutaj nawet przez całą zimę! — zawołał kapitan zbadawszy dokładnie powyższy stan rzeczy.

— Całą zimę? — oburzył się sternik. — Ani myślę bawić tak długo w tym podłym kraju. Nawet na Szpicbergu, nawet w Grenlandii lato bywa dosyć ciepłe. Widziałem tam na własne oczy małe łączki między skałami, gdzie kwitły roślinki, które można by przykryć napałstkiem. Trafiają się tam nawet zarośla karłowatych wierzb i brzołek, w których człowiek może się schować od biedy. Tutaj zaś to istne piekło lodowe. Powiedzcie no, ludzie, że mamy właśnie sam środek lata, że pingwiny nasze już cieszą się świeżo powyklowanymi z jaj kurczątkami, podobnymi do srebrzystych kulek, a tutaj nigdzie nie dostrzegłem ani jednego

żdźbła trawki, najmniejszej rośliny!

— Ocean Lodowaty Północny — wtrącił kapitan — to wielka misa wody, otoczona ze wszystkich stron lądem. Daje się tam także odczuć wpływ ciepłego Gólfstromu, wobec czego nie można się dziwić, że klimat arktyczny jest znacznie łagodniejszy aniżeli na Antarktydzie, obszernym lądzie, otoczonym ze wszystkich stron bezmiarem oceanu skutym w pancerz lodowy. Jest to kraina wiecznej zimy, co mieliśmy sposobność naocznie stwierdzić.

— Oby twoje życzenia, kochany sterniku, spełniły się jak najprędzej — rzekł Gromski — lecz co do mnie, nie jestem tak dobrej myśli, jak ty. Na cóż możemy liczyć? Nasz aparat do porozumiewania się na odległość przydałby nam się dzisiaj, spróbowalibyśmy dać znać o sobie światu i błagać o ratunek, a może nawet „Prezydent Lincoln” pochwyciłby nasze sygnały i, pokonawszy zagradzające mu drogę kry i góry lodowe, dotarłby do tych pustkowi i zabrałby nas na swój pokład.

— Ja sądzę — wtrącił kapitan Ford — że cała nasza nadzieja spoczywa w łowcach wielorybów lub myśliwych polujących na fokę, którzy w pogoni za zyskiem zapuszczają się w te dzikie strony na swych wątych nieraz barkach. Jednakże musieliby oni dostrzec naszą obecność w pustyni lodowej, dlatego też musimy postarać się o jakiś sygnał, jaką flagę czy coś podobnego.

Inżynier zamyślił się.

— Zwiążemy kilka prętów bambusowych razem i otrzymamy maszt długości kilkunastu metrów. Na jego szczycie zawiesimy flagę i umieścimy ją na skraju bariery lodowej, tak ażeby była dobrze widoczna z morza.

— Nie zawadzi — pochwalił James — ale zważ pan, inżynierze, że do wolnego morza jest stąd parę kilometrów, gdyż kry przywarły do lądu i tamują do niego dostęp szalupom wielorybników. Jeżeliby któraś z nich w pogoni za ranną zdobyczą zapuściła się aż do samego brzegu, to wątpię, czy dostrzeże naszą chorągiew. Chyba że ją zrobimy dużą, ale wówczas wiatr albo przewróci, albo złamie nasz maszt.

— Słuszna uwaga, sterniku — przyznał Ford. — Zrobimy więc daleko praktyczniej.

— Cóż pan wymyślił, mój kapitanie? — zagadnął zaciekawiony sternik.

— Mamy tran wytopiony z fokę, mamy parę garnków, otóż z jednego z nich zrobimy sobie lampę, ale taką, żeby wydawała jak najwięcej czarnego dymu. Zapalimy ją na przyładku. Albo nie, bo pingwiny mogą się do niej dobrać, wiadomo bowiem, jak są ciekawe. Chyba najlepiej będzie postawić ją obok masztu sygnałowego. Wprawdzie wiatr będzie bardzo przeszkadzał unosić się w górę tej dymnej smudze, lecz mimo to obecność ognia w tak odludnych okolicach Antarktydy zwróci uwagę każdego, kto będzie przepływał w pobliżu bariery. Chyba nie przesadzę, gdy powiem, że taki sygnał będzie doskonale widzialny z odległości kilkunastu mil morskich.

— A więc zabierajmy się zaraz do roboty! Knot zrobimy z jedwabiu, a tranu to już ja się postaram dostarczyć, ile będzie potrzeba.

W ciągu kilku godzin projekt powyższy doczekał się realizacji. Lampa otoczona bryłami lodu, celem ochrony jej od silnych podmuchów wichru, stanęła niebawem w odległości kilkudziesięciu metrów od pałacu kryształowego i zionęła nieprzerwaną kolumną czarnego dymu ku bezobłocznemu w tych czasach niebu. Sternik zacierał ręce patrząc na tę kręcącą się, jak jakiś waż, ciemną smugę, odbijającą doskonale od srebrzystej bieli śniegów i lodów.

— Byliby chyba ślepcami, gdyby nie zauważyli takiego doskonałego i wymownego sygnału. Przecież każdy dobrze rozumie, że nie ma dymu bez ognia, a ognia bez człowieka — mówił sternik.

Teraz cokolwiek nadziei wstąpiło w serca rozbitków powietrznych. Wiedzieli oni, że okolice Morza Weddella są latem nawiedzane przez liczne statki wielorybnicze, które szerzą zniszczenie pomiędzy olbrzymami zamieszkującymi wody Antarktydy. Lada dzień sygnał może być dostrzeżony i nadejdzie tak gorąco oczekiwana pomoc. Jednakże sternik, który co

parę godzin dolewał świeżego tranu do lampy, poprawiał knot, zwęglał się, niestety, dość szybko, spostrzegł wkrótce, że dymny wąż przestał wic się ponad lodowcem. Zaklął więc siarczyście swoim zwyczajem, przerwał drzemkę po obiedzie, złożonym ze smacznego befsztyka z fokowiny, i wypełznął z kryształowego pałacu, ażeby zbadać przyczynę tego niepożądanego zjawiska. Kiedy zbliżył się nieco do tyki sygnałowej, w której sąsiedztwie umieszczono lampę, dojrzał coś takiego, co go wprawiło najpierw w okrutne oburzenie, ale później uczucie to przemieniło się nagle w gromki śmiech. Z ust szanownego sternika wyskoczyła cała lawina istic marynarskich przekleństw. Schwycił tyczkę bambusową i pędem pobiegł w stronę flagi.

— A nicponie przekłete, a łobuzeria, a kto by to pomyślał, że się aż tutaj wgramolicie swymi niezdarnymi nożyskami, żeby tylko zaspokoić jakiś chorobliwy instynkt badania nieznanymi rzeczy. Ale przecież powinienem już was dobrze znać. Nie dalej, jak parę dni temu musiałem was przepędzać, boście przeszkadzali naszemu kapitanowi, kiedy sekstansem mierzył wysokość słońca. Kto by pomyślał, że ta flaga i ten dym ściągnie tutaj cały tłum gapiów.

Istotnie, maszt sygnałowy i kopczą lampę otoczyło kilkadziesiąt pingwinów które przyglądały się tym nie znanym sobie przedmiotom z najwyższym podziwem, kiwając głowami i wydając jakieś niesamowite odgłosy, wyrażające zapewne w ich języku podziw. Niektóre z ptaków poprzeskakiwały wał z odłamów lodu otaczający lampę i, pragnąc zapewne zapoznać się lepiej z nigdy nie widzianym przez nie zjawiskiem ognia, przewróciły naczynie z tranem. Nic więc dziwnego, że knot zagaśł i dymny sygnał zniknął. Tym razem sternik okazał się bardzo mało tolerancyjny, choć, jak dotąd, ciekawość pingwinów budziła w nim tylko wesołość. Rozgniewało go to sprofanowanie świętego znicza, który według niego musiał być nietykalny, albowiem zależało od niego życie trzech rozbitków powietrznych. Zaczął więc z zapalem tłuc trzymanym w ręku kijem po czarnych plecach skrzydlatych gapiów. Prerażone ptaki zaczęły pierzchać w nieładzie, przewracając się wzajemnie w tłoku. Rozlegały się okrzyki prerażenia i cała ta gromadka ciekawskich rozproszyła się w popłochu. Większość bezłotków kładła się na lodzie białymi pierściami i, machając skrzydłami, umykała z szybkością strzały. Niebawem sternik pozostał sam, poprawił uszkodzony knot, przyniósł świeżego tranu i wąż dymny znów wzbił się ku niebu. Musiał jednak położyć daleko większe odłamy lodu dookoła garnka, ażeby zabezpieczyć skutecznie lampę przed nowymi odwiedzinami natrętów. Lecz i to niewiele pomogło, codziennie bowiem przez kilka dni ponawiały się te wizyty mieszkańców przyładka, wszystkie ptaki widocznie musiały zadośćuczynić swym badawczym instynktom. Niektóre z nich, kierując się snadź węchem, wyszperały widocznie wejście do pałacyku kryształowego, bo słyhać było wyraźnie tupotanie po dachu. Raz nawet sternik, wychodząc dla zasilenia lampy z garnuszką tranu, spotkał u samego wyjścia dużego pingwina, który przedostał się pod jedwab zastępujący drzwi i już zstępował niezdarnie po schodkach w dół.

— Dla Boga, czego tu chcesz, gapiu! — zawołał James usuwając się ptakowi z drogi. — Doprawdy niesłychane dzieją się tu rzeczy! Pieczeń sama idzie do kuchni.

Kapitanie, kapitanie! — dodał schylając się do wnętrza pałacu kryształowego, gdzie Ford był właśnie zajęty przyrządzaniem obiadu — doskonale pieczone odwiedziło nas.

Nie okazując żadnej obawy niezgrabny ptak zszedł po schodkach i znalazł się we wnętrzu schroniska, gdzie tę jego wizytę przyjęto gromkim śmiechem.

— Przecież to gość! — zawołał kapitan zwracając się do inżyniera. — Należy z nim postąpić według praw obowiązujących w świecie cywilizowanym. No, kochaneczku — mówił głaszcząc po czarnoaksamitnym łebku zdziwionego nieco tym nowym otoczeniem pingwina. — Ciesz się, że sternik śpieszy się tak do naszej lampy, bobyś już stąd nie wyszedł cało. Wracaj do swojej rodzinki i pamiętaj, że ciekawość to pewna droga do piekła.

To rzekłszy kapitan wziął na ręce delikatnie jak małe dziecko oryginalnego gościa i wyniósł go na zewnątrz. Tam dał mu porządnego klapsa w kark i na tym skończyło się.

Od tej pory nasi podróżni musieli kolejno pełnić straż przy fladze sygnałowej, gdyż wizyty pingwinów przez kilka dni następnych powtarzały się. W końcu całe miasteczko widocznie zapoznało się już dokładnie z tymi dziwnymi, nigdy nie oglądanymi przedmiotami i natręci przestali się ukazywać. Sternik odetchnął, gdyż to czuwanie godzinami na przejmującym wietrze pod masztem porządnie dało mu się we znaki. Odtąd tylko cztery razy na dobę zasilano tranem lampę, poprawiano knot i z zadowoleniem przyglądano się czarnej smudze, która nie mogła ujść uwagi przepływających w pobliżu okrętów albo szalup wielorybnych. Uzyskawszy z tej strony spokój, zabrano się energicznie do łowów na fok i słonie morskie, gdyż należało na wszelki wypadek przygotować zawnazu duży zapas żywności i opału na zimę. Wprawdzie sternik odrzucał stale przypuszczenie, że trzeba będzie długą noc podbiegunową spędzać na wybrzeżach Antarktydy, lecz należało być gotowym na najgorsze.

PRZYGOTOWANIA DO ZIMY

Kapitan obliczył, ile zapasów mięsa i tranu potrzeba będzie dla zabezpieczenia się od głodu i zimna na przeciąg półrocznej zimy, kiedy słońce zniknie nad widnokrzem i nastanie mroźna, burzliwa, nieubłagana pora roku, podczas której nawet to nikt życie organiczne objawiające się w ciągu lata zamiera zupełnie.

James był bardzo zaintrygowany losami bezłotków w niedalekiej przyszłości.

— Niech mi pan powie, kapitanie, bo pan musiał dużo mądrych książek przeczytać, zanim zaczął pan dobijać się do bieguna na naszym „Narwalu”, co się dzieje z tą całą skrzydlatą łobuzerią, kiedy nastaną trzaskające mrozy i nieprzeniknione ciemności? Jak się teraz odżywiają, o tym wiem doskonale. Taki pan pingwin stoi sobie nad wodą w licznym towarzystwie swoich krewniaków i dosyć długo się namyśla, zanim da nurka. Zanurzwszy się na głębokość kilkunastu czy kilkadziesiąt stóp, chwytając dziobem owe czerwone raczki, od których brzegi ławic aż się roją, połknie, ile tylko się zmieści w jego żołądku o workowatej budowie, i śpiesznie wraca na krę. Nie dziwię się temu, bo nie chce dostać się na ząb focie albo delfinowi. Ale co się z nimi będzie działo w zimie?

— Jest to istotnie bardzo interesujące, co porabiają pingwiny w zimie. Coś niecoś o tym mogę ci powiedzieć. Otóż odbywają one wędrówki nawet dość odległe w niższe szerokości, może nawet docierają do 60° szerokości południowej, gdyż muszą za wszelką cenę dostać się nad morze wolne od lodu. W tym świecie, który przeklinasz tak zawzięcie dla licznych powodów, pulsuje bardzo bujne życie właśnie na wybrzeżach kry, pól lodowych, a nawet dokoła pływających gór lodowych.

Wody tamtejsze bogate są w plankton, nie mówiąc już o rybach. Tymi drobnymi stworzeniami żywią się nie tylko nasi przyjaciele pingwiny, ale także wieloryby, delfiny, przypuszczam, że i fok tym pokarmem nie pogardzają. Jest tego taka obfitość, że wielorybowi wystarczy otworzyć paszczę, ażeby znalazła się w niej cała masa zwierzątek najrozmaitszego kształtu. Znawcy utrzymują, że na jedną ucztę tęgi wieloryb potrzebuje aż tonę tego drobiazgu. Ponieważ zaś wielorybów tu nie brak, choć przyznaję, że nie dostrzegłem ani jednego, a miliony bezłotków zawdzięczają swoje utrzymanie się przy życiu także tylko temu drobiazgowi, więc łatwo pojąć, jakie olbrzymie ich masy zawiera morze. Zdaje się, że skład wody morskiej bardzo sprzyja rozmnażaniu się tych drobnych stworzonek, gdyż w cieplejszych wodach nie spotykamy ich w takiej obfitości, jak tutaj.

Pingwiny, chcąc istnieć, muszą na zimę docierać, jak rzekłem, do wolnych od kry, nie zamarzających wód. Te pielgrzymki muszą być bardzo dla nich uciążliwe. Podziwu godne, jak te biedne ptaki walczą z mrozem i orkanem, nie mając żadnego schronienia przed srogością żywiołu. Jeżeli wytrzymują, to tylko dzięki temu, że ku jesieni pokrywają się nowym,

bardzo ciepłym futrem. Lecz muszą całe trzy tygodnie na to czekać. Siedzą więc gdzieś w zagłębieniach skał i cierpliwie czekają, aż im urośnie futerko, przy czym poszczą i koniec końców chudną niemiłosiernie, tak iż wyglądają jak szkielety obciążone skórą. Młode nie potrzebują czekać na nowe szaty i pierwsze wyruszają na wędrówkę, starsze dopiero w jakiś czas z nimi się łączą. Z tego nauka dla ciebie, kochany Jamesie, żebyś zaopatrzył nas w zapas ich smacznego mięsa podczas lata, bo później sam byś pogardził takim żylastym i chudym jadłem. Trzeba będzie także zaopatrzyć się w ryby.

— Kiedy tek, to postaram się zostać rybakiem — powiedział sternik. — Widziałem bowiem dużo ryb w pobliżu kry.

— Dawniej — rzekł kapitan — przypuszczano powszechnie, że wody Antarktydy są ubogie w ryby. Jednakże przekonano się, że była to pomyłka. Tych ryb w morzach arktycznych poznano z górą sto gatunków, możesz więc spróbować szczęścia, jeżeli masz jakąś siatkę albo wędkę.

— No, już moja w tym głowa, żeby temu zaradzić! — zawołał sternik. — Wędzisko już mam — rzekł biorąc tyczkę bambusową, która niedawno stanowiła część gondoli sterowca. — Sznurka także kawał się znajdzie. Haczyk zrobię z kawałka drutu, a na przynętę wezmę kawałek mięsa foczego i jazda.

Sternik dotrzymał słowa, wyruszył zaraz nazajutrz na skraj ławicy lodowej i po upływie paru godzin powrócił z kilkunastoma niedużymi rybami, które, jak się przekonał kapitan, należały do rodzaju kościstych. Najwięcej napotyka się w morzach podantarktycznych przedstawicieli rodziny *Nathotheniidae* *. Są to ryby cierniopłetwe, bez pęcherza pławnego, z płetwą brzusznią przesuniętą ku przodowi w okolice gardła. Trzymają się one przeważnie w pobliżu brzegów.

Ugotowane w słodkiej wodzie, rybki te okazały się nadzwyczaj smacznym daniem, mile przyjętym przez naszych rozbitków karmionych od paru tygodni bezłotkami i fokowiną. Sternik nabrał niebawem wielkiej wprawy w sporcie wędkarskim, suszył na słońcu złowione obficie ryby i zrobił z nich duży zapas na zimę. Kiedy już napełnił przeznaczony na ten cel kącik spiżarni, oświadczył, że zabiera się do grubej zwierzyny.

— Siedząc nad wędką słyszałem ryk jakichś dużych zwierząt — oświadczył. — Udałem się na sam koniec przylądka i dostrzegłem na polu lodowym kilka olbrzymów, nieco podobnych do dobrze mi znanych morsów.

— Morsów, czyli koni morskich, o ile mi wiadomo, nie ma na morzach Antarktydy. Widziałeś zapewne słonie morskie. Są to zwierzęta ssące, mniej więcej wielkością dorównujące morsom, lecz pozbawione kłów, a zaopatrzone za to w rodzaj krótkiej trąby, co im właśnie zjednało nazwę słoni morskich. Jest to zwierzęta już dość rzadka, a w dodatku, jak słyszałem, mięso jej jest bardzo żylaste i tranowate — tłumaczył kapitan. — Szkoda więc zabijać bezpożytecznie te wspaniałe zwierzęta, które może niebawem podziela losy tylu zaginionych gatunków, jak na przykład naszego bizona amerykańskiego czy żubra europejskiego.

— No, kiedy pan tak staje w obronie tych słoni, to poprzestanę na tym, ażeby się im z bliska przyjrzeć. Możemy iść we trójkę i zapolować na foki, przeciwko czemu pewnie nie ma pan nic do powiedzenia.

Zbliżał się koniec stycznia. Krótkie a mroźne lato podbiegunowe chyliło się ku końcowi. Pisklęta bezłotków porastały w oczach, foki wyprowadziły swoje potomstwo, które jednak nie mieszkało tak, jak rodzice, w wodzie, lecz przebywało na powierzchni kry. Matki zajęte połowem ryb wychodziły od czasu do czasu na lód, żeby nakarmić swym mlekiem młode latorośle, oczekujące na tę chwilę z wielkim utęsknieniem. Nasi podróżnicy często bywali świadkami takiego karmienia przez stare foki swoich młodych. Dopiero kiedy foka zostaje odstawiona od piersi, schodzi do wody i poluje na ryby razem z rodzicami. Najwię-

* Czyt.: Natotenide.

kszy gatunek fok odznacza się białą maścią. Białe foki były wojownicze i staczały nieraz pomiędzy sobą zażarte i krwawe boje. Wówczas krew lała się strumieniami, przeciwnicy tak dalece zapamiętywali się w tych starciach, że dopuszczali na parę kroków od siebie ludzi, którzy przyglądali się zapasom z wielkim zaciekawieniem. Nieraz się zdarzało, że sternik, chcąc położyć kres morderczym chwytom przeciwników, strzelał do nich z dubeltówki albo zabijał swoją lancą.

Te polowania na foki trwały cały tydzień, dopóki nie nagromadzono obfitego zapasu tłuszczu i mięsa. Obliczono, że mógł on zaspokoić wymagania mieszkańców kryształowego pałacu na przeciąg całego roku. Mięso schowane w lodzie mogło bez zepsucia leżeć bardzo długo, a ponieważ na Antarktydzie nie masz ani niedźwiedzi białych, ani lisów polarnych, które na północy rabują takie składy żywnościowe, więc można było zostawić je bez żadnej opieki. Nagromadzono też przy tej okazji dużo doskonałych futer, na których wysypiano się po kilkanaście godzin na dobę. Takie monotonne życie stało się koniec końców nużące. Nasi wędrowcy daremnie oczekiwali na zjawienie się jakiegoś wielorybniczego statku, który by ich uwolnił z tej pustyni lodowej. A przecież był to sezon łowów. Powoli zatem tracono nadzieję i przygotowywano się w duchu na przykrą ewentualność długotrwałego pobytu u wybrzeży szóstej części świata. Starano się atoli stale podtrzymywać ogień w sygnałowej lampie, co nie nastroczało trudności, bo tranu nie brakło. Czarny wąż, wznoszący się ku niebu, daremnie jednak wzywał o pomoc dla naszych rozbitków powietrznych. W jakieś kilka dni po ukończeniu wielkich łowów na foki nadeszła niespodziewanie straszliwa burza. Kapitan dziwił się czasem, że tak długo trwał okres pogody. Lecz natura powetowała sobie teraz długą bezczynność i to, co się działo w ciągu całego tygodnia, przeszło wszelkie wyobrażenia podróżników.

Niebo pokryło się gęstymi chmurami, tak iż półmrok zapanował nad pustynią lodową. Rozpoczęła się szalona śnieżycą. Orkan wył jak stado potępieńców, zdmuchując nagromadzające się na lodowcu warstwy śniegu do oceanu. Bezlotki gdzieś się poukrywały, foki umknęły pod lód, zawrzało istne piekło. Nasi podróżni z trwogą oczekiwali, że orkan, dmący z szybkością jakichś 200 km na godzinę, zerwie dach z kryształowego pałacu. Dla zapobieżenia temu naładowano jak najwięcej brył lodowych na skraj dachu, żeby wichur nie mógł go podważyć i rzucić w przestrzeń. Dzięki jednak spadającemu coraz obficie śniegowi, dach wytrzymał napór wichru, szalejącego z niesłabnącą gwałtownością przez sto dwadzieścia godzin z rzędu. Sternik pilnował, ażeby zasy śnieżne nie były przeszkodą do opuszczenia kryształowego pałacu po skończeniu burzy. Odkopywał więc śnieg, nagromadzający się nad wejściem do schroniska, bacząc, ażeby zasy nie przekraczała metra grubości. Wychyliwszy się choćby na jedną chwilę na zewnątrz, wracał natychmiast do pałacyku, klnąc na czym świat stoi. Zamknięci w swym pałacyku podróżni z trwogą wsłuchiwali się w pojęki wichury, która była tak gwałtowna, że zdmuchnęłaby z łatwością człowieka, gdyby odważył się wyjść ze schroniska choćby na jedną chwilę. Słyszeli głuchy grzmot bałwanów morskich, które pogruchoły olbrzymie kry, przyrośnięte do ładu, a raczej do wielkiej bariery, na której znajdował się pałacyk kryształowy. Teraz były wściekle o samo przedmurze lodowca, żłobiąc w jego podstawie głębokie bruzdy. Ocean podkopywał się niejako pod lód. Grzmot bałwanów bijących ze straszliwą siłą w lodową barierę rozlegał się głośnie, echem w tych pustkowiach, napełniając trwogą serca rozbitków. Kiedy nareszcie po kilku dniach orkan uciszył się, z wielką trudnością zdołano wydostać się z kryształowego pałacu na powierzchnię lodowca, okrytego, jakby olbrzymią puchową kołdrą, warstwą srebrzystego i pulchnego śniegu, który na 30-stopniowym mrozie zdołał już stwardnieć, tak iż od biedy można było po nim chodzić. Sternik nie zważając na niebezpieczeństwo opuścił się z bariery na Przylądek Pingwinów, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Okazało się, że bałwany morskie rozbiwszy krę przybrzeżną wtargnęły do miasteczka. Snadź zmusiły one całą jego ludność do pośpiesznej ucieczki w głąb przylądka. James wykrzył mnóstwo zmarzniętych i nieżywych piskląt, a potem odnalazł stare z ocalałymi

od pogromu pisklętami w załamach, między skałami, zagrzebane do połowy w śniegu.

Upłynęło kilka dni, zanim ptaki po tej klęsce wróciły na dawne swoje pielesze. Śnieg pod wpływem ich ciepłych ciał i tysiocy stóp zaczął niebawem tajać i miasteczko wróciło do dawnego wyglądu. Fale morskie zrobiły wielką przysługę ptakom, gdyż zabrały czerwonawe i cuchnące błoto, w którym musiały przedtem pingwiny brodzić.

Gwałtowność i okrucieństwo tej burzy dowiodło naszym podróżnikom, jak twarde, nieustępliwe jest życie organiczne w tak okropnych warunkach. Ani mróz, ani wichry oszalały, ani rozhukane bałwany morskie nie zdołały go zgasić. W tydzień potem w miasteczku pingwinów było rojno i gwarno, jak za dawnych dobrych czasów. Kapitan obliczył, że przynajmniej czwarta część młodych pingwinów zginęła w czasie tej burzy.

ŚWIAT LODÓW JEST PIĘKNY

Inżynier Gromski, który po raz pierwszy w życiu oglądał świat lodów, coraz bardziej był przejęty jego bajkową, nieporównaną pięknnością. Zdarzały się chwile, że zatrzymywał się na skraju bariery lodowej, zatapiał wzrok w dal i wydawał okrzyk zachwytu. Wsłuchiwał się z rozkoszą w szum szmaragdowych fal, rozbijających się z rykiem o spiętrzony wał lodowy, obramowany olbrzymimi krami. Pełno było w nich szpar, szczelin, przez które, jak oczy bóstwa północy, przeglądały wody. Latem, kiedy słońce świeci nie zachodząc wcale, lód przyładkowy jest ciemnozielony, przechodzący miejscami w ultramarynowy odcień. Dalej od wybrzeży, uwieńczonych ciągnącą się w nieskończoność barierą, unoszą się majestatyczne olbrzymie — góry lodowe. Góry lodowe nie są dziećmi oceanu, lecz lądu. Są one po prostu olbrzymimi odłamami lodowców, które z wnętrza kontynentu spływają ku oceanowi. Krańców ich urywa się tworząc wyniosłą ścianę kryształową. Od niej to odrywają się liczące po kilka kilometrów szerokości i długości płaskie tafle lodowe. Są to prawdziwe wyspy pływające, wynurzające się na kilka piętér z oceanu, a pogrążone w nim na głębokość paruset metrów. Tak wyglądają młode góry lodowe, lecz w miarę tego jak się starzeją, ta regularna ich postać przeobraża się coraz bardziej pod działaniem uderzeń fal morskich, słońca, wichrów i śniegów. Olbrzymie cielsko stopniowo staje się coraz mniejsze, ulegając zarazem głębokim i dziwnym przeobrażeniom. W miejscu gdzie bałwany gnane burzą uderzają o jego boki, powstaje szeroka, coraz głębsza wnęka pozioma, która z czasem opasuje dokoła całą górę lodową. Wnęka ta jest najgłębsza z frontu, niejako na piersiach góry lodowej, którymi toruje ona sobie drogę wśród kry i fal. Ma to ten skutek, że góra lodowa staje się z przodu lżejsza niż z tyłu, wnęka dźwiga się zatem w górę, tył zaś zanurza się coraz głębiej. Teraz na poziomie fal z przodu powstaje nowa wnęka w postaci rynny i powyżej opisany proces powtarza się. W ten sposób góra lodowa przybiera postać olbrzymiej muszli srebrnej, rzeźbionej z obu boków w wachlarz rozbiegających się z dołu wąwozów. Ostatecznie góra lodowa dokonuje całkowitego obrotu, wywraca jakby koziołka i zamiast dawnej powierzchni ukazuje nam swoje dno usiane kamieniami wyniesionymi z głębi lądu. Lecz na tym nie koniec. Działanie fal trwa dalej. Wynajdują one w górze lodowej miejsca, w których lód nie jest tak twardy i jednolity, jak w całej masie. Rzeźbią więc coraz to głębsze groty w cielsku olbrzymia, a nieraz przebijają je na wylot, tworząc jakby jakieś triumfalne bramy, nawy, świątynie, galerie pałaców, całe labirynty sal kryształowych. Wytwarza się fantastyczna całość, przypominająca zamki wyśnione w fantazji jakiegoś zwariowanego architekta. Do tych pałaców bajkowych wdzierają się z łoskotem fale, pędzą jedna za drugą po salach i korytarzach, wał z hukiem w mury i kolumny, przy czym powstaje jakiś szalony zamęt, ogłuszający zgiewk, rzucający trwogę w serca śmiałków, którzy się odważyli zajrzeć do wnętrza tego zaczarowanego pałacu kryształowego. Już z dala przepływający żeglarze słyszą ten srebrzysty

huk, jak gdyby odzywały się liczne dzwony na wieżycach olbrzymiej katedry. Proces niszczenia pływającej góry lodowej trwa nieprzerwanie przez dłuższy czas, gdyż błąka się ona nieraz długo po oceanie, zanim doszczętnie się rozpadnie. Przy schyłku swojego życia staje się coraz piękniejsza. Wreszcie nadchodzi nieuchronny koniec, śmierć olbrzyma, który nieraz przez parę lat włóczył się po morzach gnany prądami, huraganami, powoli przygotowującymi mu zgon. Zmurszały olbrzym, którego dziwnie wyrzeźbione części ledwie trzymały się razem, utyka gdzieś między nadbrzeżnymi krami i poddaje się zdradzieckim promieniom słońca. Aż nagle rozlega się rozgłośny huk, niby salwa dział i fantastyczne zamczysko rozsypuje się. Odłamki mieszają się ze zwyczajną słońą krą morską i całe to zjawisko znika jakby za skinieniem różdżki czarnoksiężnika. Lecz przyroda nie ustająca w swej pracy spycha nowe odłamy lodowca w otchłań oceanu, rodzą się nowe góry lodowe, jeszcze większe, doskonalsze i zaludniają, niby jakieś bajeczne istoty, szmaragdowe tonie. W tych wędrowcach nęci wzrok nie tylko ich majestatyczna potęga wielkości, fantastyczność kształtów, pełne godności ruchy, spokojne, niezmacone trwożą kołysanie się wśród rozhukanych bałwanów i dmących z żywiołową siłą orkanów, lecz także iskrząca się srebrzyście białość, czasami lśniąca w pieszczotach słonecznych blasków, to znów widmowo przyćmiona mgłami zmieniająca się nagle w głęboki błękit. Góry lodowe stają się jakby przeolbrzymimi turkusami lub szmaragdami. Niezrównana gra barw powstaje w jaskiniach i wnękach rzeźbionych przez fale i wichry.

Ale i zwykle kry zrodzone na morzu mają swoiste piękno. Unoszą się one pomiędzy górami lodowymi, jak stada wędrownego ptactwa w różne strony.

Najcudniejszym staje się ten obumarły świat podczas długotrwałego zachodu słońca. Gwiazda dzienna rzuca na lodowce jaskrawoczerwone promienie, zamieniając je na rubiny i na bryły złota. Występuje tu cała gama najsubtelniejszych barw, poczynając od srebrzysto-złocistej, krwistej, szmaragdowej, turkusowej, a kończąc na ciemnofioletowej. Wówczas żeglarzowi wydaje się, że płynie po szmaragdowych falach, pomiędzy olbrzymimi złomami rubinów, opałów i ametystów.

Kiedy półroczna noc skuwa mrozem te wszystkie lody w jeden pancerz, świat podbiegunowy zdobywa się na nową krasę. Na ciemnoszafirowym niebie iskrzą się miliardy gwiazd, błądy księżyc otacza się świetlanymi kołami, zorza biegunowa zasnuwa indygowy płaszcz firmamentu swymi fajerwerkami, wobec których nasze ognie sztuczne są niedołącznymi, bladymi tworami. Paleta największego artysty nie zdołałaby odtworzyć tych nieskończonych odcieni, a wszystko to przybiera w zorzy polarnej najfantastyczniejsze formy co chwila się zmieniające. Niebo i lodowce lśnią bajkowymi blaskami, powstaje jakaś dzika orgia barw, zimne płomienie liżą strop niebios — cud przyrody, wobec którego pióro i pędzel są bezsilne.

Kapitan, już od dawna oswojony z tym cudnym światem podbiegunowym, do którego kilkakrotnie w życiu zaglądał, myślał jako człowiek praktyczny o przygotowaniu się na zimowisko. Doszedłszy do wniosku, że powłoka balonu nie będzie dostateczną ochroną od traskających mrozów, zamierzał zdobyć dostateczną ilość skór, pozesywać je razem i przeznaczyć na pokrycie dachu.

— Już przeszło miesiąc daremnie podajemy sygnał dymny — mówił przechadzając się z inżynierem wzdłuż skraju bariery lodowca. — Nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego w tym roku nie zjawiają się tutaj wielorybnicy, na których pomoc liczymy. Jeżeli upłynie jeszcze parę tygodni, sezon się skończy i pozostaniemy tutaj na długą zimową noc. Smutne to perspektywy dla nas. Wiem bowiem z doświadczenia, jak trudno nerwom ludzkim wytrzymać tak długi okres przenikliwego zimna, szalejących burz śnieżnych, a co najgorsze, nocy nieprzerwanej. W tych warunkach można dostać melancholii albo nawet popaść w obłąd.

— Cóż jednak na to poradzić? — odparł inżynier. — Musimy pogodzić się z losem, gdyż nie jest w naszej mocy odwrócić sytuacji na pomyślniejszą.

— Musimy wyprawić się na duże białe foki i na słonie morskie, gdyż małe skóry i w dodatku dość cienkie nie są odpowiednim materiałem na zimowy dach naszego kryształowe-

go pałacyku.

W dodatku noszę się z zamiarem zbudowania sporego kajaka, który by uniósł w razie potrzeby nas wszystkich trzech wraz z naszym szczupłym dobytkiem. Nauczyłem się tej sztuki od Eskimosów na Dalekiej Północy. Na szczęście znajdujemy się w posiadaniu kilkunastu tyczek bambusowych różnej grubości — szczątek naszej gondoli — co nam ułatwi to zadanie. Eskimosi w braku drzewa używają na szkielet swych kajaków fiszbinu wielorybiego. Wprawdzie widziałem kilkakrotnie obłoczki skroplonej pary, wydobywającej się z płuc tych olbrzymów, kiedy wypływają na powierzchnię dla nabrania powietrza, lecz samych wielorybów oko moje nie dostrzegło jak dotąd. Owe wydechy wskazują jednak, że okolice Morza Weddella nie są pozbawione największych ssaków ziemskich. Wprawdzie tępione przez kilkanaście ostatnich lat niemiłosiernie, stały się one stosunkowo rzadką zwierzyną, lecz i tak powinny by zwabić tutaj łowców. Dlaczegoż więc nie zjawili się oni? Przypuścić chyba należy, że to morze jest gdzieś na północy zabarykadowane grubą krą, tamującą dostęp do jego wnętrza statkom wielorybniczym. Jakże inaczej wyjaśnić sobie tę pustkę, jaka nas otacza?

Tego samego dnia w towarzystwie sternika, uzbrojonego w swoją wielką lancę, i inżyniera uzbrojonego w dubeltówkę, kapitan Ford zapuścił się na rozległą ławicę, rozciągającą się wzdłuż brzegów Przylądka Pingwinów. Obserwowano bacznie powierzchnię pola lodowego, które miało w tym miejscu przynajmniej metr grubości i przymarzło już do nagich wybrzeży. W odległości kilometra dostrzeżono kilka większych czarnych plam, w których bystre oko sternika rozpoznało stado słoń morskich i fok dużego kalibru. Posuwano się ostrożnie ku upatrzonej zwierzynie, chociaż ta nie zdradzała żadnych objawów niepokoju. Słonie morskie spały sobie smacznie o kilkadziesiąt metrów od lekko falującego morza. Od czasu do czasu jakiś nowy przybysz gramolił się na krę i przyłączał się do stada.

Niebawem myśliwi znaleźli się o kilkanaście metrów zaledwie od olbrzymich zwierząt, z których każde ważyło przynajmniej tysiąc kilogramów. Przyglądały się one obojętnie nie znanym sobie postaciom. Sternik podszedł do starego samca, widocznie przewodnika stada, i połechtął go końcem lancy w krótką trąbę, która zjednała mu nazwę słońia. Potężna masa cielska poruszyła się niezgrabnie, lecz sternik przypuszczał, że to dotknięcie nie wznieciło bynajmniej gniewu w potworze, choć jego oczki zamigotały jakimś zdradliwym blaskiem.

— No, mój stary, masz grubą skórę, chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby nam ją oddać na dach naszego pałacyku.

— Może by lepiej było zastrzelić tego grubasa z dubeltówki, przyłożywszy mu lufę do samego ucha — odezwał się Gromski gotując swoją fuzję.

— Szkoda nabojów, których i tak nie mamy wiele — odparł sternik. — Poradzę sobie z nim moją lancą. Trzeba to jednak zrobić cokolwiek na uboczu, gdyż obawiam się, żeby stado nie ujęło się za swoim wodzem. Niech więc pan, inżynierze, wymłóci go po grzbiecie swoją laską, niech się cokolwiek bestia oddali od towarzyszy...

Z tymi słowy James stanął naprzeciwko niezdarnej cielska i dał znak inżynierowi, który zaczął okładać kijem wodza stada. Ten jednak niewiele sobie robił z tych uderzeń i ciosów, które spadały na jego twardą skórę, podbitą grubą warstwą tłuszczu. Wobec tego sternik zaczął kłuć słońia w trąbę ostrzem swej lancy. Biedaczysko, jak się okazało, zbyt zaufał pokojowemu usposobieniu olbrzymia, gdyż ten nagle, zanim jeszcze człowiek zdołał się zorientować, rzucił się naprzód, powalił na lód sternika, przycisnął go swymi przednimi pletwowatymi nogami i wydał donośny ryk. Niefortunny myśliwy przygnieciony toną ciężaru nadaremnie usiłował wydobyć się spod tej żywej masy; całe jego szczęście, że słoń morski nie posiada kłów, jakie ma mors arktyczny, i że z trudnością może używać jako broni zaczepnej swoich zębów. Gdyby było inaczej, los Jamesa nie byłby godzien zazdrości. Słoń trzymając pod swoimi piersiami przerażonego sternika, uniósł się na przednich odnóżach i ryczał wściekle.

— Pal mu w łeb, inżynierze! — zawołał Ford.

Gromski przyskoczył, wycelował w ucho olbrzyma i wystrzelił. Musiał jednak poświęcić dwie kule, żeby dobić kolosa broczącego obficie krwią z roztrzaskanej czaszki. Teraz dopiero udało się Jamesowi wydostać spod jego cielska. Był już najwyższy czas, bo biedak tracił dech i zdawało mu się, że trzasa mu wszystkie żebra w klatce piersiowej. Długo musiał rozcierać boki, zanim przyszedł cokolwiek do siebie. Tymczasem inne słonie morskie sploszone snadź hukiem wystrzału powskakiwały niezdarnie do wody i na polu lodowym pozostała tylko zdobycz.

Całe dwie godziny zajęło myśliwym ściągnięcie skóry z olbrzyma, który okazał się bardzo tłusty, tak iż dostarczył sporego zapasu tranu do zasilenia lampy sygnałowej i na opał zimowy. Kapitan oświadczył, że tylko tłuszcz i skórę należy zabrać, mięso zaś pozostawić żarłocznym petrelom i mewom, które już nadleciały i natrętnie dopominały się o udział w tej niespodziewanej zdobyczy.

Skóra była tak ciężka, że z niemałym trudem zawleczono ją na przyładek, rozłożono na słońcu, oskrobano z tłuszczu i z mięsa i pozostawiono tak przez dłuższy czas, ażeby dokładnie wyschła. A i po wyschnięciu ważyła z górą 200 kg, tak że nasi rozbitkowie niemało się napocili, zanim wyciągnęli ją wyłomem w lodowcu na jego powierzchnię. Przykryła ona dach kryształowego pałacyku, który wzmocniono od wnętrza lodową kolumną. Tak więc schronisko było przygotowane na nadciągające orkany i śnieżyce, które nie kazały na siebie czekać aż do końca lata. Wybuchały bowiem w kilkudniowych odstępach z niesłychaną gwałtownością, więzając na czas dłuższy rozbitków powietrznych w ich oryginalnej siedzibie.

Upływało już niemal dwa miesiące od chwili zainstalowania się na wybrzeżach oceanu. Bezlotki wyprowadziły już swoje młode, które szybko rosły i za kilka tygodni miały się udać w swoją zwykłą wędrówkę na północ, na brzeg morza wolnego od lodu. Czekają na nie tam całe ławice drobnych raczków, głowonogów, meduz i innych stworzeń morskich, którymi żywią się nie tylko ptaki, ale najpotężniejsze zwierzęta globu ziemskiego — wielorybowate.

Nasi podróżni ze swej strony byli zaopatrzeni w dostatek mięsa, mrożonych ryb i smacznym piersi bezlotków. Mogli więc w ostateczności przezimować w pustyni lodowej, nie lękając się głodu. Kilkanaście worków skórzanych napełnionych tranem zapewniało im opał i światło na sześciomiesięczną noc podbiegunową. postrach ludzi zmuszonych spędzać ją w kraju lodów i ciemności. Jednakże nie tracono nadziei, że koniec końców pojawi się jakiś statek wielorybiczny i wybawi ich z tego odludzia; atoli tygodnie mijały, a nic się w położeniu naszych rozbitków nie zmieniało, tak iż powoli zwątpienie zaczęło wkradać się do ich dusz.

NIESPODZIEWANA KATASTROFA

Raz jeden w przeciągu dwumiesięcznego blisko pobytu na brzegach Antarktydy naszym podróżnikom zdawało się, że widzą gdzieś na samym horyzoncie statek żaglowy, lecz było to albo złudzenie wzrokowe, albo też marynarz siedzący w bocianim gnieździe na szczycie masztu nie zwrócił uwagi na czarną smugę dymu bujającą w przezroczystym powietrzu; dość, że ta okazja spełzała na niczym. Jakaś dziwna pustka panowała w tym roku na tak zwykle uczęszczanym Morzu Weddella. Toteż nasi rozbitkowie coraz bardziej oswajali się z koniecznością przezimowania w tej straszliwej pustyni lodowej. Dreszcz przenikał ich serca, kiedy widzieli siebie skulonych w swoim nędznym schronisku, pozbawionych tygodniami możliwości wyjścia na powietrze ścięte 50° mrozem lub biczowane śnieżycą podczas straszliwego orkanu. W dodatku ta długa, nieubłagana, gasząca wszelkie życie duchowe noc polarna!

W miarę tego jak upływało zimne, antarktyczne lato, które wcale prawie nie różniło się od zimy, chyba tylko tym, że było pełne słońca i światła, gasły ostatnie iskierki nadziei, tłące

jeszcze w duszy naszych bohaterów. Sternik, jakby chcąc mieć czyste sumienie, że nie przegapił żadnego statku ani szalupy, przesiadywał godzinami u masztu sygnałowego, bacząc, ażeby wicher nie zerwał flagi i żeby lampa tranowa dawała dostatek dymu. Lecz to wszystko na nic się nie zdało. Gwiazda dzienna, zakreślając niewielkie koła na firmamencie, zniżala się ku horyzontowi coraz bardziej. Za jakieś trzy do czterech tygodni miał nastać długotrwały zmierzch, kiedy to lodowce grają najpiękniejszymi rubinowoametystowymi barwami, a potem słońce miało pożegnać na całe pół roku lodową pustynię. Nic więc dziwnego, że rozpacz ujmowała w swe szpony dusze żeglarzy powietrznych, wyrywała z nich resztki nadziei i pogrążała ich w melancholijny nastrój, z którego tylko sternik, dzięki swemu wrodzonemu humorowi, potrafił się od czasu do czasu wyrwać.

Było to w marcu, odpowiadającym mniej więcej październikowi na półkuli północnej, kiedy wybuchła nowa straszliwa burza, jedna z tych konwulsji nawiedzających atmosferę Antarktydy z krótkimi przerwami. Ponieważ pałacyk kryształowy nie wystawał prawie wcale nad powierzchnię lodowca, przeto wichura nie mogła mu uczynić wiele szkody. Dach przy-mocowany wbitymi w lód kołkami i przywalony na skrajach dużymi bryłami lodu i kamieniami, opierał się dzielnie podmuchom orkanu, dzięki czemu mieszkańcy mogli spokojnie oczekiwać końca zawieruchy. Starali się tylko usuwać z dachu pałacyku nadmiar śniegu, który by mógł połamać krokwie bambusowe. Wichura była tak silna, że zmiatała tworzące się zaspasy i zdmuchiwała je wielkimi chmurami we wzburzone fale oceanu. Takie długotrwałe, bo nieraz ciągnące się przez cały tydzień nawałnice, wiele dawały się we znaki naszym rozbitkom, którzy spędzali czas na przyrządzaniu sobie strawy i krótkich rozmowach. Przeżuwano w nich do nieskończoności minione wrażenia. Gromski przy lampie tranowej, wydającej przykrą woń, uzupełniał swój dziennik podróży, zapisywał rozmaite zaobserwowane fakty, wyniki badań meteorologicznych, słowem, starał się, jak to się mówi, w miarę możliwości zabijać czas.

Sternik znalazł sobie inne zajęcie. Z wielkim nakładem trudu budował kajak według modeli widzianych u Eskimosów. Z kilku cięższych tyczek bambusowych mocnymi ścięganiami zabitych zwierząt powiązał zgrabnie szkielec, który potem obciągnął grubą, doskonale zeszytą skórą z fok. Miał on dużą wprawę w szyciu żagli, jak każdy zresztą marynarz, i ściany kajaka okazały się tak szczelne, że na pewno nie przepuszczałyby wody.

Wiosła zrobił z bambusów i kawałków blachy, mocno doń przybitych. Łódka miała rozmiary dostateczne, ażeby pomieścić trzech ludzi. Za balast posłużyły różne ciężkie przedmioty i zapasy żywności, żagiel uszyto z powłoki balonu. Po paru tygodniach usilnej pracy James mógł się pochwalić dokonany dziełem.

— Nie wiadomo, czy ten kajak nie przyda nam się bardzo w krytycznej chwili — mówił — przecież może się zdarzyć, że dostrzeżemy w pobliżu przylądka jakąś łódź wielorybniczą, która nie zwróci na nasze sygnały uwagi, wówczas długo się nie namyślając spuścimy na morze kajak i całą parą popłyniemy w kierunku naszych wybawców, którzy oby zjawili się jak najprędzej.

Na taki przypadek przygotowano się zawczasu i czekano cierpliwie, lecz niestety, nadaremnie. Burza, o której wspominaliśmy, miała się już ku schyłkowi, nasi podróżni spali smacznie na stosie skór foczych, w miłym ciepłe rozsiewanym po izdebce przez płomień lampy tranowej, chwilami tylko przerywało ich sen jakieś potężniejsze szarpnięcie hulającej po lodowcu wichury, która nieraz była tak potężna, że zrzucała z dachu mniejsze bryły lodu. Zdawało się, że w tym wgłębieniu wykopanym na głębokość paru metrów w cielsku kolosalnego lodowca, w oddaleniu 200 m od granic bariery, o którą rozbijały się z grzmotem bałwanym rozhukanego morza, żadne niebezpieczeństwo nie grozi mieszkańcom lodowego pałacyku.

Lecz niestety stało się inaczej. Ze smacznego, na wpół letargicznego snu w dniu szóstym marca zbudził niespodziewanie naszych rozbitków przeraźliwy grzmot: była to jakby salwa kilkuset dział wielkiego kalibru albo uderzenie tysiąca piorunów. Grzmot ten trwał kilkanaście sekund. Równocześnie mieszkańcom kryształowego pałacyku wydawało się, że

lecą gdzieś w otchłań. Byłoby to złudzenie, jakiś sen koszmarny czy też rzeczywistość? Wszyscy trzej przerażeni zerwali się na równe nogi. Sternik pośpieszył do schodków prowadzących na zewnątrz, lecz cofnął się raptownie pod naporem wody morskiej, która nagle silną falą wdarła się do kryształowego pałacu. W jednej chwili wszystkie skóry, służące za posłanie, zaczęły pływać; woda sięgała naszym rozbitkom powyżej kolan i poziom jej podnosił się z każdą sekundą.

— Cóż to znaczy do wszystkich diabłów?! — krzyknął sternik nie wiedząc, jak sobie wytłumaczyć to dziwne zjawisko. — Skąd wzięła się tu woda? Przecież znajdujemy się na szczycie lodowca, o kilka pięter ponad powierzchnią oceanu.

Kapitan Ford usiłował wydostać się na zewnątrz pałacyku, gdyż fala przestała już chlustać do wnętrza. Podniósł zasłaniającą schodki skórę i wytknął głowę na świat boży. To, co ujrzał w tej chwili, była to jakaś nieprzenikniona chmura śniegu, która jednak szybko opadała, uniesiona wichrem do morza. Lecz co wprawilo w niesłychane zdumienie dzielnego marynarza, to kołysanie się lodowca, który, jak dotąd, był całkiem nieruchomy. Po chwili wszyscy trzej mieszkańcy kryształowego pałacyku znaleźli się na wolnym powietrzu wśród gęstej śnieżycy, która nie pozwalała im widzieć dalej, jak na kilkanaście kroków. Stapali oni po powierzchni śniegu, który wyglądał tak, jakby przed chwilą był zanurzony w wodzie. W pobliskich szczelinach nagromadziło się jej sporo. Ford zbadawszy to wszystko uważnie, chwycił się za głowę.

— Ależ my płyniemy po oceanie! Czuję wyraźnie kołysanie się lodowca pod nogami. Nie chce się wierzyć, a jednak jesteśmy mimowolnymi świadkami narodzin nowej góry lodowej.

— Co też pan mówi? — zdumiał się Gromski.

— Ależ nie mylę się! — zawołał Ford. — Czyż nie słyszy pan grzmotu bałwanów morskich bijących o ścianę góry lodowej, na której się znajdujemy? Teraz już rozumiem wszystko. Ta burza przyspieszyła widocznie katastrofę, którą powinniśmy byli przecież przewidzieć. Skraj lodowca, podmywany szalejącymi falami, no i porwany własnym swym ciężarem, załamał się nagle z ogłuszającym grzmiotem, który nas tak przeraził. Utworzyła się młoda góra lodowa, na której znaleźliśmy się tak niespodziewanie. Teraz widzę, jak wielka była nasza nieostrożność, żeśmy się osiedlili o dwieście metrów zaledwie od pionowej ściany, którą lodowiec opadał w morze. Zdaje się, że kilkanaście milionów ton lodu odłączyło się wraz z naszym pałacykiem kryształowym od lodowej bariery. W pierwszej chwili nasza góra lodowa spadając w otchłań zanurzyła się na chwilę i dlatego też woda wdarła się do naszego schroniska. Całe szczęście, że dach był tak szczelny i że skóra razem ze śniegiem, nawianym przez burzę, dokładnie przykrywała wejście do naszej izdebki. Gdyby nie to wszystko, utonęlibyśmy bez ratunku w ciągu tych paru minut, podczas których potężny odłam lodowca zanurzył się w morzu. Wiadomo jednak, że lód jest znacznie lżejszy od wody, toteż wnet wypłynął na powierzchnię, co nas uchroniło od niezawodnej śmierci.

Sternik przysłuchiwał się tym wywodom kiwając powątpiewająco głową.

— Czyż to być może? Przecież zbudowaliśmy nasz pałac kryształowy o jakieś trzysta kroków od morza. Czyżby taki szmat lodu mógł się oderwać od lodowca?

— Dlaczegożby nie? Wszak nieraz góry lodowe miewają po kilka kilometrów długości i szerokości; skoro tylko burza minie i zaświeci słońce, zbadamy dokładnie rozmiary wyspy, na której w tej chwili unosimy się wśród wzburzonego morza.

Na tę chwilę czekano jeszcze kilkanaście godzin. Przez ten czas pędzona orkanem góra lodowa oddalała się coraz bardziej od Przylądka Pingwinów. Kiedy wreszcie przejaśniło się niebo, nasi podróżni przekonali się, że nowourodzona góra lodowa, która ich unosiła na swym grzbiecie, miała bardzo okazałe rozmiary. Linia pęknięcia leżała o jakieś sto metrów od pałacyku kryształowego w kierunku południowym. Powierzchnia tej pływającej wyspy według przybliżonej oceny kapitana wynosiła jakieś 4-5 ha, co napełniało serca podróżników pewną

otuchą.

— Nasza góra lodowa ma wcale pokaźne rozmiary — radował się James. — Daje nam ona na razie zupełnie pewne schronienie. Możemy na niej podróżować bezpiecznie, choćby przez dwa lata, zanim ulegnie, jak wszystkie tego rodzaju twory, zniszczeniu przez fale burz, słońca i wichry. Jakie to szczęście, że nasze zapasy, nasz przytulny pałacyk kryształowy, nasza nędzna chudoba ocalała wraz z nami. Przynajmniej nie pomrzemy z głodu, a wody do picia z topionego lodu słodkiego mamy zapas niewyczerpany.

Gromski, słuchając tych wywodów marynarza, uśmiechnął się melancholijnie.

— Tak, na razie nic nam nie grozi — mówił namyślając się — lecz znajdujemy się na łasce prądów wichru, które nie wiadomo dokąd nas zaniosą. Daj Boże, żebyśmy posunęli się na naszej wyspie pływającej jak najdalej ku północy w morza nieco cieplejsze, gdyż tam mamy większą szansę napotkania jakiegoś statku wielorybniczego.

— Szkoda tylko — dodał kapitan Ford — że nie znamy dokładnie kierunku i siły prądów morskich, jakie panują obecnie na tych morzach.

PŁYWAJĄCA WYSPA

Katastrofa, która tak nagle zaskoczyła naszych podróżników i którą oni przynajmniej w pewnym stopniu powinni byli przewidzieć, wytworzyła bardzo oryginalną sytuację, jedyną w dziejach rozbitków. Gromski i jego towarzysze zostali czymś w rodzaju Robinsonów Crusoe, z tą kardynalną różnicą, że bohater Defoe'go znalazł przytułek na stałym lądzie, nasi zaś bohaterowie zostali porwani na bezkresy oceanu na ruchomej płycie lodowej, która będąc igraszka prądów i wichrów mogła się błąkać miesiącami i latami, zanimby uległa zniszczeniu.

Jakiż więc los czekał ich w niedalekiej przyszłości? Odłączyli się od stałego lądu, gdzie znaleźli dostatek pożywienia dzięki obecności fok i bezłotków i obecnie byli otoczeni straszliwym pustkowiem. Spoglądali z trwogą dokoła siebie, doznając chwilami wrażenia, że znajdują się nie na kuli ziemskiej, lecz na jakiejś odleglejszej od słońca planecie. Na ciemnoszmaragdowych, prawie czarnych wodach unosiły się olbrzymie góry lodowe, które z gondoli „Polonii” przedstawiałyby się oczom jak jakieś stado srebrnopiórych ptaków. Z bliska zaś te olbrzymie masy kryształowe robiły niesamowite wrażenie. Posłuszne unoszącym je prądom, z majestatycznym spokojem, lekko kołysane falą płynęły całymi zastępami jak jakieś zaczarowane hufce, okute srebrną zbroją, na spotkanie niewidzialnego wroga. W świetle tym, którego nie ożywiały nawet ruch ptasich skrzydeł, człowiek czuł się okropnie obcy, bezsilny i tak nikły, jak ziarnko piasku na wybrzeżu.

Ten niesłychany majestat, otulony w grozę milczenia, tak daleki od spraw ludzkich, taki okrutnie obcy, przytłaczał dusze naszych żeglarzy jakimś nieznośnym ciężarem i grozą. Pograżeni oni byli przez długi czas, tak jak i całe ich otoczenie, w głębokim milczeniu, z rzadka tylko któryś z nich otwierał usta, żeby przeciąć niby ostrzem szabli tę ciszę, która stawała się nieznośna. Prócz szmeru fali, liżącej boki kolosa, który ich unosił w nieznaną, ucho nie łowiło żadnego szmeru zwiastującego obecność jakiejś żywej istoty. Toteż z niesłychanym entuzjazmem powitał sternik widok paru obłoczków pary unoszących się ponad wodami.

— Wieloryby! Wieloryby! — krzyczał podskakując z radości.

— Gdzie? — zagadnął inżynier.

— Tam, tam. To one wychylając się na powierzchnię morza, wypuszczają z potężnych płuc zużyte powietrze, przepelnione parą, która zgęszczając się na zimnie, tworzy właśnie taki obłoczek. Dawniej i ja, podobnie, jak wielorybnicy, sądziłem, że wieloryb wyrzuca w górę fontannę wody, lecz było to mylne. Wieloryb, a znam się z nim, bo przez dwa lata służyłem

na wielorybniczym kutrze, ma krew gorącą, rodzi się żywy, młody ssie mleko matki, słowem, jest to taki ciepłokrwisty zwierz, jak na przykład foka, słoń morski albo mors. Jak dotąd, nie widzieliśmy tutaj tych największych zwierząt, jakie istnieją na ziemi. Teraz jednak zwierzyna się pokazała, stąd możemy mieć nadzieję, że i myśliwi polujący na nią nie każą długo na siebie czekać.

— Masz słuszność, kochany Jamesie — rzekł Ford. — Są to niewątpliwie oznaki, że te zwierzęta znajdują się w pobliżu naszej góry lodowej. Nareszcie wydostaliśmy się na pełniejsze wody, to mnie jak i ciebie napawa otuchą.

Wszyscy trzej nasi rozbitkowie śledzili z najwyższym zaciekawieniem ruchy olbrzymów oceanu, udzielając sobie nawzajem spostrzeżeń i dzieląc się posiadanymi wiadomościami o życiu tych stworzeń, które są jeszcze przez naukę bardzo niedostatecznie zbadane. Jest to tym dziwniejsze, że od wieków odważni marynarze polowali na te olbrzymy. Rzecz znamienita, że wielorybnicy, którzy żyli dzięki wielorybom i dorabiali się znacznego majątku, sprzedając fiszbin i wytopiony tran, szerzyli najbałamutniejsze wieści o życiu zabijanych, a potem ćwiartowanych przez siebie olbrzymów. Trzeba jeszcze poświęcić dużo czasu i zochodu, choćby tylko na to, ażeby zdobyć się na jakąś systematykę w tym dziale zoologii. Wspañiale rozwinięta zdolność poruszania pozwoliła wielorybom stać się mieszkańcami wielu mórz kuli ziemskiej. Różne ich gatunki mają różne siedziby.

Wprawny łowca wielorybów jest w stanie nawet z daleka oznaczyć, z jakim gatunkiem będzie miał do czynienia. Kieruje się tutaj obserwacją ruchów, sposobem oddychania i nurkowania.

Wieloryby nigdy nie opuszczają wody tak, jak na przykład foki, słonie morskie i morsy. Oddychają zaś, jak każdy ssak, powietrzem. Na wypukłym czubie głowy znajdują się nozdrza; skoro tylko zwierz wynurzy się, uwypuklają się one i przez ich otwory wyrwa się z głośnym świstem nagromadzone w potężnych płucach powietrze. A trzeba pamiętać, że wieloryb w poszukiwaniu pożywienia nurkuje dość głęboko i pozostaje w wodzie nieraz przez całą godzinę. Ażeby nie udusić się podczas tak długiego pobytu w morzu, wieloryb musi po pierwsze, mieć potężny zapas powietrza w płucach, po wtóre, znacznie więcej krwi aniżeli ssaki lądowe. Ta krew jest istotnym rezerwuarem tlenu, który broni zwierzę od uduszenia. Wyziewane zapasy pary skraplają się na zimnie w stożek. Ponieważ ten obłok szybko się rozwiewa, więc stąd wyraźny wniosek, że nie jest to fontanna wody, jak dawniej powszechnie mniemano. Zresztą wiadomo, że u wielorybów pewien wyrostek krtani wchodzi do tylnych nozdrzy tak szczelnie, że drogi oddechowe są zupełnie oddzielone od jamy ustnej i gardzieli. Woda więc nie ma, bo i nie powinna mieć żadnego dostępu do organów oddychania. Inaczej bowiem wieloryby nie mogłyby jadać pod wodą. Kiedy wieloryb nareszcie, pochłonawszy wielką ilość drobnych istotek morskich, którymi wyłącznie się żywi, wypłynie na powierzchnię dla nabrania świeżego zapasu powietrza, przez jakiś czas, robiąc wdechy i wydechy, nagromadza potrzebny mu do ponownego nurka zapas tlenu, po czym powtarza swoją wędrówkę w głąb. Prawdziwe wieloryby żywią się przeważnie głowonogami, które zamieszkują niższe warstwy morza i dosyć trudno dają się schwytać. Stąd taka długotrwała nieobecność wieloryba na powierzchni. Jak głęboko nurkują wieloryby? Są tacy, którzy przypuszczają, że mogą one zanurzyć się aż do tysiąca metrów, lecz jest to widoczna niedorzeczność. Ciśnienia 100 atmosfer nie wytrzyma żadne stworzenie przyzwyczajone do przebywania na powierzchni. Zresztą na tych głębiach panuje już ciemność zupełna, jakże więc w tych warunkach wieloryb mógłby chwycić owe głowonogi? Toteż wydaje się prawdopodobne, że nie zapuszcza się on poniżej 100 m w głąb, zwłaszcza że drobne raczki, mięczaki, głowonogi w tej warstwie najlepiej prosperują i są najobfitsze.

Drugą, bardzo interesującą kwestią i dotąd nie rozstrzygniętą, jest sen wielorybów. Spać, nieruchomo leżąc na powierzchni wody, wieloryby, jak się zdaje, nie potrafią. Te, które są cięższe od wody, opadłyby na dno, to znaczy utonęłyby, podobnie jak człowiek nie umieją-

cy pływać; te zaś gatunki, które są lżejsze od wody, jak na przykład wieloryby właściwe i potfiszce, wyróciłyby się do góry brzuchem, więc ich nozdrza zanurzyłyby się w wodę, co by miało podobny skutek. To wszystko nasuwa nam mniemanie, że wieloryby albo wcale nie śpią, albo też bardzo rzadko. Za okrętami płyną one nieraz przez kilka dni i nocy z rzędu, nie pozwalając sobie na wypoczynek. Przytaczają nawet osobliwy fakt, że w 1088 roku za pewnym okrętem angielskim płynęło bez przerwy stado wielorybowatych ssaków od samego przylądka Horn, aż do Liverpoolu, portu w zachodniej Anglii. A przecież taka podróż trwała parę tygodni. Byłby to bardzo dziwny fakt, gdyż nawet ryby śpiąją i w ogóle wszelkie stworzenie, jak się zdaje, potrzebuje snu nie wyłączając owadów.

Gruba warstwa tłuszczu, okrywająca ciało wielorybów i będąca tak fatalną przynętą dla łowców, doskonale chroni te zwierzęta od zimna.

Wielorybom grozi szybka zagłada, zanim jeszcze uczeni zdążą zbadać je dokładnie. Całe zastępy łowców czyhają nie tylko na wieloryby właściwe, ale na foki i na olbrzymie słonie morskie, niezmiernie ważny, ciekawy i odosobniony gatunek zwierząt: giną one tysiącami dla zaspokojenia chciwości przedsiębiorców. Nowoczesne statki wielorybnicze to jakby pływające fabryki, gdzie przetapia się tłuszcz wielorybów na tran, pożądany głównie dlatego, że zawiera dużo witamin i stanowi nieoceniony środek lekarski przeciw wielu dolegliwościom ludzkim.

Nasi rozbitkowie, rozważając w tych swoich rozmowach losy wielorybów, zaczęli pojmować, dlaczego przez tak długi czas daremnie oczekiwali pojawienia się zbawczego statku u wybrzeży Antarktydy. Snadź w tych okolicach Morza Weddella, wdzierającego się w kontynent głęboką zatoką, wieloryby stały się już bardzo rzadką zwierzyną. Jakże bowiem inaczej mogli sobie wytłumaczyć pustkę, którą tchnęły te okolice Oceanu Lodowatego. Dzięki jednak katastrofie, dostawali się oni w niższe szerokości geograficzne, gdzie okazja spotkania się z ludźmi stawała się prawdopodobniejsza.

Kapitan Ford zastanawiał się teraz nad tym, jakie prądy morskie panują w tych okolicach oceanu, gdyż od tego zależał kierunek, w jakim posuwać się miała ich wyspa pływająca. Naokół Antarktydy leżą rozległe tonie oceanu, przeniknięte na wskroś chłodem. Ta zimna woda wdziera się aż prawie pod sam równik. Na słońcu otchłań kładzie się warstwa również zimnej wody, powstającej z ciągłego topnienia niesłychanej ilości lodu i śniegu. Pamiętać jednak należy, że ta słodka woda w przeciwieństwie do słonej morskiej, jako znacznie od niej lżejsza, tworzy prąd powierzchniowy, płynący na północ ku cieplejszym morzom. Kierunek tego prądu musi być do pewnego stopnia zgodny z kierunkiem wiatrów panujących w tamtych okolicach. Stąd można wyprowadzić wniosek, że oziębia wybrzeża zachodnie Ameryki, Afryki i Australii. Dlatego to zapewne wyspy, zwane Orkadami Południowymi, leżące pod 60° szerokości, są niemal przez cały rok otoczone lodami.

Biorąc to wszystko pod uwagę, mieszkańcy wyspy pływającej coraz bardziej dochodzili do przekonania, że powędrują daleko na północ, co miało swoje dobre i złe strony. Dobra strona polegała na tym, że mogą napotkać prędzej czy później jakiś okręt, zła strona zaś — że wyspie pływającej groziło zniszczenie w bliższej lub dalszej przyszłości. Tej drugiej ewentualności nie brano jednak pod uwagę. Kapitan kazał sternikowi bez przestanku zasilać tranem lampę, tak iżby smuga dymu unosiła się ciągle ponad górą lodową, była to jedyna szansa zwrócenia na siebie uwagi przepływających statków. Miano przed sobą dosyć czasu, gdyż, jak obliczono, zapasy żywności mogły starczyć przynajmniej na pół roku.

Coś przez ten czas musi się zdarzyć!

BAŃKA MYDLANA

Od chwili oderwania się wyspa pływająca, unoszona prądem w północno-wschodnim kierunku, oddalała się coraz bardziej od wybrzeży Antarktydy. Od dawna Przylądek Pingwinów znikł w oddali ku wielkiemu zmartwieniu sternika, który tam pozostawił tylu dwunożnych przyjaciół. W obecnej samotności, tak okropnej, że kładła się ciemną chmurą na dusze rozbitków, lubił wspominać swoje przygody z bezłotkami. Mówił z czułością o młodych bębnach, które już zapewne opierzyły się dostatecznie i brały udział w połowach na różowe skorupiaki, nie potrzebując już czerpać pożywienia wprost z dzioba swoich rodziców, jak to czyniły w pierwszych tygodniach swego życia. Rozczulał się nad młodziutkami foczkami, które pozostawione samotnie na krze czekały niecierpliwie na pojawienie się swych matek i na smaczne mleczko z ich piersi. Jego towarzysze tęsknili za zgiełkiem i rozgwarem, jaki panował w miasteczku pingwinów, które stało się poniekąd ich własną siedzibą, albowiem spędzali tam po kilka godzin dziennie. Teraz żadnego śladu życia prócz obłoczków wydychanych przez wieloryby. Jednakże zdarzało się kilkakrotnie, że olbrzymie zwierzęta pojawiały się w pobliżu góry lodowej i nasi żeglarze z prawdziwą przyjemnością śledzili ich taneczne ruchy. Nieraz się zdarzało, że potwór, płynący z szybkością kilkunastu mil morskich na godzinę, wyskakiwał nagle z fali. Przez sekundę jego wrzecionowate, białawe cielsko, pokryte nieraz gęsto pasożytami, ukazywało się wyraźnie oczom rozbitków, po czym olbrzym ze zdumiewającą gracją dawał znów nura w rozhuśtane jego ruchem bałwany i znikał bez śladu. Rozróżniano niebawem pomiędzy tymi zwierzętami dwie grupy: jedną bardzo poważną, której członkowie nigdy sobie nie pozwalali na żadne płochy igraszki, i drugą, do której należały okazy mierzące do 20 m; te ostatnie były ciągle w swawolnym ruchu. Igrały między sobą jak delfiny, wyskakiwały z wody, wykonywały piękne salto, po czym, jak najwprawniejszy gimnastyk, dawały nurka głową naprzód. Lecz były to bardzo krótkie widowiska, które tylko cokolwiek mogły rozproszyć niemiłosierne nudy, w jakie pogrążeni byli nasi obecni mimowolni podróżni.

Góra lodowa błąkała się, można powiedzieć nawet, tułała się po oceanie w towarzystwie wielu innych podobnych jej olbrzymów lodowych; gruchotała napotykanne cieńsze kry, wciskała się w nie taranem. Nieraz obserwowano, że posuwa się ona naprzeciw wiatrowi, ulegając przemożnej sile prądu, który ją unosił. Wówczas robiła wrażenie wielkiego okrętu. Słońce, które zniżało się nieustannie, wywierało na górę lodową coraz to silniejszy wpływ. Należy bowiem wiedzieć, że promieniowanie w krainach polarnych jest równie silne, jak w górach; niejednokrotnie stawało się naszym rozbitkom tak gorąco, że pomimo kilkunastostopniowego mrozu chodzili po powierzchni swej lodowej wyspy bez futer, tylko w bluzach sportowych. Te zjadliwe promienie, przenikając w głąb bryły, wywoływały coraz to nowe pęknięcia. Od czasu do czasu jakaś bryła odrywała się od głównej masy i spadała z pluskiem w morze. Wyspa pływająca w ciągu kilkunastu dni swej tułaczki straciła jakąś dziesiątą część objętości pierwotnej; jej pierś, wyżłobiona miotem fal w głębokie bruzdy, dźwigała się coraz wyżej, podczas gdy przeciwległa jej strona zanurzała się głębiej, tak iż niebawem zrównała się z powierzchnią morza. Można by więc było w razie potrzeby bardzo łatwo spuścić po tej pochyłości na wodę kajak, który sternik utrzymywał w ciągłym pogotowiu.

Główna wnęka, powstała jeszcze w okresie, kiedy góra lodowa stanowiła część bariery lodowej u wybrzeży Antarktydy, sterczała już na jakieś 20 m nad poziom, pod nią utworzyła się, skutkiem uderzeń bałwanów, nowa bruzda i nasi podróżni przewidywali, że jeżeli ich wędrówka dłużej potrwa, to góra stanie dębą. Ich pałacyk kryształowy zamieni się w rodzaj okienka w pionowym murze lodu, tak że jego bok stanie się podłogą, a dach runie w morze.

Kapitan Ford był bardzo zaniepokojony tym zjawiskiem, gdyż nie spodziewał się, że góra lodowa tak szybko ulegnie niszczącemu działaniu fali i ciepła słonecznego. Dokonywał

on codziennie obserwacji astronomicznych, które wykazały, że wyspa lodowa posuwa się mniej więcej 30 mil morskich na dobę w kierunku północno-zachodnim. Obecnie znajdowano się już pod 64° szerokości południowej i jak się zdaje, opuszczono od dość dawna Morze Weddella i unoszono się na otwartym oceanie.

Pewnego razu, kiedy kapitan był zajęty obliczaniem swoich danych, sternik, siedzący na najwyższym szczycie pochyłającej się góry, wydał gromki okrzyk, który zelektryzował jego towarzyszy.

— Dym, dym! — wołał. — Jakiś parowiec znajduje się tuż pod linią widnokregu. Jeszcze nie widzę jego masztów ani komina, ale słup dymu nie pozwala wątpić, że nareszcie napotkaliśmy okręt.

Inżynier i kapitan sprawdzili to spostrzeżenie, które wlało w ich serca strumień nadziei.

— Jamesie! Popraw naszą lampę, gdyż nie dymi ona jak należy — rozkazał kapitan.

— Muszę ją przenieść gdzie indziej, tutaj, gdzie właśnie stoję, ażeby nasz sygnał łatwiej było dostrzec z daleka.

Tak też uczyniono, lecz niestety wiatr niebawem wzmógł się do tego stopnia, że słup dymny, zamiast wznosić się wysoko ku niebu, przybrał niemal że poziomy kierunek; czarne kłęby, rozpraszane prądem powietrza, stały się niemal zupełnie niedostrzegalne. Daremnie sternik poprawiał knot, dolewał tranu, sygnał zawiódł oczekiwania. Rozbitkowie śledzili z natężoną uwagą obłoczek dymu, który wyraźnie malował się na tle szmaragdowych powierzchni morza i nieba zasnutego srebrzystymi obłoczkami.

— Kurs północno-zachodni! — orzekł kapitan po dłuższej obserwacji. — Okręt płynie dość szybko i obawiam się, że nie znajdzie się bliżej od nas aniżeli obecnie. Za jakąś godzinę albo ujrzymy jego komin i maszty, albo też nie. W tym ostatnim wypadku nie możemy się spodziewać pomocy z tej strony.

— Jak szybko może on płynąć? — zagadnął zdenerwowany inżynier.

— Bardzo wolno, gdyż musi lawirować pomiędzy licznymi w tej okolicy morza górami lodowymi; oto właśnie zmienił kurs na południowy — odparł Ford. — Widzę już komin i grotmaszt. Płynie tylko motorem, gdyż na rejach nie dostrzegam żagli. Nic w tym dziwnego, bo manewrowanie płótnem w tym labiryncie gór lodowych byłoby bardzo trudne i niebezpieczne.

Sternik, w którym nagle odezwał się człowiek czynu, zaklął siarczyście.

— Co za niedołęgi z nas, kapitanie! — zawołał. — Niech się pan nie gniewa, ale ja sądzę, że pieczone gołąbki nie wpadną nam same do gąbki. Jeżeli nie chcemy zmarnować tej tak szczęśliwej okazji, to musimy porzucić tę podłą wyspę i popłynąć na spotkanie parowca. Nie traćmy ani chwili drogiego czasu!

Z tymi słowy dzielny marynarz podskoczył do kajaka, ukrytego w szczelinie lodu, ażeby nie ześliznął się po pochyłym grzbiecie góry lodowej w morze, i przynagłał energicznie swoich towarzyszy do pośpiechu.

Istotnie, nie było co zwlekać. Szło tu o śmierć albo życie. Nie upłynęło więc parę minut, kiedy nasi podróżni, spuściwszy się po pochyłym grzbiecie góry, chlusnęli w morze, okrążyli górę i z całym wysiłkiem, na jaki mogli się zdobyć, zaczęli wiosłować w kierunku lawirującego parowca. Według obliczeń doświadczonego marynarza, jakim był kapitan, znajdował się on o jakieś 8 mil morskich. Należało się śpieszyć. Kapitan i sternik, wyężdżając całą swoją energię, płynęli po rozkołysanej powierzchni oceanu, starając się przeciąć drogę okrętowi. Jednakże pomimo to, iż kajak sunął po morzu jak mewa, odległość dzieląca go od słupa dymnego nie zmniejszała się bynajmniej. Sternik nie przestając uderzać wiosłem, kłął coraz okropniej. Rzucił gromy i szpetne wyzwiska pod adresem sternika, marynarza siedzącego w bocianim gnieździe, kapitana — słowem, uraczył potokiem swej wymowy niezbyt wytwornej całą załogę dostrzeżonego statku.

— Toż to trzeba być ślepym od urodzenia, gawronem zapowietrzonym, żeby nie

dostrzec naszego sygnału, naszej flagi. Bo też ci durnie całą swoją uwagę skupiają na tych przeklętych górach lodowych, bojąc się, żeby jedna z nich nie otarła się o ich burtę. Kapitan w tej chwili nie myśli o niczym innym, jak tylko o bezpieczeństwie swej skorupy, i założy się, że nawet dostrzegł nasz sygnał, ale mu niepilno ocalić życie bliźnim znajdującym się w niebezpieczeństwie. Bliższa ciału koszula niż kaftan.

W miarę jak czas upływał, nasi żeglarze opadali coraz bardziej z sił, lecz nie ustawali w wiosłowaniu, zdawali sobie bowiem sprawę z tego, że podobna okazja nieprędko się im nastręczy i że należało wyzyskać ją za wszelką cenę. Natężali więc swe mięśnie do ostateczności. Kajak, pędzony szybko po sobie następującymi uderzeniami trzech wiosł, mknął jak strzała, co chwila zalewany rozbryzgami fali, która jednak nie wdzierwała się do wnętrza, gdyż wszyscy trzej byli doskonale, wzorem Eskimosów, wciśnięci w pokład zaopatrzony w trzy otwory. Sternik z rozpaczą przekonywał się, że odległość dzieląca wążką łódkę od parowca nie tylko nie zmniejszała się, lecz przeciwnie, stawała się coraz znaczniejsza. Po sześciu godzinach rozpaczliwych wysiłków, obezwładnieni, z sercami bijącymi z nadmiernego wysiłku jak młoty, nasi żeglarze opuścili bezradnie swe podwójne wiosła. Sternik kłął jak potępieniec; kapitan, zdjawszy futrzaną czapę, ocierał pot spływający kroplami po zarosniętej twarzy. Gromski wpił melancholijne spojrzenie w nikańcy pod widnokrzem słup dymu.

— Bodaj was góra lodowa zatopiła, przekłete gawrony! — zawołał sternik. Lecz nie na tym jednym życzeniu pod adresem znikającego kutra skończył się potok złorzeczeń pocziwego Jamesa. Przez długi czas nie mógł się uspokoić. Zawiedziona nadzieja gryzła go jak jadowity robak w serce.

— Cóż chcesz, mój pocziwco — perswadował kapitan — ujrzeliśmy bańkę mydlaną, ludziliśmy się jej pięknem przez chwilę, lecz prysła jak każda bańka. Wracajmy tedy do naszego kryształowego pałacyku i czekajmy dalej.

Zawrócono więc i starano się odróżnić swoją wyspę lodową od kilkunastu innych, które unosiły się w sąsiedztwie. Kapitan obliczył, że przez sześć godzin tej wyczerpującej gonitwy za okrętem, kajak zrobił kilkanaście mil morskich w kierunku północno-zachodnim. Po drodze mijano liczne góry lodowe, ale były one tak podobne do siebie, że niemożliwością wydawało się rozpoznać wśród nich tę, która do niedawna była ich siedzibą. Błąkano się więc przez dobrych kilka godzin po morzu, okrążano każdą napotkaną górę lodową i przyglądano się jej z różnych stron, lecz za każdym razem dochodzono do wniosku, że zachodzi pomyłka. Kiedy wreszcie znaleziono się w okolicach, gdzie według obliczeń kapitana, powinna znajdować się opuszczona góra lodowa, zwątpiono zupełnie w możliwość odszukania jej. Sytuacja stawała się krytyczna. Nasi rozbitkowie zaczęli się obawiać, że wszystkie ich zapasy wraz z kryształowym pałacykiem zaginęły bezpowrotnie. Lecz koniec końców zupełnie niespodziewanie natrafiono na parę skór foczych i pingwinowych unoszących się na powierzchni morza.

— To tutaj! — zawołał uradowany sternik.

— Chyba się mylisz, kochany Jamesie, ta góra mi zupełnie nie przypomina kształtami tej, na której odbywaliśmy naszą podróż po oceanie.

— A jednak te skóry stanowią niezbity dowód, że dotarliśmy do naszej pływającej wyspy — upierał się sternik.

Kapitan przyglądał się bacznie potężnej bryle lodu, unoszącej się o kilkadziesiąt metrów od kajaka, i rzuciwszy okiem na rozkołysane fale, dostrzegł na nich nowy dowód, stwierdzający owo przypuszczenie. Był to pręt bambusowy z flagą sygnałową. Unosił się on kołysany łagodnie falą niedaleko kajaka, tak że Gromski bez trudności wyciągnął go z wody.

— Cóż to wszystko ma znaczyć? — pytał głośno, rozkładając ze zdumieniem ręce. — Ta góra lodowa wygląda całkiem odmiennie aniżeli nasza wysepka. Na jej wierzchołku widzę kilka kamieni, których tam wcale nie było.

Kapitan Ford zastanowił się głęboko. Jego wzrok śledził kształty góry, wreszcie dzielny marynarz zaklął niegorzej od sternika.

— No, możemy sobie powinszować, uniknęliśmy bowiem, dzięki temu kutrowi, którego nie zdołaliśmy dopędzić, niechybnej śmierci. Rozumiem teraz, co się stało podczas goniwy za bańką mydlaną. Nasza wyspa, która już niemal stawała dęba, kiedyśmy ją opuszczali, przewróciła kozła, jej grzbiet znajduje się obecnie na spodzie, a podstawa wychyła na powierzchnię. Widzicie te odłamki skał, których tutaj, pełno? Są to szczątki skał lodowatych, po których szorowało dno lodowca. Dzięki właśnie takim odłamkom uczeni przekonali się, że ląd Antarktydy składa się na całym swym obszarze ze skał takich, jak granity, gnejsy, łupki krystaliczne, bazalty.

— Nic a nic mnie nie obchodzą w tej chwili te wszystkie naukowe wywody. Niech ta przeklęta Antarktyda składa się z czego tylko się jej podoba — mówił rozgoryczony sternik. — Jeżeli pan odgadł prawdę, to nasz pałacyk kryształowy znajduje się obecnie o jakieś 200 m pod powierzchnią morza, a my zostaliśmy bez żadnych środków do życia. Mój Boże, cała tona doskonałego mięsa, paręset kilo ryb, nasze posłania ze skór, nasze garnki, nasza lampa sygnałowa, wszystko to leży gdzieś tam na dnie i co my teraz poczniemy? Ani przytułku, ani żywności, ani paliwa. Przeklęta góra lodowa ładnie nas urządziła. Zaczynam doprawdy żałować, że nie fiknęła tego koziołka razem z nami. Już by się ta nasza udręka skończyła.

— Bardzo brzydko mówisz — złajał go Ford. — Nie powinniśmy tracić nadziei, że koniec końców jakaś pomoc się znajdzie. Doskonale uczyniłeś przygotowując kajak na podróż. Mamy cokolwiek żywności, tranu, nasze narzędzia astronomiczne i nawet naszą lancę. Na krach będziemy mogli upolować z łatwością jakąś fokę, więc z głodu nie pomrzemy. Ze skóry zrobimy sobie śpiwory, tran pozwoli nam rozpaścić sobie ognisko, przy którym upieczemy mięsiwo.

— Tak, tak, ale tego wszystkiego nie na długo nam wystarczy. To przeklęte lato niebawem się skończy. I tak już mróz nam dokucza, a co się z nami stanie, kiedy słońce się ukryje na pół roku przed naszymi oczyma?

— Ha, znajdziemy sobie gdzieś grubą krę, jakieś stare pole lodowe, zbudujemy sobie chatkę eskimoską i jakoś będziemy się starali przeżyć tę długą noc.

Gromski, słuchając tych optymistycznych wywodów swego towarzysza niedoli, uśmiechał się smutnie. Znać było, że nie podziela bynajmniej nadziei kapitana.

— Czyż więc mamy znowu szukać schronienia na tej górze lodowej, na której tak srodszemy się zawiedli? — zapytał. — A jeżeli jej przyjdzie fantazja znowu wywinąć koziołka?

— Ha, możemy także umieścić się na innej, przecież tu ich nie brak, wybierzemy sobie jakąś solidniejszą i tam spróbujemy zbudować sobie z kawałków lodu jakie takie schronisko.

— Według mnie lepiej pozostać przy starej — zdecydował sternik. — Mam bowiem nadzieję, że jeszcze znajdziemy to i owo z naszych zapasów. Przecież tłuste poście mięsa albo też i skóry mogą wypływać od czasu do czasu na powierzchnię i wtedy wyłowimy z morza choćby drobną część z takim trudem nagromadzonej żywności.

I kapitan, i inżynier przyznali słuszność sternikowi, zbliżono się więc do góry lodowej majestatycznie kołyszącej się na fali i, choć z wielkim trudem, zdołano wspiąć się na nią, pozostawiając kajak przykotwiczony do jej boku w miejscu łatwo dostępnym.

Tak więc nasi rozbitkowie znowu znaleźli się po doznanych zawodach na swojej wyspie pływającej, która jednak zmaląła do połowy i sterczała mniej więcej na kilkanaście metrów z toni oceanu. Wygląd jej stawał się coraz dziwniejszy, bałwany żłobiły w jej cielsku jakieś bramy, jaskinie, korytarze, do których z łoskotem wdzierała się woda morska. Były to jakby odgłosy wielkich dzwonów, to znów oddalonego grzmotu, ryku słoni morskich — wydawało się, że w łonie góry lodowej tkwi jakaś potężna orkiestra, napełniająca labirynt lodów jakimś niesamowitym zgiefkiem, który mocno działał rozbitkom na nerwy.

KONIEC DRAMATU

Dzięki ocalonemu sekstansowi i chronometrowi, które to narzędzia sternik zawczasu wraz z odrobiną zapasu żywności umieścił w tyle kajaka, kapitan Ford mógł określać co parę dni położenie geograficzne wyspy pływającej. Okazało się, że góra lodowa, unoszona nieraz przeciwnymi prądami, zakreślała bardzo kapryśną linię na powierzchni oceanu. Całe to rojowisko gór lodowych, otaczające siedzibę naszych rozbitków, towarzyszyło im w tej dziwacznej wędrówce. Oznaczywszy na mapie, po trzech dniach pogoni za parowcem, położenie ich wyspy, Ford stwierdził, że znajdują się na bezbrzeżnym Oceanie Południowym o dwieście z górą kilometrów od wybrzeży Antarktydy. Przylądek Pingwinów znajdował się więc w niedostępnej już dla rozbitków odległości; powrócić tam na kajaku byłoby przedsięwzięciem bardzo ryzykownym, gdyż taka podróż zajęłaby przynajmniej tydzień czasu, a w tym okresie można było spotkać się z jaką burzą, która pochłonięłaby wąły stateczek. Kapitan wiedział doskonale, jak na tej bezkresnej, wodnej pustyni podczas huraganu wzdymają się istne góry wodne, które bywają niebezpieczne nawet dla większych statków, cóż dopiero mówić o takiej łupinie, jaką był sklecony naprędce kajak.

Nie pozostało więc nic innego, jak trwać w beczynności i oczekiwać końca tego dramatu, którego nasi rozbitkowie byli, niestety, aktorami. Jednakże sternik, obdarzony niezłomną energią i nie mogący po prostu oczekiwać na niechybną śmierć z założonymi rękami, zabrał się do budowy tak zwanego igłö, to znaczy chatki Eskimosów, z odrywanych od góry lodowej brył lodu. Było to konieczne, gdyż przenikliwy, mroźny wiatr dawał się bardzo we znaki rozbitkom.

Dopiero kiedy ten ul z lodu, jak go nazywał Gromski, był ukończony i bryły oblane wodą spoiły się mocno razem, wprowadzono się do tego marnego schroniska, zrobiono lampę tranową z jednego kubka aluminiowego, jaki pozostał z dawnych naczyń kuchennych, i przy tym nikłym płomieniu zdołano się nieco ogrzać. Drugi, trochę większy garnek z tego samego metalu służył do topienia lodu i otrzymywania wody zdatnej do picia. W tej słodkiej wodzie gotowano zupę z mięsa foki, która z małym dodatkiem soli jako tako podtrzymywała wyczerpane organizmy naszych bohaterów. Było to jednak naprawdę wstrętne jadło, które niebawem okrutnie się naprzykrzyło nawet niewybrednemu sternikowi.

Z wysokości, na jakiej znajdował się lodowy pałacyk, starano się dostrzec jakąś fokę na jednej z kier, które unosiły się w pobliżu góry lodowej. Widocznie jednak te stworzenia nie znajdowały odpowiedniego dla siebie miejsca do wylegiwania się na słońcu, gdyż żadna zwierzyna nie ucieszyła spragnionych nowego pokarmu rozbitków. Raz nawet sternik w towarzystwie kapitana wyprawili się na łowy, błakali się przez parę godzin po morzu, upatrując daremnie zdobyczy. James zarzuciwszy wędkę z kawałkiem mięsa na przynętę, po długich próbach zdołał wyłowić parę ryb, które usmażono nad płomieniem tranowej lampy.

Dni wlokły się niezmiernie monotennie. Przeważnie spano w głębi igłö, ustawivszy uprzednio straż przy tyce sygnałowej. Co cztery godziny warta zmieniała się, chodziło bowiem o to, ażeby nie przegapić jakiegoś statku, który mógł się lada chwila ukazać na morzu. Ponieważ zaś zapas tranu był bardzo szczupły, przeto o sygnale dymnym nie można było nawet marzyć. Wszyscy po kolei wyteżali wzrok, śledząc rozkołysaną powierzchnię oceanu, po której unosiły się jak stada srebrnopiórych ptaków mniejsze i większe góry lodowe, lecz te wszystkie wysiłki okazywały się daremne. Jak na złość ocean był przerażająco pusty, nie ożywiał go najmniejszy nawet żagiel, najbardziej choćby oddalona chmurka dymu. Kapitan dochodził do smutnego mniemania, że kończące się lato położyło kres wycieczkom wielorybników w te okolice albo też, że wytepiono u wybrzeży Antarktydy wieloryby tak dalece, iż wyprawy przestały się już opłacać. Sternik atoli nie zgadzał się z tymi przypuszczeniami swego kapitana, gdyż od czasu do czasu dostrzegał obłoczki pary wytryskującej ponad

powierzchnię oceanu; był to niezaprzeczony dowód, że wieloryby, lubo bardzo przerzedzone na skutek przeciwko nim prowadzonej wojny, jeszcze zamieszkiwały wody sąsiadujące z Antarktydą. Toteż poczciwy James, któremu natura dała doskonały wzrok, nie tracił nadziei i nawet poza kolejką wyręczając inżyniera, który, niestety, nie posiadał sokolich oczu, przesiadywał u flagowego masztu, póki nie załzawiły mu się powieki. Jaskrawe promienie słoneczne, odbijane o pływające góry lodowe i pływające pola lodowe, drażniły siatkówkę tak, iż koniec końców musiano sobie porobić z kawałków szkła coś w rodzaju przyciemnionych okularów, ażeby ustrzec się od zapalenia.

W miarę tego jak czas upływał na daremnym oczekiwaniu, energia naszych rozbitków malała, duch, jak dotąd silny, upadał pod brzemieniem beznadziejności położenia. Nic, ale to zgoła nic nie zwiastowało pomyślnego zakończenia tej oryginalnej tułaczki na chwiejącej się górze lodowej po nieskończonej pustyni oceanicznej. Nadchodziły momenty, w których rozpacz chyłkiem jak wąż wpełzała w serca naszych rozbitków, gasząc ostatnie iskierki nadziei.

Sternik, który jak dziecko łatwo wpadał z jednej ostateczności w drugą, miewał napady melancholii.

— Cóż u diabła — rzekł raz, zaglądając do wnętrza igło, gdzie owinięci w focze skóry leżeli pogrążeni w półśnie jego towarzysze — czy mamy czekać, aż głód pozbawi nas sił i wszelkiej energii, tak że nie będziemy nawet w stanie zdobyć się na to, żeby z tej przeklętej wyspy skoczyć w morze? Co do mnie, wolę taką marynarską śmierć niż długie konanie i takie bezczynne wyczekiwanie końca, który może za długo każe na siebie czekać.

I stary marynarz zamiast położyć się na miejscu kapitana, który miał go zluzować na warcie u flagi, wyszedł z nim razem na szczyt góry, potem pewnym krokiem zbliżył się na skraj przepaści i śmiało spojrzął w toczące się z ponurym grzmiotem fale oceanu.

— Razem, kapitanie! — rzekł ochryplym głosem. — Dobrze?

Ford czuł, że sternik pociąga go jeszcze bliżej na krawędź muru lodowego, lecz nie miał dość energii, ażeby mu się oprzeć. Zgadzał się jakby na tę propozycję swego towarzysza, czuł bowiem, że nie doczeka się już ratunku i że lepiej będzie oszczędzić sobie długich mąk przez jeden śmiały skok w otwierającą się pod jego stopami otchłań. Jeden z tych bałwanów porwie go na swe barki i z grzmiotem rzuci o ścianę kryształową. Koniec pewny i krótki.

Nagle jednak James wypuścił z objąć swego dowódcę, z którym miał zamiar skoczyć w morze. Na jego ponurej twarzy zajaśniał jakiś promyk nadziei.

Wyciągnął przed siebie rękę, potem przetarł nią oczy, jak gdyby pragnął upewnić się, czy dobrze widzi, i wydał głuchy okrzyk radości.

— Tam, tam — bełkotał pochylając się całym ciałem naprzód.

Kapitan bystrym rzutem oka przebiegł powierzchnię oceanu, lecz nie dostrzegł nic godnego uwagi; widział tylko dookoła towarzyszące wyspie pływającej góry lodowe.

Stary marynarz wskazywał jednak ciągle palcem jeden punkt horyzontu.

— Szalupa, szalupa! — powtarzał. — Patrz pan, tam, około tej czworokątnej góry lodowej.

Dopiero teraz Ford przekonał się, iż sternik nie podlega złudzeniu; wyteżywszy wzrok dojrzał małą czarną plamkę, przesuwaną się dziwnie szybko po powierzchni oceanu. Plamka ta rosła w oczach. W pięć minut potem nasi żeglarze widzieli już zupełnie dokładnie szalupę.

Załoga zbliżającej się szalupy siedziała nieruchomo na ławkach, trzymając wiosła podniesione w górę, a pomimo to stateczek ślizgał się po falach z chyżością mewy, pozostawiając za sobą głęboką pienistą bruzdę. Woda, rozpierana pędem stateczku, wznosiła się u jej dzioba, jak gdyby lada chwila miała wtargnąć do wnętrza. Na przedzie szalupy stał wyprostowany majtek, trzymając w ręku jakiś długi, błyszczący w promieniach słońca przedmiot.

— To wielorybnik — rzekł Ford.

— Ugodzili zdobycz harpunem i wieloryb ich ciągnie! — wołał sternik. — Widocznie lina odwinęła się całkowicie z kołowrotka, zwierz dał potężnego nura.

Ford na razie nie potrafił sobie wytłumaczyć sceny odgrywanej się w jego oczach. Zrozumiał, co znaczyły słowa Jamesa wtedy dopiero, kiedy ujrzał wyprężoną linę u przodu szalupy. Wąty stateczek, pociągany z olbrzymią siłą przez uciekającego z morderczym harpunem w ciełe wieloryba, sunął jak strzała prosto na górę lodową, na której znajdowali się nasi żeglarze. Sternik od razu dostrzegł niebezpieczeństwo grożące załodze szalupy; wieloryb był widocznie zanurzony tak głęboko, że mógł przepłynąć pod górą lodową, w takim razie szalupa musiałaby niechybnie roztrzaskać się w kawałki o kryształowy mur, do którego zbliżała się z przerażającą szybkością.

Gromski, który porzuciwszy igłó przyłączył się do towarzyszy, z biciem serca przyglądał się tej scenie, która rozgrywała się w ich oczach.

— Ależ oni rozbiją się o naszą wyspę pływającą! — zawołał.

— Tam, do licha, czyż nie rozumieją, co ich czeka — biadał sternik. — Hola, tam, bacność, odciąć linę! — ryknął tubalnym głosem w kierunku szalupy.

Nie wiadomo, czy marynarze zlekceważyli niebezpieczeństwo, czy też stracili na moment przytomność umysłu na widok naszych rozbitków, dających im znaki ostrzegawcze ze szczytu góry lodowej, dość że stateczek pędził dalej, nie zatrzymując się. Już tylko 100 m dzieliło go od góry lodowej, o którą rozbijały się z łoskotem bałwany.

— Masz diabie kaftan — mruknął Ford — zamiast nas ocalić, ci gapie sami zapewne będą potrzebowali naszej pomocy.

Pogoń za rannym wielorybem nie skończyła się jednak tak tragicznie, jak przypuszczał kapitan; oszczepnik nie stracił bowiem zimnej krwi i przekonawszy się, że łódź nie zdoła wyminąć góry, pochwycił nóż i w oka mgnieniu przeciął nim naprężoną linę. Szalupa przez kilkanaście sekund jeszcze pędziła ku niebezpiecznej przeszkodzie, lecz niebawem zaczęła zwalniać biegu. Kilka przeciwnych uderzeń wiosłami... i bukszpryt szalupy z lekka tylko uderzył o górę, odrywając od niej kawałek lodu.

Zręczność harpunnika nagrodzili nasi żeglarze pełnymi uznania okrzykami, w których niemniej silnie dźwięczała radość.

— Skąd u diabła wzięliście się na tej górze lodowej?! — huknął sternik szalupy podnosząc się ze swego siedzenia. — No, nie ma rady, skaczcie w wodę, wyłowimy was! Tylko prędzej, bo ta przeklęta góra może zwalić się nam na głowę!

Nasi rozbitkowie nie wahając się ani chwili, poszli za radą wielorybnika. Pierwszy dał nurka kapitan, po nim, ze zręcznością akrobata, skoczył w fale sternik, a wreszcie runął w wodę wcale nie po marynarzku inżynier Gromski.

Po chwili nasi rozbitkowie siedzieli już w szalupie obok marynarzy przypatrujących się im ciekawie.

— Jakim cudem, u licha, powtarzam, dostaliście się na tę górę lodową? — powtórzył sternik szalupy. — Tam do kroćset, zachciało wam się jechać na oryginalnym statku! Z obłoków spadliście chyba?!

— Zgadłeś — odparł poważnie kapitan — spadliśmy z obłoków razem z balonem, który nas zaniósł do bieguna południowego, a potem na wybrzeża południowego lądu. Zjawiliście się w samą porę.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozbitki z „Narwala”	02
Wiadomość o cudzie żeglugi powietrznej	04
Jak wygląda cudo techniki?	06
Na Ziemi Ognistej	12
W obłokach	18
Wschód słońca o północy	22
Szósta część świata	26
„Podróż naokoło świata w 48 godzin”	32
U celu	37
Na wolę wichrów	45
Bohaterskie poświęcenie	48
W pustyni lodowej	53
W szponach burzy	57
Ciekawy ludek Antarktydy	62
W kryształowym pałacu	68
Przygotowania do zimy	72
Świat lodów jest piękny	75
Niespodziewana katastrofa	78
Pływająca wyspa	81
Bańka mydlana	84
Koniec dramatu	88